

**MARIA RODZIEWICZOWNA**

# **NA FALI**

## I

— Gdzie cię bogi niosą?

— Nie bogi, ale nogi. Szukam mieszkania.

— No, a ciotka?

— Wypędziła. Od wczoraj opadły ją różne choroby: reumatyzm, migrena, jakieś niepowodzenie we młynie i złe humory. Rzekłem coś, że daleką mam drogę do uniwersytetu, więc mi kazała iść precz.

— Mógłbyś u profesorowej Ogickiej zamieszkać, ale we dwóch w jednej stacji.,

— Kto tam? Adam Konarski?

— Tak.

— A drogo?

— Dwieście. Drogo, ale wygodę mieć będziesz, opiekę i towarzystwo.

— Są tam panny podobno?

— Dwie: córka i kuzynka. Boisz się panien?

— Uchowaj Boże!

— Zresztą te zajęte gdzie indziej. Sama gospodyni będzie ci jak matka. Zacności kobieta!

— Można spróbować. Chcesz mnie wprowadzić?

— I owszem, chodźmy.

Zwrócili się wstecz i ruszyli gwiżdżąc.

Koledzy byli, i trochę krewni. Jeden przysadkowaty, blondyn, drugi brunet średniego wzrostu, tęgi, o twarzy tryskającej zdrowiem i dobrym humorem, nie dbały o swój wygląd, trochę niezgrabny, z pięknymi oczami, które jedne zdobiły jego twarz i poważnym wyrazem stanowiły kontrast ze śmiechem reszty rysów.

Szli po pięknym, starożytnym bruku, wzdłuż starych kamienic, a wokoło jesień pogodna złociła ściany i ulice, krasząc miasteczko małe i ciche, sławne swym pięknym położeniem w górach, rzeką bystrą, starym uniwersytetem, farą i figlami młodzieży szkolnej.

Z rynku skręcili w boczną uliczkę, zupełnie cichą i pustą, i zadzwonili do drzwi oznaczonych godłem „Pod snopem.”

Pokojówka otworzyła i z miłym uśmiechem spytała blondyna:

— Pan do panicza? Wyszedł.

— Do pani, duszko.

Wprowadziła ich tedy do saloniku i znikła; kandydat na pensjonarza rozejrzał się.

— Filistry! — szepnął do towarzysza. Tamten grymasem nakazał mu milczenie.

Salonik był spory, meble ustawione symetrycznie, białe firanki, kwiaty w doniczkach, fortepian otwarty.

Zza jednych drzwi odzywał się chichot swawolny, zza drugich brzęk talerzy. Kanarek śpiewał w oknie.

Nareszcie z jadalni wyszła kobieta niemłoda, otyła, o twarzy wyrażającej wielką dobrotliwość i upodobanie spokoju.

Powitała serdecznie jednego z chłopców.

Ten pośpieszył z prezentacją:

— Mój kolega, prawnik, Józef Reni, pragnie zostać lokatorem szanownej pani.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana. Tyle dobrego o nim słyszałam. Pan u ciotki dotąd mieszkał?

— Tak, pani, ale kurs miałem za daleki.

— Ode mnie bliski; ale czy sobie pan nasz dom upodoba? Żyjemy skromnie, ale teraz taka drożyzna, mniej dwustu brać nie mogę i we dwóch panowie mieć będą jeden pokój. Całe utrzymanie, opranie, światło, usługa.

Józef, siedzący na brzegu krzeselka, uśmiechnął się wesoło.

— Bardzo mało wymagam i niewiele chyba pani sprawię kłopotu — odparł uprzejmie. — Chciałbym zaraz się sprowadzić; a oto zadatek. Będę punktualnym.

— Ależ wierzę, wierzę. Panowie może obiadek przyjmą?...

Zaraz będzie! Proszę, panie Michale.

— Dziękuję; w domu na mnie czekają.

— Ja zaś po manatki ruszę, aby wieczór mieć swobodny.

Uszanowanie łaskawej pani.

Skłonili się i wyszli.

W sieni spotkali wysoką, zgrabną dziewczynę, która, coś nucąc, przerzucała nuty w tece. Skłonili się znowu i znaleźli się wreszcie na ulicy.

— Kto to? — zagadnął Józef.

— To córka. Niedawno wróciła z pensji. Szykowna dziewczyna i wesoła. Zakochasz się.

— Ja! — ruszył Józef ramionami. — Gdybym zakochany chociaż nie był!

— Ach, prawda, kuzynka. To inny typ. Sądzę, że byłaby dla ciebie fatalną.

— Czemu?

— Bo ty lubisz w kobiecie umysłową wyższość, serdeczną ciszę i powściągliwe obejście. Nie będziesz jej cenił, jeżeli nad tobą i nad sobą nie zapanuje. Znamy się od dzieci. Marzyciel jesteś, pomimo sprzecznych pozorów. Ta by cię zgubiła... Ostrożnie z imienniczką.

— Józefa jej na imię?

— Tak, Pepi! Zresztą... i ona niewolna.

— Któż to?

— *Nomina sunt odiosa!*\* No, do widzenia! Przyjdź mi opowiedzieć swoje pierwsze wrażenia.

Józef wsiadł do dorożki i kazał się wieźć do młyna. Woźnica, nie pytając dalej, konie zaciął.

Zjechali nad rzeką ujętą w brzegi z kamienia, pełną gabarów, ciężkich, ładownych barek, małych parowych statków.

Ulica roiła się tłumem pracowitym i handlowym, na bulwarze spacerowały eleganckie damy. Miasto wrzało ruchem i gorączkowym życiem. Dalej było już ciszej. Bulwar zastępowała szosa, mrowie ludzkie: młodzież z wędkami lub książką, bony z dziećmi, chorzy lub samotni przechodnie. Domy były coraz mniejsze, coraz częściej zieleniły się ogrody, białe parkany, rozciągały się place puste, zavalone drzewem, lub składy cegieł i węgla. Wreszcie poza pustymi ogrodami, kędy się pasły krowy, ukazała się samotna budowla, obszerna, szerniała od lat i dymu, otoczona mniejszymi domkami, a dokoła niej rozlegał się głuchy szum i łoskot wody.

Rzeka w tym miejscu przyjmowała dopływ górski, który z impetem wpadał na szczeble olbrzymiego koła zajmującego całą szerokość potoku, ujętego w tamy i groble. Motor poruszał się na pozór leniwie, ale od niego szły do budowli osie potężne i obracały szalonym pędem setki kół, walców, trybów, kamieni, a wszystko to warczącym hukiem napełniało powietrze.

— Do biura? — spytał dorożkarz.

— Nie, do mieszkania.

Woźnica skręcił w bok i stanął pod werandą winem oplecioną; na trawniku, starannie utrzymanym, kwitły późne sztamowe róże, astry i rezeda; domek drewniany, biało tynkowany, świecił czystością. Od ganku rozchodziły się brukowane ścieżki: do obór w prawo, do warsztatów w lewo, do biura i młyna prosto.

Józef wysiadł i do wnętrza wszedł. Szklanej czystości były ściany, sprzęty, podłoga; ale pustka i chłód wiały z symetrii mebli, z obić nie przeciętych żadnym obrazkiem, z głuchej ciszy całego domu.

\* *Nomina...* (łac.) — Nie należy wymieniać nazwisk!

Na odgłos kroków młodzieńca wyjrzał z kredensu stary, zgryźliwy sługa, ale patrzył tylko na ślady jego stóp po podłodze i wnet wyszedł ze szczotką i ścierką, i jął sprzątać zawzięcie.

— Pani w domu? — spytał go Józef.

— W ogrodzie zajęta.

— A pan?

— W kantorze.

Zwykle tak było. Małżonkowie schodzili się tylko na posiłek i wieczorną pogawędkę. Jadali bardzo nędznie, rozmawiali tylko o cyfrach, całe życie jedną namiętnością opanowani: robieniem majątku, mnożeniem pieniędzy.

Józef szybko złożył swe manatki w kuferek i kazał je służącemu umieścić w dorożce. Potem, gwizdząc, poszedł w stronę młyna, do drzwi z napisem: „Kantor.” Zajrzał, gotów się cofnąć w razie zetknięcia z innymi interesantami, ale wuj był sam. Stary, siwy, trochę zgarbiony, siedział za biurkiem i sumował cyfry w wielkiej księdze. Czarna czapeczka przykrywała jego łysą głowę. Twarz miał zmarszczoną, zawsze zafrasowaną i z pozoru, a raczej z umysłu nieroztropną. Sam technik z powołania, ożeniony z dziedziczką młyna, zachował wobec niej na zawsze uległość, jakby był podwładnym. Stał się jej echem, śladem i cieniem przez całe życie. Wreszcie zrobili się do siebie zupełnie z upodobań i celów podobni, rozumieli się bez słów, znali swe myśli, odgadywali się spojrzeniem, a bezdzietni — ukochali pieniądze.

Józef wszedł z uśmiechem.

— Przyszedłem pożegnać wuja — rzekł — i rozmówić się o interesach. Dostałem mieszkanie w mieście, dziękuję więc wujowi za gościnność i przepraszam, jeśli dokuczył.

— Mieszkanie drogie, co? My bardzo biedni!

— Nie proszę przecie wuja o wsparcie. Stypendium opędzi mi te wydatki. Będę tylko prosił, aby od sumy, którą mam u wuja zapisaną mi przez babkę, wypłacono mi procent.

— Procent?... Od jakiej sumy?... Nie pamiętam... Było tam coś, ale Piotruś, twój brat, stracił. Bez niego nic nie postanowię. On starszy, rozmówcie się z nim.

— Żartuje wuj. Mam w kieszeni weksel wuja, dany babce, a mnie przekazany. Mógł Piotruś stracić; mnie nic do niego, a jemu nic do mnie. Jaki procent da mi wuj?

— Hm... procent? Uczciwy... pięć!

— W takim razie proszę o kapitał; mniej niż na dziesięć procent nie zostawię.

— To, to, to... lichwa! — wyjąkał stary, kręcąc się na stołku i wyłamując palce ze stawów. Ruchem tonącego pocisnął dzwonek i wchodzącemu chłopcu rzucił rozkaz:

— Biegnij... proś pani!

Józef odwrócił się do okna, gryząc wargi w tajonym śmiechu. Bawił go ten przestrich sknery.

— A ten weksel? Pokaż go! Może przedawniony?

— Pilnowałem formalności. Wyraźny jest.

— Na moje imię? Co?

— Solidarnie z ciotką: „Małżonkowie Jan i Joanna z Renich Maricowie.”

— Hm, hm! — mruknął stary wyzierając oknem. Ciężki chód i sapanie rozległo się w sieni i do biura wtoczyła się kobieta niemłoda, czerwona na twarzy, w fartuchu sinym i rozdeptanych pantoflach. Pomiedzy nią i Józefem były cechy rodzinnego podobieństwa: te same grube rysy, zdrowie, szerokie kości, ciemne, piękne oczy. Tylko że kobieta, miast wesołości chłopaka, miała zapalczywość i niepokój w wyrazie całego oblicza.

— Co to! Jedziesz od nas? — zagadnęła.

— Jedzie i procentu wymaga — odpowiedział mąż.

— Procentu? Co? Za co? Jakiego?

— Od sumy legowanej przez nieboszczkę Adolfową Reni. Weksel solidarny.

— Aa... — zawahała się sekundę. — No, kiedy inaczej nie można... obiecać mu procent.

— Piąty.  
— Naturalnie, na te ciężkie czasy.  
— On chce dziesiąty albo kapitał.  
— Co? On? Bój się Boga, to wariat! Pięć, i ani grosza więcej.  
— Ja też nie obstaję przy procencie. Wiem, że wujostwu ciężko tyle płacić. Przyjmę kapitał.  
— Żeby prześwistać, jak Piotruś, z dziewczkami i szulerami. Nie dam! Włóż mnie po sądach!  
— Dobrze, ciociu! — odparł Józef kierując się ku drzwiom. Małżonkowie spojrzeli po sobie. Firmą byli dawną, znaną z rzetelności, nigdy nie protestowano ich podpisów. Obudziła się w nich ambicja kupiecka.  
— Józef, poczekaj no! — zawołała pani Joanna.  
Wrócił trochę schmurzony,  
— Gdzież się wynosisz?  
— Do profesorowej Ogickiej.  
— Pi, pi! Takie zbytki! Miałbyś gdzie indziej o połowę taniej i nas byś nie potrzebował tak krwawo krzywdzić. Ja ci wyszukam inne mieszkanie, dopomogę po matczynemu.  
— Dziękuję, ciotko, ale dałem już słowo.  
— A zadatek? — spytał stary.  
— I zadatek. Zresztą tam mi wygodniej, bliżej.  
— Tak, i będzie z kim romansować. Mój Boże, gdybym ja te pieniądze miała, co wasz ojciec! I wy straciliście! Jak sobie chcesz; więcej siedmiu procent ci nie dam! To czyni trzysta pięćdziesiąt. Pokażę ci rachunki moje domowe. Ja na siebie więcej nie wydaję.  
— Może być, w wieku cioci i ja na to przystanę.  
— To bierz kapitał, lichwiarzu! — krzyknęła rzucając mężowi klucz od kasy żelaznej.  
Stary wstał ze stolka i drżącą ręką zamek otworzył. Potem się cały wnrzył poza te drzwi, jakby pełną pierśią wciągał zaduch pleśni i stęchlizny papierów. Pani Joanna dyszała ciężko, wpatrzona w kasę. Walczyła ciężko ze skąpstwem wrodzonym.  
— Któż ci da taki procent? — spytała znowu.  
— Maltas stary na kamienicę.  
— Bankrut! Opamiętaj się! Nie zobaczysz kapitału już nigdy.  
— Cóż robić! Żyć muszę. Ciocia sama mi nieraz mówiła, że ją kosztuje sześćset rocznie. Teraz przybywa mieszkanie i lekcje skrzypiec.  
— Lekcje skrzypiec! Daremne wyrzucanie pieniędzy. Także projekt! Wariacja!...  
— Ech, ciociu! — zaśmiał się chłopak. — Majątku nie mam, o karierę trudno. Niechże mam przynajmniej skrzypki na pociechę. Zda mi się to może.  
Stary odwrócił się do biurka, trzymając w ręce pakiet banknotów. Spojrzał na żonę zaczerwienionymi oczami; jej na lica wystąpiły gorączkowe wypieki. Zaczął rachować powoli, wahająco, jakimś zduszonym głosem; ona wlepiła oczy w te barwne kartki. Odrachował tysiąc i stanął zziąjany, z czołem w pocie, z gardłem zaschlłym. Spojrzeli znowu na siebie.  
— To na jutrzejsze zboże! Młyn stanie — szepnął. — Jesteśmy zgubieni!  
— I to te pieniądze, które nieboszczka Adolfowa tak krwawo zbierała, które mi powierzyła dożywotnio. Jeden już stracił, drugi uczyni to samo. Nie będzie ci babka błogosławiła za lekceważenie jej ustnej woli.  
— Ciotko, nie ja ją lekceważę. Babka mnie najmłodszego zostawiła ciotce pod opiekę. Czy ciotka chce, żebym zebrał?  
Maric rachować znowu przestał i dłonią nerwowo, pieszczotliwie papiery gładził. Kobieta drżała.  
— Niech zostaną do mojej śmierci tutaj!

— Owszem, ciotko.

— Weż ósmy procent! — szepnęła błagalnie. Chłopak kręcił się niespokojnie. Czerwony zachód zaglądał przez okno, jemu spiesznie było, zresztą targ męczył go nad wyraz.

— Ciotko, nie mogę się obejść mniejszą sumą. Doprawdy nie mogę! — oparł z jękiem.

— To bierz wreszcie! Ja za to nie będę miała na lekarstwo, on na kieliszek wina. Oszczędzimy się na zdrowiu, na życiu!

Jeszcze mówić nie skończyła, a już mąż pieniądze na powrót do kasy odkładał i zamykał ją, podczas gdy twarz jego wyrażała rozradowanie bezmierne i utajony, dyskretny uśmiezek szyderstwa. Józef dobył weksel z pugilaresu i spierał się z ciotką o termin wypłaty. Stało wreszcie na czterech kwartalnych ratach; z podręcznej kasy stary dobył pakiet drobnych asygnat, wybrał najbardziej zmięte, podpisano pokwitowanie i młody człowiek odetchnął głęboko, zgarniając pieniądze.

Oczy obojga śledziły ruchy jego ręki. Gdy pugilares wsunął do kieszeni, westchnęli *unisono*.

Na dworze zmierzchało, gdy turkot dorożki pod oknem się rozległ i ucichł w oddaleniu. Pani Joanna, oparta oburącz na biurku, coś rachowała półgłosem; mąż zapalał lampę.

— Od dzisiaj nie będziemy jedli leguminy na obiad! — rzekła wreszcie.

— Jak chcesz, moja droga — odparł apatycznie.

— I piwo dostaniesz tylko w święto! — dodała. Spojrzał żałośnie.

— I w niedzielę? — spytał z cicha.

— Hm! — mruknęła niknąc we drzwiach.

On usiadł znowu nad swą księgą, ale przez chwilę był roztargniony.

— Nie, w niedzielę nie będzie! — szepnął wreszcie z westchnieniem. — O, nikczemny młokos! O, podły błazen!

Nagle zaśmiał się złośliwie.

Dobrze, zem mu wsunął tę piątkę fałszywą!

Dobrze! Wart tego! dodał w myśli.

Józef tymczasem wracał ku miastu.

Pogodny, ciepły wieczór wywabił resztę mieszkańców na przechadzkę. Po ogrodach podmiejskich rozlegały się muzyki, z mrowia ludzkiego odzywały się śmiechy wesołe, nawoływania, powitania, gwar odpoczynku, swobody, zabawy.

„Pod snopem” zostawił Józef swe szczupłe mienie pod opieką pokojówki, której zajrzał swawolnie w oczy i dał srebrniaka na wstępne. Spytał też o kolegę.

— Państwo wszyscy w altanie, w ogródku — oznajmiła z wdzięcznym uśmiechem.

Zabrała się zaraz do porządkowania jego rzeczy, a on wyjrzał oknem na ogródek malutki.

Pani domu, obie panny i lokator siedzieli w altance skąpo winem oplecionej, dotykającej sąsiedniego parkanu. Oazę tę, obsianą kwiatami i ocienioną jedną akacją, otaczały zewsząd mury sąsiednich posesyj.

Psiak czarny swawolił ze starym pantoflem, w altanie rozlegała się żywa rozmowa i śmiechy.

Zamarzyło się Józefowi, że gdyby tam wszedł, popsułby dobrą zabawę i swobodę.

Wziął na powrót czapkę.

— Wróć wieczorem! — rzekł do służącej. — Daj mi, duszko, klucz drugi i przeproś panią!

Na ulicy obejrzał się wkoło i ruszył prędko w uliczki węższe i brudne, w dzielnicę ubogą i robotniczą. W ten sposób nakładając wiele drogi, zaszedł w kąt starego miasta, gdzie domy miały średniowieczne kształty, facjaty dziwaczne, furty żelazem kute, kręcone stare schody i ganki.

Do jednej takiej furty wszedł i, rozejrzawszy się jeszcze raz wkoło, na schody kamienne jął wschodzić, coraz wyżej, pod obłoki.

Kilkoro drzwi minął, nareszcie do jednych, niskich, zapukał.

Nikt nie odpowiedział, tedy klamkę nacisnął i otworzył. Znalazł się w pokoiku bez żadnej prostej ściany, o oknach okrągłych, wsuniętych w bardzo głębokie framugi, i pustym prawie.

Była to facjata w łamanym dachu odwiecznej kamienicy. Ogrzewał ją piecyk żelazny, a za całe umeblowanie starczył hamak z siatki, rzucony prawie pod sufitem, drewniana skrzynka w kącie, dzbanek z wodą, drewniana miska i blaszany samowar.

Gdy się drzwi otwały, ze skrzynki zeskoczył pies bury i zaczął warczeć.

— To ja, Druhu! Nie ma pana jeszcze? — przemówił do niego Józef.

Pies zamruczał i wrócił do swego kąta, przyjmując gościa łaskawie.

Chłopak po ścianach spojrzął i uśmiechnął się do skrzypiec wiszących we framudze.

Zdjął je, jedno okno otworzył, na futrynie usiadł i, zapatrzony w dal, grać zaczął.

Przed nim, oświetlona resztkami światła dziennego, roztaczała się dziwaczna panorama. Dachy, ulice, wieże, ściany tworzyły jakby krajobraz fantastyczny; góry, doliny, otchłanie, wszystko połamane, w skróceniach najdzikszych, w profilach często potwornych.

Niżej cienie już się kładły, ale szczyty były złotoczerwone, farna dzwonnica gotycka była jak cacko, o konturach świetlnych, o oknach niby wielkie rubiny, o gzymsach obrzeżonych koronką promieni zachodu.

W otworach, ponad galerią, wielkie dzwony spały, a wkoło nich zapóźnione gołębie opadały na spoczynek jak białe kwiaty na tle ciemnych rozet i łuków.

Z głębi, z otchłani ulic huk dochodził aż tutaj i w wielkiej ciszy nieba się topił w szmer i drżenie jakby wód dalekich; w przeciwnej zachodowi stronie niebios czyniły się srebrne od księżycy.

Józef grał. Twarz jego, zwrócona ku farze, traciła powoli wesołość i, jak cały ten krajobraz, obiegała cieniem i ciszą.

Oczy się pogłębiły jeszcze, na czoło wystąpiły dwie poprzeczne zmarszczki, kąty ust opadły.

Grał zasłuchany w ciszę. Może słyszał szelest skrzydeł gołębic uderzających o spiz dzwonów i szmer cieni wstępujących, i szept obiegających promieni, bo skrzypce miały delikatne tony i rzewne skargi, i tajemne drżenia.

I czuć było, że chłopak i narzędzie to znają się od dawna, a kochają serdecznie.

Grał tak, aż dzień zgasł zupełnie, a na krajobraz ten dziwaczny weszło drugie światło.

Doliny uczyniły się błękitnomgławce, brzegi i szczyty srebrne lub opałowe, a fara wystąpiła czarna na tle błękitu niebios, groźna, zolbrzymiała.

Cisza stawała się coraz uroczytsza.

Przerwały ją kroki na schodach i gwizdanie.

Pies do drzwi poskoczył i drapał deski skomlać.

Józef skrzypce odłożył i uśmiechnął się radośnie.

We drzwiach stanął człowiek wysoki i, zdejmując filcowy kapelusz z gęstwiny kędzierzawych złotych włosów, zawołał:

— Tuś mi, ptaszku! No, graj dalej! Co to było? Uf, zmęczyłem się!

Aksamitną kurtkę zdjął z siebie i skrzypce, które niósł pod pachą, wyjął z obsłony; stanął obok Józefa i, wciągając świeże tchnienie nocy w nozdrza, zaczął tonów próbować.

— Graj *Dzwony!* — rzucił przez ramię. — Zaraz nam fara zawtóruje!

I tak obadwa, zapatrzeni w przestrzeń, grali.

Józef poczerwieniał bojąc się krytyki, idąc za melodią, która biegła spod smyczka tamtego — czysta, srebrna, mistrzowska.

I nagle w muzykę ich wpadł pierwszy ton farnego dzwonu, potem drugi i trzeci.

Blondyn zaśmiał się cicho, oczy zmrużył, aby żadnego tonu nie stracić, twarz jego promieniała.

Wreszcie urwali razem obadwa. Chwilę drzenie spiżu i skrzypiec — dźwięki ważyły się w powietrzu, drżały, ślaniały się — potem roztopiło się wszystko w przestrzeni.

Józef westchnął z cicha, a tamten przez okno się wychylił, czegoś wypatrywał w dali. Potem zwrócił się do towarzysza i kładąc mu obie dłonie na ramionach rzekł:

— Słyszałeś?... To było szczęście.

— Co takiego? — spytał Józef.

— Ta cisza, pełna melodyj ledwie uchwytnych. Bacz, byś ją kiedyś miał w sobie!

— A ty ją masz, mistrzu?

— Mam! — odparł tamten uroczyście. Zamyślił się i dodał:

— Nie powiem, aby się ją znajdowało jak kwiaty na łące lub dochodziło się łatwo, jak bitą drogą do wygodnego schronienia; ale dostać można... jeżeli tylko ten jeden cel się ma i do niego uparcie dąży.

— To są teorie, mistrzu — uśmiechnął się Józef.

— Ja zaś jestem praktyką — żywo przerwał tamten — i recepty mogę ci *gratis* udzielić. Chcesz, zastosuj; nie chcesz, to zapamiętaj! Kiedyś, po latach, wspomnij mnie i te słowa. Jeślim się pomylił chociaż w jednym, дарuję ci mojego stradivariusza, do którego ci oczy błyszczą jak sroce do szklanego guzika. Ja już rychło stąd odejdę i nie wiem, czy się spotkamy. Czytuję jednak zawsze jedną gazetę: *Timesa* angielskiego. Więc jeśli cię moja recepta zawiedzie i stradivarius do ciebie wedle umowy będzie miał przejść, podaj do *Timesa* następujące ogłoszenie: „Muzykant Łukasz proszony jest o doręczenie skrzypiec swych uczniowi Józefowi, który lepiej na nich zagrać potrafi” i podasz miejsce twego zamieszkania. Przyniosę ci sam instrument i w godne ręce oddam.

— Odejdiesz stąd rychło? — spytał Józef, który tę tylko wzmiankę zauważył. — I dokąd?

— Odchodzę, bo słońce stąd ucieka, a za słońcem echa czyste, i melodie przyrody, i barwy i wonie. Za słońcem ja idę i za ptakami na południe.

— Do swego kraju, do rodziny może? Mistrz Łukasz wstrząsnął swą lwią grzywą.

— Do melodyj i lata. Aleś ty ciekawy, skąd ja, co za jeden? Dziwna rzecz, jak takie marne rzeczy ludzi obchodzą! Tyś od wielu wstrzemięźliwszy. Tej wiosny, gdyśmy się poznali hen, na tej dzwonnicy farnej, nazwaliśmy się po imieniu i to wystarczyło. Zagadaliśmy i poszliśmy razem. Było nam dobrze u tego okna grać w późne wieczory. Masz niepospolity talent, chłopcze; pilnuj go; to jedno, czego ci żadna moc ludzka nie wydrze i co cię na fali utrzyma.

— Potrzebowałbym jeszcze długo twoich nauk. Myślałem...

— Że cię długo jeszcze, jak ślepego, wodzić będę. Znadto ci dobrze życzę. Co trzeba, tegom nauczył. Teraz oczy otwórz, uszy nadstaw i idź sam! Jak sławnym się staniesz, przyjdę ci się pokłonić.

— Ja, sławnym! — ruszył ramionami Józef. — Mnie chleba trzeba, a nie sławy. To marzenie.

— No, a cel trzeźwy?

— Ano: kursy skończyć, posadę dostać. Wirtuozem być nie chcę.

— Szkoda, bo to twoja właściwa droga. Ale właściwe też jest ludziom czynić swemu powołaniu zawsze na przekór. I to mojej recepty część pierwsza.

— Więc to recepta, mistrzu? — zaśmiał się Józef.

— Zaczekaj! Przede wszystkim *curriculum vitae* \*:

Urodziłem się w domu bankruta i matki zajętej strojami i zabawą. Hodowaliśmy się samopas, ja i troje rodzeństwa, ponieważ ani ojciec, ani matka czasu dla nas nie mieli. Wtedy, przede wszystkim widząc, jakimi ofiarami okupuje się zbytek, znienawidziłem pieniądze, obrzydziłem sobie świetność, sławę i tak zwane towarzystwo. Potem, oddany do szkoły, gdzie kształcono paniczów, widziałem nieuków czelnych lub bogaczy wpływowych, biorących promocje i pochwały... i zohydziłem sobie naukę. I mnie wtedy potrzebna była kariera, bo

\* curriculum vitae (łac.) — życiorys.



czułem nędzę wyzierającą spoza firanek naszego świetnego domu: schody zalegali wierzyciele. Jednakże to właśnie zohydziło mi karierę: stanowisko wyradza potrzeby, ambicję, chęć błyszczenia; potrzeby zaś są jak bakterie mnożne i sprowadzają śmierć... materialną. Takem kombinował... i pewnego dnia uciekłem ze szkoły, nie wróciłem do domu. Ojciec mój zastrzelił się, matkę przytuliła rodzina, siostra jest... mniejsza, to do rzeczy nie należy; bracia dzięki protekcji, zajmują drobne posady; a wszyscy oni uważają się za nieszczęśliwych, skrzywdzonych, wykolejonych. I tak czuje dziewięć dziesiątych ludzkości... I dlaczego, dlaczego? Toć przecie jasne jak słońce: dlatego, że każdy pragnie i pożąda więcej, więcej, więcej, kiedy każdy powinien strzec się chęci jak drzewa wiadomości... złego. Bo uważ, jak mało człowiek potrzebuje: tę kurtkę mam już rok, wystarczy na drugi. Woda i chleb mało kosztuje, niewiele też owoc dojrzały, niewiele w cieniu spoczynek. Hej, skrzypki wy moje, wy zbawcę od doli przeciętnej, wy zbawcę od wołowego jarzma, od ciasnej drogi, po której ludzie idą w zamyśleniu i trosce, patrząc pod stopy!

— Mistrzu, to mrzonka! — przerwał Józef. — Pragnienia być muszą! Zawody ma każdy!

— Pragnij, ale tego, co cię wyzwala: swobody, zdrowia, ograniczenia potrzeb.

— Kochania — wtrącił słuchający.

— To kwestia zawodów. I mojej recepty część druga. Owszem, kochaj Boga, ale Go o nic nie proś, bo dał więcej, niż podziwu stanie w tobie; kochance nie mów: „kochaj mnie”,

druhowi nie mów: „pomóż mi”, uczniowi nie mów: „pójdź ze mną”, krewnemu nie mów: „pamiętaj o mnie!” Nic, nic! Bo kochanie urządzone jest jak waga w ormiańskiej kramicy. Kto kupić chce, ten się oszuka; kto sprzedaje, ten oszuka. To towar ni do handlu, ni do zmiany. Masz go, to przy sobie trzymaj. Kto Bogu się z prośbami narzuca, ten ślepy jest i głuchy; kto ludzi o zrównanie rachunków swych wydatków prosi, ten szaleńcem, co swe należności pisze na fali. Masz, zapamiętaj! Odgarnął włosy z czoła i ręką pogardliwie machnął, jakby dodawał w myśli: Ja darowałem.

— Wiesz, rad bym usłyszeć opowieść twego kochania — rzekł Józef nieśmiało.

— O wiele ciekawsze będzie ci własne — odparł artysta niedbale, rozrzucając hamak do spoczynku.

— Ale! — obejrzał się. — Zapomniałem o Druhu.

Z kieszeni swej kurtki dobył bułkę i kiełbasę, i karmił psa głaszcząc go. Po chwili głowę podniósł i rzekł:

— Psa warto mieć i skrzypki warto kochać, jeśli się chce wdzięczności i odpłaty. To koniec. Zabawię jeszcze tydzień; przychodź więc, aż tu Druha nie zastaniesz.

Wtedy i mnie już nie będzie. Dobranoc!

Wyciągnął się w swym bujającym pośnaniu i zanim Józef drzwi zamknął, już spał, upojony całodzienną wędrówką po górach.

A student, wracając zamyślony, słowa jego powtarzał, rozbierał.

To fałsz! zdecydował u drzwi swego nowego schronienia. On się zmarnował, zawiódł się, to nie racja, aby inni mieli życia się bać. Aha, niech no się ze mną los weźmie za bary!... Zobaczmy wtedy, kto dostanie stradivariusa!

## II

Pewnego wieczora Józef zapukał do drzwi drewnianego domu, który swym otoczeniem i pozorem już wieś przypominał, a od środka miasta leżał bardzo daleko.

Była to posiadłość krewnych jego, którym losy dały małą fortunę, świetne koligacje i siedmiu synów.

Z darów tych, które rujnują zwykle, kobieta potrafiła uczynić fundusz.

Od najdawniejszych czasów pamiętał ją Józef zawsze starą, chudą, szpetną, zapracowaną. Włóczyła wszędy za sobą stado urwisów zgłodniałych i swawolnych, którzy, jak szarańcza, byli zmorą krewnych, kędy spadali na wakacje. Maricowie na samą myśl o nich zielenieli ze strachu, inni znosili mniej lub więcej stoicznie ten dopust familijny. Radczyni (nieboszczyk rodzic tego plemienia zostawił po sobie ten tytuł i emeryturę, zresztą mało kto go pamiętał) była pośmiewiskiem jednych, oburzeniem drugich, antypatią prawie wszystkich. Ona tego nie czuła ani rozumiała. Uczucia jej streściły się w dzieciach jedynie, które kochała jak wilczyca swe małe, gotowa dla nich dać życie i krew, znieść wszystkie piekła.

Zresztą uczucie to zwierzęce było, tylko materialne. Pilnowała, by syte były, odziane; każdemu po kolei, gdy dorósł, wyszukiwała chleba kawałek i zostawiała bez żadnego moralnego wpływu i kierunku, pozostałymi młodszymi już tylko zajęta.

Na usługi każdego była, wiecznie służąc, znosząc, dogadzając fantazjom, pochlebiając, byle stąd dla dzieci mogła coś skorzystać. Sama Zawsze głodna, źle odziana, jak dzień, tak noc w pracy i ciągłej trosce.

Oszywała tę zgrają, przymawiając się, gdzie mogła, o odzież znoszoną; karmiła, biorąc za swe usługi od wieśniaków produkty; dawała im sama korepetycje, nauczywszy się z długiego osłuchania nauk gimnazjalnych; wymadlała stypendia i wsparcia, przepychała ich gwałtem przez klasy, a potem obdarzała co rok nowym maturzystą jednego z wpływowych krewnych,

Chłopcy musieli się uczyć, pilnowani na każdym kroku, ogarnięci jej szaleństwem, od kolebki wtłoczeni w karby obowiązku. Wychodzili na świat wreszcie oszołomieni, wyczerpani, z biernością maszyn biorąc się do wyznaczonej pracy.

Potem zwykle matka ich opuszczała, wracając do mniejszych, i wtedy różnie się krzywili i formowali, ale to ją już nic nie obchodziło. Jak wilczyca dała im kły, pazury, siły i rewir, gdzie już sami o sobie myśleć byli obowiązani, i na tym zamykała księgę swych obowiązków.

W ten sposób z domku na przedmieściu wyszło w świat sześciu chłopców jak dęby i gwarny ten ul opustoszał. Został przy matce najmłodszy, rówieśnik i kolega Józefa, który z rozkazu matki miał zostać doktorem i przy niej na ojcowiznie zamieszkać.

Z nawyknienia długoletniego radczyni zapracowywała się i teraz. Produkowała warzywa w ogródku, dawała lekcje muzyki, haftowała, zbierała nowinki, służyła każdemu.

Nie potrafiła już odpoczywać, jak nie pamiętała, że niegdyś była młodą i wcale inną z natury.

Józef bywał często u kolegi Michała, sympatyzowali z sobą i on też jeden nie drwił ze starej; tłumaczył ją, i nawet podziwiał.

Radczyni otworzyła mu sama, ubrana jak do wyjścia, w mantyli odwiecznego kroju i starym słomianym kapeluszu.

Powitała go wybuchem serdeczności:

— Ach, to ty, mój miły! Jakiś ty śliczny, jaki elegancki! Kochają się w tobie panienki... Wiem, wiem, słyszałam! Chcesz, wyswatam ci kogo. Jak dobrze, żeś przyszedł; muszę wyjść do sędziostwa... powiesz to Michasiowi; zaczekaj na niego, zaraz wróci. Może go gdzie z sobą wyciągniesz na kolację lub na piwo?

Biedak, nudzi się w domu!

— Dobrze, kuzynko — dobrodusznie rzekł Józef, czerwieniąc się za nią.

Jeszcze raz go uściśnieła w kościstych ramionach, przeprosiła i podreptała szybko.

Chłopak po ciasnych stancyjkach się rozejrzył, otworzył fortepian rozstrojony; spróbował tonów wzdrygnął się i dla przepędzenia czasu jął go stroić.

Po chwili z całym przejęciem wziął się do dzieła; nie zauważył kroków w przedpokoju i salonie; gdy zmęczony się wyprostował, ujrzał Michała zatopionego w książce.

— Ach, jesteś! — zawołał. Tamten drgnął jak ze snu zbudzony.

— To ty! Nie spojrzałem; myślałem, że to Fein stroi ten mały klekot.

— Dobryś sobie! No, chodźmy na piwo! Wieczór cudny! Koledzy są w hali.

— Spać mi się chce, ale chodźmy. Wszędzie lepiej niż tutaj.

— Nie lubisz domu?

— Alboż to dom? To noclegowe schronienie. Mamy nigdy nie ma; a kiedy wypadkiem się spotkamy, ciągle mnie swata! Nie wiem co gorsze.

— Widocznie biedna siły traci, a wie, że bez piastunki ciebie zostawić nie można. Żeń się; jesteś przecie na ostatnim kursie.

— O Jezu! — jęknął Michał.

— Albo jej wyznaj swój sentyment do pani Lizy... Może potrafi usunąć przeszkody.

Michał oblał się krwawym rumieńcem. Józefa żal wziął za bolesny żart.

— Daruj bracie! — rzekł Józef wyciągając dłoń.

— Ależ mniejsza! Żartuj, bom głupi. A cóż, dobrze ci w nowym schronieniu?

— Jak w niebie. Miałem ci właśnie za tę przysługę podziękować. Stara gotowa do nieba, matrona z książki. Adam wygodny kompan; wygodnie jak u rodziców w gnieździe.

— A panny?

— No, ta mała podlotek jeszcze! Starsza, ta Pepi, wesola dziewczyna.

— Cóż, zaglądaliście sobie w oczy?

— Nie. Parę razy chodziliśmy na przechadzkę; wieczorem niekiedy grywamy na fortepianie, ale nie mówiliśmy nigdy o sobie. Lubię ją za werwę i wesołość. Na święta urządzamy teatr amatorski. Boże, co za życie i ruchliwość w tej dziewczynie!

— Tak! — lakonicznie potwierdził Michał. — A Gucio tam bywa?

— Bywa. Ostatecznie ja tam bywam rzadko. Wychodzę rano na kursy. Po obiedzie mam parę godzin korepetycji, wieczory spędzam u Łukasza.

— Bawi jeszcze ten oryginał?

— Wczoraj już nie zastałem psa w jego gołębniku. Musiał odejść. Szkoda! Widziałeś go kiedy?

— Widziałem w oberży zamiejskiej. Siedział na stole i grał do tańca gromadzie wieśniaków wracających z targu. Poznałem go po twoim opisie i podziwiałem. Pyszna twarz! A grał tak, że taneczników szła ogarniał. Scena to była z baśni o czarodziejach.

Rozmawiając szli do rynku. Stateczni mieszkańcy już zamykali drzwi i okiennice, po sklepach kończono robotę. Teraz gród cały obejmowała w swe posiadanie młodź uniwersytecka. Nad rzeką snuły się czułe pary; gdzie niegdzie zbierały się większe gromadki, obmyślając psoty; po cukierniach i piwiarniach było pełno młodzieży.

Józef należał do amatorów dysput poważnych. Michał lubił białe piwo. Wstąpili więc do hali literatów, zajęli stolik u wejścia, rozejrzeli się po obecnych.

— Patrz, Gucio jest. I Adam! Już się za łby biorą! — zaśmiał się Reni. — Lubię patrzeć na takie kontrasty obok siebie. Ten ultramontanin\*, a ten radykał. Pyszni są!

— Ale, to poza! — mruknął Michał. Urywki rozmowy tamtych dolatywały.

— Kościół to grunt pod trwałą budowlę żywota — mówił szczupły brunet o twarzy rasowej i ruchach umiarkowanych.

— Kościół to grunt do kastowości, ciasnoty pojęć i fanatyzmu — perorował rozrostły, wielki blondyn leżący prawie na stole.

\* ultramontanin — zwolennik kierunku domagającego się nieograniczonego wpływu na sprawy kościelne w poszczególnych krajach z tendencją do podporządkowania wszystkich dziedzin życia potrzebom Kościoła.

— Tamten rad, że ma tradycję i okrywa nią, jak płaszczem, swą osobistą nicość. Ten nowy człowiek jest... nagi, więc, zazdroszcząc płaszcza, nagością swą się natrzęsa, bo się jej wstydzi — zdecydował spokojny Michał.

— Ja mu nie pozwolę na Kościół szczerkać! — oburzył się Józef wstając.

Kolega zatrzymał go za rękaw.

— Wierzysz... Idź się pomódl! W prozelityzm się nie baw! Szkada daremnej fatygi. Patrz, twój socjusz cię szuka!

Rzeczywiście, młody człowiek w binoklach przeciskał się między stolikami i zaglądał każdemu w oczy. Józef rozpromieniał cały.

— Iwo! — krzyknął. Tamten się obejrzał i zawrócił. Mały był, chuderlawy, już łysy.

Nadużycia wszelkie wypisały na nim swe dzieje: niedowidział, miał „tik” w ustach, trochę utykał na nogę.

Przypadł do nich i witał nerwowo, spiesźnie, wiecznie gnany wewnętrznym niepokojem.

— Ledwem cię odszukał. Znowu mam szkła za słabe. Wiesz, skandal się stał...

— Ojciec nie przysłał pieniędzy!

— Et, taki drobiazg. Można dostać zawsze. Ale miałem przejście ze starym Maltasem. Co pijecie? Ja tu przysiadę. Mam być w teatrze po Lenę! Panno, mój kufel!

Plątał jedno z drugim, rozrzucając się na wsze strony.

— A, oto Max! Siadaj, posłuchaj! Ten zwierz zhańbił w mojej osobie cały uniwersytet. O, i Paweł jest i prozelityzm — dążenie do nawracania innych na swoje wyznanie.

Siadajcie! Panno, pilnować naszych kuflów! Wokoło stolika zebrało się z dziesiątek chłopaków: zaczynało być głośno.

Ten i ów się obejrzał i uśmiechnął pobłaźliwie.

— To hrabia Iwo funduje jakąś hecę na noc! — szeptano. Przy stoliku piwo się lało. Twarze i oczy pałały. Józef na

stole się wsparł i z obudzoną do figlów ochotą czekał tylko hasła, wpatrzony miłośnie w Iwona. To był jego nauczyciel swawoli wszelakiej i brat owej kuzynki — ideału. Miał dziwną słabość do tego człowieka, dawał mu się ciągać tam, kędy sam by pewnie nie poszedł, wobec niego wstydził się być dobrym.

— Więc to było tak... — powiedział Iwo, gdy dosyć już zebrał słuchaczy, a wypił za trzech. — Wybrałem się o zmroku nad rzekę na spacer. Pod wierzbami napotkałem jakąś dziewczynę i zaczęliśmy razem podziwiać wschód księżycy. Co było, to do historii nie należy, dosyć, że księżyc był wysoko, gdy miała już do syta spaceru. Odprowadziłem ją do domu! Pokazało się, że to wnuczka Maltasa, i stary natknął się na nas, gdyśmy pod bramą zamieniali pożegnane całusa. Ja go nie widziałem po ciemku, no i ten gbur bez żadnego wstępu wpadł na mnie z laską. Wycofałem się w porę; sięgam do kieszeni, szukając jakiej zemsty, nieszczęściem miałem tylko flakon perfum. Ach, żeby choć jedno zgniłe jajko... nic! Więc tym flakonem rznę go w łeb, bo stał wciąż i wymyślał mi od szubrawców. No i chybiam... trafiłem w pannę. Robi się lament, jakby siedem pawi naraz wrzasnęło... Stary rzuca się z pałką do mnie, wołając policji... Rejteruję, obiecując powrócić i powrócę.

Audytorium kładło się od śmiechu. Iwo zwrócił się do Józefa:

— Idź, kup smarowidła, drąg i pędzel! Spotkamy się na rogu!

Michał pochylił się do towarzysza.

— Nie idź! — szepnął. — Usmaruje on ciebie!

Ale Józefek już był podпиты, a wtedy tracił równowagę i bywał uparty jak muł. Syknął, szarpnął się i wyszedł.

Pozostali pili i żartowali dalej, aż Iwo na zegarek spojrzął, mrugnął znacząco i wyszedł.

Michała już między nimi nie było.

Wesoła paczka skręciła na róg oznaczony, gdzie w załomie muru czekał już Józef z akcesoriami. Ruszyli dalej i Reni szepnął do Iwona:

- Pedel mnie widział z tą maźnicą!  
— Głupstwo! — tamten nucąc odparł. — Cóż ty? Tchórzysz?  
— Jeszcze czego!

Kamienica Maltasa już była widoczną. Rozstawili się w ulicy i nagle któryś zduszonym głosem wrzasnął:

— Pożar!

— Pali się! — powtórzył drugi, trzeci, na całej linii. Józef pod oknem jednym stanął, pilnując. Nagle lufcik się rozwarł. Głowa starego wyjrzała. W tej chwili drąg się podniósł i pędzel ohydny przeszedł mu po twarzy.

Rozległ się krzyk zgłuszony, brzęknięcie szyby, potem alarm w całym domu.

Dręczyciele już niknęli w ulicy. Józef poskoczył za nimi, gdy wtem ktoś wypadł nań z bramy i drogę mu zagroził.

Rzucił tedy *corpus delicti*, odepchnął napastnika i popędził co tchu.

A pedel tymczasem zebrał flegmatycznie maźnicę i pędzel, i zawrócił do mieszkania.

Nazajutrz Maltas wniósł swą skargę, rzucając podejrzenie na Iwona, którego wnuczka opisała. Wezwany, wyparł się. Niewinność jego utrwaliło zaręczenie pedla. Józef, wytrzeźwiony, więc pokorny, nie potrafił znaleźć wykrętu. Po raz już może dziesiąty organizator wykręcał się jego kosztem. Ofiarą był przyjaźni i wysoko pojętego koleżeństwa. Teraz zagrożono mu wydaleniem. Stał, jak na mękach, przed rektorem, który go karciał ostro, nazywał wstydem szkoły. Zarektorem stał Maltas drżący z oburzenia. Gdy ten kończył, tamten zaczynał; pedel każdemu głową potakiwał w milczeniu, pełen uszanowania.

— Nie rozumiem pana! — perorował rektor. — Nie szanujesz swego stanowiska, jesteś ulicznikiem, niegodnym nazwy studenta, kształcisz się na cygana i awanturnika. Oto dziesiąty raz w ciągu dwóch lat czynisz mi wstyd i hańbę. Miałem wzgląd na młodość, swawolę, nie miałem sumienia łamać ci życia i kariery. Teraz miara się przebrała. Kąkol palić należy, zły przykład usuwać. Szanownemu obywatelowi należy się zadośćuczynienie świetne i dam je, wykluczając pana spomiędzy studentów.

Chłopak zzieleniał; zbyt hardy, by prosić łaski, stał jak słup i tylko w gardle go dławilo poczucie żalu za niesłuszną karę. Maltas skorzystał z przerwy.

— Fe, to wstyd, to szkaradnie! — ozwał się. — Znałem rodzinę pana całą: ojca, ciotkę, wuja. Między nimi nie było nic podobnego. Może to pańskie arystokratyczne przez matkę stosunki nauczyły pana podobnych bezecenstw? Między nami za grzech się to uważa! Bo i co się panu stało? Napadać na biedną dziewczynę z porządnego domu jak na ulicznicę! Mógł pan uczciwie do domu mojego przyjść i poznać ją. Przyjąłbym mile, syna takiego ojca, przez pamięć dla niego. Teraz i ja wykreślam pana z szeregu ludzi, z którymi mogę obcować!

Józef poczerwieniał nagle.

— To fałsz! — wybuchnął. — Wnuczki pana nie zaczepiałem, ani w głowie mi to postało. Pamięci też ojca nie zhańbiłem niczym.

Pedel w milczeniu maźnicą poruszył.

— A toż co? — wskazał rektor.

— To był figiel niesmaczny, za który gotów jestem panu Maltasowi służyć satysfakcją, jakiej zażąda.

— Co? co?... Satysfakcja! — oburzył się filister. — Może pan myśli, że będę się pojedyńkował? Ja nie szlachcic, ani pan... po ojcu! Ja się zdaję na sąd pana rektora! Jednakże, zdaje mi się, że ich dwóch było w tej sprawie.

— Jak to? — zagadnął rektor.

— Ten, co mi wnuczkę skrzywdził, i ten, co mnie obrudził. Tamtego chcę też mieć! Tamten gorszy, o, gorszy! I chytry, tego podsunał. Przysięgnę, że to jakiś panicz, który głupiego sobie wynalazł na szyld! To nie z własnej inicjatywy ten zrobił. Wierz mi, rektorze. Ja sądziłem niegdyś, znam się z tym! Ten schowany... winniejszy!

Józef usta zaciął, czując zbliżający się szturm.

— Był ktoś, co pana namówił? — zwrócił się do niego Maltas. — A co, zgadłem! To cały spiszek paniczów na nas! Wyznaj pan!

— No, no... to ten był, co się wyłgał? Prawda? To ten był — pedel szepnął, oczami mierząc Józefa.

— Wyznaj pan! — rzekł rektor. — Przez wzgląd na twoją przyszłość powinienes to uczynić. To już nie karcer ci grozi!

— A co? Milczy! — triumfował Maltas.

Józef głowę podniósł.

— Mogę mówić tylko za siebie. Winien jestem i przepraszam pana. Działalem w podnieceniu, to jedno mam na swoje usprawiedliwienie. Zresztą nic nie wiem!

— Oho, wie, wie! — kiwał głową stary.

— Może i teraz mówisz pan w podnieceniu? — rzekł rektor. — Daję ci zatem trzy dni do namysłu. Spędzisz je w karcerze. Stamtąd powrócisz do nas lub... odejdiesz od nas zupełnie. To zależy od pańskiej szczerości. Żegnam!

Józef skłonił się i wyszedł.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, Maltas zażył tabaki i frasobliwie łysinę potarł.

— Jednakże żal mi go — zamruczał. — Pospieszyłem się z podaniem skargi. No, byłem pewny, że który z tych paniczów. To swoja krew, zmarnuje się. Żle się stało!

— Dobrze się stało! — poprawił rektor. — Ten jeden przykład opamięta wszystkich. Poczują, czym grozą ich zabawy!

Maltas głową pokręcił, w roztargnieniu się pożegnał i wyszedł, bardzo z siebie nierad.

Józef tymczasem nie powrócił do sali, lecz udał się do swego mieszkania i oznajmił gospodyni wypadek.

Rozdrażniony był, ale się nie tłumaczył.

— Skazany jestem na trzydniowy karcer, a może potem na wydalenie! — mówił uśmiechając się z przymusem. — Wstąpiłem o tym powiedzieć, aby szanowna pani nie dziwiła się mojemu zniknięciu!

— Ach, mój Boże! — zawołała ręce składając. — Przyślę panu obiad tam!...

I tyle. Wesoła Pepi, grająca na fortepianie, zaśmiała się swawolnie.

— Zmalował pan coś srodze. Proszę opowiedzieć, jeśli to zabawne. Nudzę się dzisiaj!

— Opowiem za powrotem. Muszę się spieszyć! — odparł swobodnie.

W duszy jednak czyniło mu się ciężko.

Czuł, że grubą stawkę postawił i jest na progu zguby.

Gdy się znalazł samotny w pustej izbie tego uniwersyteckiego więzienia, gdy odespał noc przehulaną i zastanowił się chłodno, począł się wahać.

Iwo od dwóch lat był jego złym duchem.

Od tego czasu, gdy się lepiej poznali na wakacjach w domu jego rodziców, a dalekich matczynych krewnych Józefa, Reni był na nauce złego.

Wychowany we młynie, pod ostrym dozorem i wpływem surowych obyczajów, potracił powoli swe zasady i złudzenia, młodzieńczą świeżość.

Iwo drwił z jego nieświadomości, nauczył go palić, hulać. Aby się wyrwać na noc do socjusza, okłamywał ciotkę, przed egzaminami omal nie został na kursie, raz nadużycie ciężko przechorował.

Idealista z natury, zabijał dobre w sobie, nie z temperamentu, ale z ambicji, by tamtemu sprostać; umyślnie do wybryków przeróżnych podniecał się pić nad miarę.

Głowę miał słabą i gdy trzeźwy, często odczuwał swój upadek i postanawiał przestać; pijany robił się zupełnie szalonym, niewolniczo Iwonowi posłusznym.

Trzeźwy też tłumaczył swój stosunek z urwisem miłością dla jego siostry, szaty swe — jej chłodem, który go rozpaczą napelniał.

Miłość to była godna młodzieńczej wyobraźni. Tylko w głowie idealisty mogła mieć grunt i żyć nadzieją.

Panna to była bogata i piękna, światowa i zalotna. Bawiła się nim, może lubiła go za dowcip i delikatne usługi.

On był jeszcze w tym wieku, kiedy się zdaje, że świat do chcącego należeć musi i będzie.

Wierzył, że ona go pokocha, bo on miłuje.

Z tą wiarą służył jej jak królowej, uczył się, zdobywał karierę i czekał.

Na zydłu w karcerze ułożył tedy dla niej wiersz, potem go uwiecznił na ścianie w melodii szybko ołówkiem nakreślonej, potem odśpiewał go, patrząc na rynek przez kraty w oknie. Czuł się jej bliższym, gdy za brata cierpiał niewinnie.

Zmierzch zapadł prędko. Pozbawiony światła, Józef pół drzemał, pół marzył. Nie nudził się nigdy sam sobą. Między ludźmi swawolny i żywy, wyrobił to w sobie pracą; w samotności pozwalał fantazji hulać, fantazji artysty i marzyciela.

Przestrzeń, czas, osoby bywały wtedy sługami jego myśli bujnych. Snuł sobie przyszłość złotą, dolę rozmaitą, wedle chwilowych wrażeń.

Nie bał się życia i wierzył, że nie ono jego, ale on je ułoży sobie wedle upodobania. Przede wszystkim przedstawił sobie pierwsze wstępne spotkanie z kuzynką.

Przyjdzie, stanie w hotelu z damą do towarzystwa, Angielką, lub z ojcem. Iwo go wnet kartką zawiadomi i on tam pójdzie, strojny, z bukietem w ręku. Jakże mu serce bije!

Spojrzy na nią jak czciciel na bóstwo i kwiaty odda — nic nie rzeknie.

A ona mu rękę poda, może pocałować pozwoli ze swym sfinksowatym uśmiechem i powie, że mu dziękuje za brata.

Potem kwiatek jeden oderwie i do stanika przypnie, a resztę do wazonu włoży. Potem mu spacer zaproponuje po sprawunki... Ile on tych sprawunków i posyłek załatwił, jaki się dumny czuł! Ach!

Jej łaskawość nie sięgała nigdy dalej; używała go dla swej wygody, ale on to sympatią nazywał, bo mu raz przecie rzekła, że po latach zaledwie wierności... zaufa!

Rozmawiali rzadko z sobą. Ona była małomówna; on, frant i zdolny do nie lada jakiej szermierki językowej, wobec niej głupiał ze szczętem. Uwielbiał, czcił i milczał.

Miewał jednak niekiedy reakcje. Po jej odjeździe, gdy przetrawił wrażenia, bieg tych godzin razem spędzonych, widział, że o krok dalej nie postąpił. Wtedy opadała go czarna rozpacz i bunt. Chłód jej podniecał go. Idealistę zadowolniłaby serdecznym słowem lub spojrzeniem — odjeżdżała zawsze chłodna, trzeźwa, dumna.

On z rozgorzałą głową powtarzał sobie, że tak żyć nie może, przeklinał ją, szedł hulać na złość sobie; gdy otrzeźwiał, rozpoczynał znowu o niej śnić i myśleć.

Michał, który powiernikiem jego był, nie wierzył w jakąkolwiek przyszłość tego uczucia; wątpliwości jego jeszcze jeden cień dodawały i tylko przyjaźń z Iwonem żywiła nadzieję. Teraz, jeśli go wypędzą, Iwo mu nie zapomni przysługi, dopomoże!

Powoli w tym marzeniu szalonym przesuwac się zaczęły obrazy cudne. Będzie się kształcił na artystę, zdobędzie sławę; kuzynka będzie mu natchnieniem, mistrzynią; odda mu swą rękę, a on jej wszystko rzuci pod stopy; swe laury, duszę, życie.

I z tym zasnął na twardym zydłu w karcerze, gdzie siedział za figiel uliczny, zagrożony wydaleniem — w przededniu zwichnięcia kariery.

We śnie był mocarzem potężnym!

Zbudził się nazajutrz głodny, z bolącymi bokami. Spojrzał: stróż mu przyniósł chleb i wodę; profesorowa zapomniała obietnicy i nikt z kolegów go nie poratował.

Poczuł się nagle małym, biednym, bez wsparcia — i widmo utraty stanowiska wypełzło ohydne w myśli.

Z rękami wsuniętymi we włosy przesiedział parę godzin, bijąc się z myślami.

Wreszcie otrząsnął się, wstał, zjadł chleb, wypił wodę i zaczął gwizdać.

— No i cóż! Zginać trzeba, to trzeba! — zamruczał. Nie zawahał się w postanowieniu milczenia ani na sekundę.

Dzień ten jednakże był dłuższy i cięższy do przebycia. Zamożniejsi przekupywali stróża, dostawali książki i papierosy; dla niego, biednego, cerber był nieubłagany.

Izba duszna była i ciasna. Józef chodził po niej aż do zawrotu w głowie, potem kłął, to śpiewał na przemian; na drugą noc snu mu już nie starczyło. Coraz czarniejsze opadały go myśli. Nad ranem dostał gorączki i dreszczów.

Trzeciego dnia nie wstał z zydła i chleba nie wziął do ust; wieczorem był już zupełnie chory. Stróż poszedł z raportem do rektora.

Zwierzchnik zrazu nie uwierzył.

— Udaje, błazen! — burknął i stróża z niczym odprawił. Ale w parę minut namyślił się przecie, wziął kapelusz, laskę i poszedł sam naocznie sprawdzić wypadek.

Karcer był na trzecim piętrze i stary dość miał fatygi, zanim się tam dostał.

Stróż mu świecił latarnią, pomagał ramieniem. W izbie, na widok światła, Józef siadł na zydłu mrużąc oczy i ściskając dłońmi bolące skronie. Rektor stwierdził, że niesłusznie go o udawanie posądzał, i uczuł wyrzut sumienia.

— Co to panu? — spytał.

— Nie wiem! W uszach mi dzwoni i głowa pęka.

— Ano, to doktora trzeba. Zbierz pan siły i chodź ze mną. Oto skutek waszych hulanek!

Z zasady wszystko morałem kończyć.

Zaczęli zstępować powoli. Stróż chłopaka prawie niósł.

W dziedzińcu wsadzono go do dorożki.

— Lecz się pan starannie — rzekł mu rektor na pożegnanie — a gdy wyzdrowiejesz, przyjdź do mnie. Bardzo mi przykro, ale pana lekkomyślność tu zaprowadziła. No, ruszaj!

Przez czas kilkudniowej swej choroby Józef uczynił nad ludźmi wiele spostrzeżeń, poczuł też bardzo brak rodziny.

Profesorowa wprawdzie dawała mu ziółka i rosoly, ale on właśnie miał wstręt do jadła i nie odczuwał wdzięcznie tej troskliwości. Współlokator, ze zwykłą mężczyznom przy chorych niezaradnością, wędził go dymem tytoniu i ofiarowywał się czytać kursy, gdy biedak w zbolałej głowie nie mógł jednej myśli pomieścić.

Panny po całych dniach grały na fortepianie ćwiczenia, sprzeczały się z sobą lub trzaskały hałaśliwie drzwiami.

Kanarek obok w salonie i dzwonek z drugiej strony pokoju dopełniały całości udręczenia. Czasami chory jęczał i zrywał się, by uciec gdzie indziej; ale Adam Konarski występował z protestem:

— A co? Nudno ci? Poczekaj, dam ci lampę i gazetę. Poczytaj trochę!

— Oj, te baby i ten ptaszek! Moja głowa! — stękał nieborak opadając na posłanie.

Na domiar nieszczęścia profesorowa zawiadomiła ciotkę. Maricowa, bardziej z ciekawości niż ze współczucia, zjawiła się pewnego dnia i zasiadła u łoża jak uosobienie zgryzoty i niedoli.

— Źle nam jest, coraz ciężej! — biadała. — Zboże drogie, oszukują, sypią piasek. Mąkę coraz trudniej zbyć. Nikczemny Tannus, ten infamis\*, fuszer z wiatraków, między piekarzami na nas oszczerstwa szerzy. My mamy piasek sypać, my? Żeby sobie kamienie popsuć? Słyszane to?

Józef wzdrygał się na głos wrzaskliwy, na potok treści słów mu zupełnie obojętnej.

— A przy tym te kradzieże! — biadała dalej, ocierając pot z twarzy. — Złapałam onegdaj magazyniera na deficycie; on to na szczury składa; znam ja te szczury. Dałam Janowi, dałam! Nie dostanie tytoniu, aż się to wróci, bo ruina i tak stoi u drzwi naszych... głód, bankructwo!

\* nfamis (z łac.) — człowiek złej sławy, bez czci i szacunku.



Wypędziłam magazyniera, kontrolera, dwóch stróżów; trzeba personel ograniczyć. Mniej sług, mniej złodziei. Przybyła i tak jedna gęba do karmienia. Mój Boże!

Józef był bliskim omdlenia — milczał.

— Musiałam wziąć na wychowanie sierotę po siostrze Jana. Z wielkiego miasta to mi spadło... fiu, fiu... jakie strojne! Twoja matka tylko jedna w naszym rodzie miała takie falbanki; no, ale ona to co innego! Zaraz też to wykreśliłam z użycia! Mnie stać ledwie na perkalik i na grube sukno. Musiałam oporządzić... i tyle pociechy. Teraz jadę do Maltasa; on mi nastreczy niedrogo cieślę... Ach! Boże! Grosz, jaki zostanie, pożerają reparacje! Czuję, że prędko umrę!

Oj, pewnie, jeśli już ciotka sierotom daje oporządzenie! — pomyślał Józef.

Pożegnała go, ale od drzwi wróciła.

— Aha, mam jeszcze i dla ciebie miłą nowinę: ze Śląska był list!

Zrobiła pauzę oratorską, śledząc wrażenie.

Chory szeroko oczy rozwarł, oczy biedne, o krwią nabiegłych białkach, i wlepił je z trwogą widoczną w twarz swej dręczycielki.

— Domyślasz się, co ten list zawiera. Już to obadwa wyrodziliście się na wstyd nazwisku! Dyrektor pisze, że Piotruś, zamiast się kształcić, hula i gra w karty udając panicza. On szubrawiec, a ty lekcje skrzypiec bierzesz. Bardzo pożyteczne i praktyczne! I oto co zostało z Renich! Lada chwila i Piotruś nam spadnie. Odarty i pokorny, póki w pierze nie obrośnie. A za nim przy czołgają się jego dłużnicy. I płąć, płąć! Chryste Panie! Ile ja pieniędzy dołożę do tej sumy, zleconej mi przez nieboszczkę Adolfową! Całe życie pokuty za głupią litość! I ty masz sumienie dziesiąty procent brać! To bezecne! I to Reni, Reni!

Z tymi słowy wyszła już naprawdę. Józef wtulił głowę w poduszkę i płakał jak dziecko.

Utrapien za wiele się zebrało.

Odwiedzali go też koledzy, długo i szeroko rozprawiając o wypadku. Zgadziali się na jedno:

— Szelma Iwo! Frant, jakich mało! A to sianem się wykręcił! No, zuch!

Reni nie był tego zdania, ale potakiwał. Gorzko mu było, że Iwo się nie pokazywał; dla niego był to zawód okropny.

Z początku lada chwila spodziewał się go, potem wstydził się za niego i tłumaczył nawet przed innymi. W duszy miał ferment.

Ostatniego dnia, gdy się już zwlekał i po stacji się suwał, przyszedł Michał. Obejrzał go okiem medyka i zaczął mówić o slocie, grzejąc plecy u pieca.

— Co z tego będzie? — zagadnął wreszcie.

— Z deszczu?... Błoto! — odparł Józef udając, że dalej mówi o pogodzie.

— A pewnie. Kto ma dziurawe buty, niech je łąta!

— Ja mogę chodzić boso. Najmę się za frotera.

— Nie wiem, czy umiesz zaprawiać podłogi.

Umilkł i po chwili spytał:

— Jutro będziesz u rektora?

— Jutro.

— Maltas już ci wyprosił darowanie.

— Skąd wiesz?

— Od jego wnuczki. Daję jej korepetycję.

— Tak? Ano, to dobrze. Pójdę staremu podziękować.

— Warto. Bo chociaż żart zabawny, ale prawda byłaby gorzką. Cóż Iwo? Był u ciebie?

— Nie, on taki roztrzepany... zapomniał!

— Jestem także sławny z dystrakcji, a jednak nie darowałbyś mi zapomnienia. Ale to zwykłe. Darujemy wszystko tym, których sami ubraliśmy w różne cnoty, aby upozorować przed rozumem bezsensowną sympatię!

Znowu zamilkł i rozmyślał z brwią zmarszczoną.

— Wiesz co, stary? Muszę ci coś powiedzieć; czuję, że to będzie niedźwiedzia przysługa. Podły obowiązek przyjaciela... otwieranie oczu nie pragnących tej operacji! No, głupstwo! Klnij mnie... wolę to niż wiedzieć, że cię wystrychnąć chcą na dudka!

Józefowi krew zamarła. Znał Michała, że o byle co nie czyni takiego wstępu.

— No, gadaj! Traktujesz mnie jak histeryczkę!

— Iwona siostra za mąż idzie!

— Cha, cha, cha! Tylko tyle! — zaśmiał się hałaśliwie Józef, odwracając się i coś nieistniejącego podnosząc z ziemi. — A za kogo?

Zająkał się przy tym pytaniu.

— Za krewnego. Wiesz, ten Henio!

— Aha, pamiętam. Gruby, kędzierzawy... dobry chłopak. Bywał u nich często. No... i to już pewne?

— Po Nowym Roku ślub.

— Kto co mówił?

— Matka. Pytałem się dzisiaj Iwona... Potwierdził. Zastrzegł jednak, że na weselu nie będzie; zapewne się boi, żebyśmy się nie wprosilili!

Józef znowu roześmiał się hałaśliwie. Silnym się uczuł nagle.

— Wyjźdźmy! — rzekł. — Chce mi się zabawić.

— Chce ci się płakać!

— Broń Boże! — oburzył się, odwracając oczy od towarzysza.

— No, więc pomówmy rozsądnie. Iwo nie jest dla ciebie towarzystwem, jeżeli chcesz zostać człowiekiem.

— Nie będę już człowiekiem... nigdy, nigdy! — wybuchnął Reni. — Po co? Dla kogo?

— Dla siebie chociażby! Dla kogo?... Życie długie; znajdzie się ktoś co tego wart.

— Nazwiesz mnie kpem, jeżeli kiedykolwiek pokocham jeszcze! Jeżeli chodzi o marnowanie czasu, wolę pić! Rozpiję się!

Potem nagle stanął i spokojnie dodał:

— Dziękuję za ostrzeżenie. To zdrowo!

Kipiało w nim: wstyd, upokorzenie, ból, rozczarowanie. Michał znowu plecy grzać zaczął i powoli, z namysłem rzekł:

— Bardzo szanuję kobiety i do pewnego czasu każdą traktowałem jak anioła. Nie udało mi się jednakże z nimi. Lubiły się mną chwalić przed starszymi, między sobą żartowały. Wszystkie moje kochania rwały się, każdy mnie ubiegał. Wtedy jedna z życzliwych mi starszych, a jednak wesołych, rzekła:

— Panie, czy pan zna Genezę?

— Znam. Cóż z tego?

— Nie zmieniaj pan natury rzeczy.

— Jak to?

— Ano: Bóg stworzył mężczyznę, a z żebra jego niewiastę. Ona to dotąd czuje i nie lubi, gdy mężczyzna traktuje ją, jakby on z żebra jej powstał. Niech czuje, żeś pan starszy... koniecznie! Rozumie pan?

— Rozumiem!

Józef zaczął słuchać uważniej.

— Cytuję to zdanie dlatego, że pochodzi od kobiety i zem potem wielokroć stwierdził jego słuszność. Zdaje mi się, że tobie posłużyć może nadal. Nie umiemy się brać do rzeczy!

— Spytałem i ja o to której! — zaśmiał się Józef.

— Ba, wątpię, czy spotkasz równie szczerą! Ogół zdanie to uważa za śmiertelną obrazę. Raczej zastosuj w praktyce!

— Nie chcę, nie chcę! Żadnej praktyki, nigdy! Chodźmy!

— Gdzie?

— Lepiej się czuję. Odbędę dzisiaj rektora. Jutro do roboty się wezmę. Trzeba tęgo pracować.

— Ciesz się mnie to. To znak, żeś kochał tylko fantazją! Wyzdrowiejesz prędko.

Po chwili meldował się Józef u swego zwierzchnika. Wprowadzono go do gabinetu.

Rektor wskazał mu krzesło i zaczął od pytania o zdrowie.

— Dobrze mi jest. Mógłbym już jutro powrócić do nauki, lecz powrócić mi nie będzie wolno.

— To zależy od pana. Proszę mi opowiedzieć rzetelny przebieg owej niefortunnej awantury, żadnego szczegółu nie pomijając. Skąd powstała myśl haniebnego ekscesu?

Józef, nie przygotowany do takiego zwrotu, milczał chwilę, układając bajkę. Rektor nań patrzył z uśmiechem.

— Więc — przynaglił.

— Otóż tak było. Wypiłem za wiele i coś mi do głowy strzeliło. Pan Maltas mnie spotkał dnia poprzedniego i nie przywitał. Wziąłem to za obelgę, postanowiłem zadrwić. Kupiłem smarowidło, pędzel, i poszedłem...

— Sam jeden?

— Tak.

— Za pozwoleniem, proszę, ja to lepiej opowiem. Przyszedł pan do hali literatów z medykiem, swym krewnym, bardzo porządnym chłopakiem. Po chwili przyłączył się do was hrabia Iwo i kilku innych. Hrabia Iwo opowiedział brutalną scenę, która wam się mocno podobała; potem posłał pana po ową smołę. Zeszliście się na rogu, przy sklepie żelaza, i ruszyliście w pięciu. Teraz może pan dalej opowiadać. Pomogłem pana pamięci!

Józef milczał. Rektor wyszedł zza biurka, wziął go za guzik od surduta i palcem kiwając mówił dalej:

— Słuchaj pan: byłem i ja w swoim czasie studentem; wiem, co solidarność. Jednakże wszelka rzecz powinna mieć granice. Wolno panu dla kolegi odsiedzieć kożę, nie wolno lekceważyć własnego losu. To się czyni dla matki, dla zasady, dla wiary... dla niczego więcej. Ten raz ujdzie panu, dlatego, żeś bardzo młody i obałamucony; ale to raz ostatni. W zamian wymagam od pana słowa honoru, że do kompanii tej już nigdy nie staniesz. Zgoda?

— Zgoda, panie rektorze. Ja sam się już opamiętałem. Ale mogę spytać, kto nas zdradził?

— Owszem, nikt ze studentów. Dwie dziewczyny. Wnuczka Maltasa pokazała mu na wystawie fotografię swego napastnika, którą on mi przyniósł, a córka dzierżawcy hali opowiedziała pedlowi waszą rozmowę. Maltas prosił mnie za panem. Czynię to z przyjemnością, bo mi żal młodego. Idźże pan z dobrą myślą, a o słowie danym pamiętaj!

Józef się cofał uszczęśliwiony, gdy sobie rektor przypomniał, że nie zakończył morałem. Odwołał go.

— Pamiętaj pan też — rzekł — iż zły przykład jest kroplą wody, a świdruje skały. Pan zaś nawet skałą nie jesteś, ale podatną, wrażliwą naturą, więc zginiesz, jeśli sobie własnych zasad nie urobisz! No, no, żegnam!

Józef jeszcze raz podziękował i uciekł jak zmyty.

### III

Maricowa, przetrzebiwszy zastępy oficjalistów, nie starała się o nowych.

Mąż otrzymał bezpłatną posadę magazyniera; sierota, wzięta na opiekę, została mianowana praktykantem na kontrolera; ona sama zajęła obowiązek stróża, do pomocy kupiwszy u czyściciela buldoga, a sobie sprawiwszy wielką pałkę.

Wprawdzie psa się sama trochę obawiała, a laska zawadzała jej w robieniu pończochy, czynności, którą spełniała zwykle — chodząc; ale nie traciła otuchy, że i z tym się oswoi, i dreptała dzień cały wścibiając wszędzie nos, rewidując każdą furmankę, oglądając interesantów, obmacując nawet torby z obrokiem.

Maricowi podobało się zajęcie. Odbierał po garstce z każdego worka mąki, nie doważał jaką drobinę, pył zmiatał skrzętnie, partię ziarna po dwakroć czyścił, na wagę zawsze coś naciągnął.

Sierota, zahukana, z sił całych starała się dogodzić. Nienawidzili jej majstrowie w warsztatach i młynarze, klęli furmani i dostawcy. Nie wierzyła nikomu, wciąż sama sprawdzając, notując, oszołomiona tą gmatwaniną pozycyji, towarów, cen, liczb. Płakała po całych nocach, zmęczona trudem, za który odbierała stałą nagane.

Maricowie trzymali się zasady, że pochwała demoralizuje tylko.

Z powodu pomnożonych obowiązków wstawano o godzinę wcześniej, zabierano się do spoczynku godzinę później; starzy mniej to odczuwali, ale sierota schła i więdła w oczach.

Uciekłyby z tego piekła, ale miała za sobą ciężką szkołę głodu, i chłodu, a w mieście, skąd przybyła — tylko drugą ciotkę, oddaną dewocji.

W ten sposób upłynął miesiąc — i znowu okazał się niedobór w magazynie, nieznaczny wprawdzie, ale bolesny.

— Szczury! — spokojnie wytłumaczył Maric.

— Nieprawda! Ktoś cię okrada! — wołała żona.

Nie było jednak czasu do dalszego sporu, popod gankiem stał już apoplektycznie spasiony siwek, zaprzężony do zielonej kariołki, i wielki czas był wyruszać na niedzielne nabożeństwo.

Małżonkowie jeździli zwykle razem, a po nabożeństwie odwiedzali krewnych lub załatwiali sprawunki. Potem schodzili się w zajęździe i odjeżdżali do domu.

Teraz, przy nowych zajęciach, mogli się tylko oddalać z domu pojedynczo.

Pani pojechała z sierotą, Maric w domu pozostał i starał się jak najmilej czas spędzić.

Zaczął tedy szukać kluczków żony.

Trudne to było zadanie, gdyż co dzień zmieniała miejsce. Przetrzęsąwszy możliwe i niemożliwe skrytki, znalazł wreszcie w starym pantoflu, głęboko pod łożkiem.

Osobliwe ta korpulentna kobieta wynajdywała kryjówki.

Maric udał się do apteczki pełnej zapasów. Po trochu nadpił wódki z kilku flasz i zagryzł szynką. Znalazł też tytuń i nałożył nim sobie fajkę; trzy kawałki cukru wziął do kieszeni — i wyszedł.

Dawno nie był tak syty i szczęśliwy.

Potem powrócił do sypialni i otworzył komodę. Stało tam pięć pudełek z monetą, opatrzonych etykietami jak trucizny:

„Na kuchnię”, „Na służbę”, „Na odzienie”, „Na rzemieślników”, „Na niespodziewane”.

W ten sposób, nie bardzo uczenie, ale praktycznie, pani Joanna utrzymywała budżet miesięczny, który on jej przynosił z wielkiej kasy w kantorze. W skrzynkach było zaledwie trochę srebra.

— Ho, ho, naprawdę nic nie oszczędza! — zamruczał zdziwiony, zamykając szufladę.

Otworzył potem szafę z odzieniem, zajrzał do toalety... zasmucił się i westchnął.

Już nigdzie więcej nie ma pieniędzy!

Rozejrzał się wkoło — wzrok jego padł na rzeźbiony, piękny klęcznik, pamiątkę po matce Józefa. Pani Joanna odmawiała na nim co dzień koronkę do Przemienienia Pańskiego, stękając z głębi duszy.

Szufladka w nim była. Maric spróbował otworzyć — na klucz była zamknięta.

Cierpliwie przebrał kluczyki, zanim natrafił na właściwy.

Nagle rzucił się naprzód, twarz tam zagłębił — stłumiony okrzyk wydarł mu się z gardła:

— A, kłamca! Zdradza mnie! Ukrywa się! Wiarołomna!

I oto z szufladki dobył na światło skarbonkę groszową, glinianą, zupełnie nową. Potrzęsął — fala krwi nabiegła w jego wpadłe policzki.

— Żółte! — wyszeptał z pieszczotą w głosie. Ostrożnie na powrót odstawił, przełknąwszy raz po raz przybywającą ślinę. Oburzony był.

— Nikomu wierzyć nie można! — zamruczał. — Nie ma sakramentu! Ona ma przede mną tajemnicę! To koniec świata!

Szufladę zamknął, klucze znowu do pantofla wsunął i stojąc u okna, skąd młyn widział, rozmyślał.

— Ile ona ich ma? Gdzie reszta? Czy więcej niż u niego? He, he, he! I on też. Hm, tego... tamtego! He, he, he!

Śmiał się złośliwie, rad, że jej podobnym odpłacił i ona nie wie! Ho, ho! Nie dowie się.

Mylił się stary. Pani Joanna dawno go miała w podejrzeniu — nie żeby zbierał i chował, ale że potajemnie przed nią tracił.

Podczas wycieczek do miasta szpiegowała jego kroki, badała kupców w magazynach spożywczych i służbę w restauracji: w jej wyobrażeniu był to obżartuch i łakomiec.

Od czasu deficytów w magazynie czujność jej wzrosła — i pewnej niedzieli, wyprawivszy go do kościoła, udała się też do miasta, otuliwszy się szalem aż po oczy, obojętna w swym zapale na listopadową słotę.

Sierota została w domu. Dała jej ciotka książkę do nabożeństwa, kazawszy nie wychodzić z pokoju.

Wskutek tego dziewczyna przyniosła sobie lusterko i stroiła w nim różne miny, za lada szmerem nakrywając je modlitewnikiem. Maricowa tymczasem czatowała pod kościołem i, dopatrzivszy męża, ruszyła za nim z daleka. Stary na rogu czytał afisze uważnie, jakby się do teatru wybierał... Oburzyło ją to.

Potem, przeszedłszy trzy razy mimo składu tytoniu, wstąpił i wyszedł z cygarem w ustach.

A co! A co! triumfowała w duchu.

Stamtąd Maric udał się do powroźnika, u którego miał obstalunek, i załatwił jeszcze parę poleceń żony.

Wrócił jednak znowu na rynek i stanął przed wystawą handlu win i delikatesów, i patrzył.

Wejdzie, wejdzie! myślała pani Joanna z bijącym sercem, ściskając mosiężną skuwkę parasola.

W tej chwili zza rogu ukazał się Maltas. Rozległo się powitanie.

— Aa!... Jak się masz, panie Janie!

— Dzień dobry, panie Kacprze!

— Cóż to? Bez żony jesteś? Na urlopie?

— Baba w domu została.

Baba! Pani Joanna kipiała, niby oglądając bardzo pilnie sąsiednią wystawę.

— No, może wstąpimy na lampkę? — zaproponował Maltas. — Mam ci coś do opowiedzenia.

— Zaczyna się! — szepnęła Maricowa. — Ho, ho, posłucham i ja. Ładne rzeczy opowiada ten libertyn i rewolucjonista! A ten stary, jak cielę, daje się wciągnąć.

— A gdzieś pójdziemy? — spytał Maric. — Tutaj?

— Ej, nie. Wolę tam, gdzie damy bywają. Lubię kobiety. A i ty nie od tego?

— Ho, ho! Czemu nie! — zaśmiał się Maric.

Słyszane rzeczy! Sodoma! pomyślała Maricowa bliska apopleksji.

Mężczyźni ruszyli do piwnicy pod ratuszem, najdroższej i bardzo uczęszczanej.

Zajęli stolik, kazali podać wytrawnego węgryzyna i rozglądali się po publiczności, czyniąc śmiało uwagi.

Za ich plecami usadowiła się Maricowa; kazała podać jedną lampkę najtańszego miodu i słuchała zasłoniwszy się gazetą.

— No cóż? Jakże ci idzie nowa funkcja? Jesteś podobno magazynierem? — spytał Maltas.

— Et, wielka tam parada! Taka nędza ten cały młyn! — nabierając rezonu, lekceważąco odparł Maric. — Jako technik z politowaniem patrzę na tę budę. Moje to dzieło wprowadzie, ale czy można było zrobić co lepszego z babskim uporem?

— Zmarnowałeś się, Janie; każdy to wie. Pamiętasz stare dzieje? Trzeba ci było ożenić się z moją siostrą. Kochaliście się! Co? Ot, jej zdrowie! Odziedziczyłem po niej już wprowadzie, ale i na tamtym świecie rada będzie, że ją przy winie wspominamy.

Butelka była na ukończeniu. Oczy Marica robiły się słodkie i czułe, nos Maltasa nabierał rubinowych blasków. Pochylili się ku sobie, zniżając głos.

— Nie udało się jedno stadło między nami, możemy skojarzyć drugie. Wiesz, zagiąłem sobie parol na waszego Józefa.

— Ten gałgan, co ci zrobił taki despekt! Nie pozwolę! — gorąco Maric zaprzeczył.

— To nie on, jak się okazało, ale paniczyk, ten ślepy kretyn, Iwo. Rozkoszny okaz arystokracji! Wiesz, widząc go, tracę ochotę do walki z nimi! Zbyt są nickszemni! Uf, gorąco! Zdjąłbym surdut, ale są damy. Chłopcze, jeszcze pół butelki!

Maric oprzytomniał na chwilę.

— Za dużo! Za dużo! — protestował.

— Nie bój się! To ja płacę. Wczoraj zarobiłem tysiąc na sprzedaży placu.

— Tysiąc! W jeden dzień! — jęknął Maric.

— A cóż! Tak się robi fundusz. Wycofałem się z zarządu miejskiego z kamienicą i dwudziestu tysiącami. Teraz mam trzy domy i pięćdziesiąt tysięcy. Żebyś rozum miał, wszedłbyś ze mną do spółki.

— Aha, właśnie baba zechce! Ja bym trochę zaryzykował, ale ona...

— Bo jej nie zaczepiaj. Daj swoje. Byłbyś ostatnim cymbałem, żebyś czego nie zebrał.

Maric w milczeniu się uśmiechnął.

Mam go, mam zdrajcę! — triumfowała pani Joanna.

Maltas wypił lampkę.

— Tobie trudno tym się zająć — mówił. — Na to trzeba czasu. Ja cały dzień wypytuję, szukam, szperam. Wszystko dobre. Drzewo, plac, dom, statek, dorożki! Byle mieć węż i nie stracić okazji. Bajeczne to daje procenty.

— A ile? — ciekawie badał Maric.

— Trzydzieści pewnych. Czasami pięćdziesiąt.

— Och! — stęknął Maric. — I to wszystko dla twojej wnuczki?

— Tylko dla niej. Józef po was dziedziczy; tylko trzeba wydzielić jego część, bo ten drugi niepewny. Czy żona twoja już się rozporządziła prawnie?

— Oni mnie zaraz pogrzebią, te infamisy! — drżąc z oburzenia, wyszeptwała pani Joanna.

Hamowała się jeszcze, ciekawa mężowskich zwierzeń. Maric pod wpływem wina stracił wyrobioną latami ostrożność i fałsz. Budził się w nim dorobkiewicz i wesoły kompan, szczerzy, lubiący chwałbę.

— Ech, albo to ja na darmo tyle lat pracuję i to wszystko w rękę trzymam!

On! Słyszane! — ze zgrozą pomyślała żona.

— Zebrało się tego sporo. Ale kto weźmie?... To pytanie! Ja potrafię porządnie rozporządzić. Część dam Renim... a jakże... a resztę, jak mi się podoba. Na żonine nie potrzebuję się oglądać. Mam swoje!

Uderzył się ręką po piersi i zamrugał oczami.

— Naturalnie! — wtrącił Maltas. — Możesz je potroić jeszcze, jeśli dasz w spekulację! W każdym razie masz mnie do pomocy.

— Ach, mój Boże! — westchnął Maric roztkliwiając się. — Kiedy wspomnę młode lata, jak tu przybyłem... Stary Reni wypisał mnie sobie za technika. Kiedym ten klekot ujrzał, myślałem, że umrę ze śmiechu. Trajkotało to, mełło jak baba w żarnach, a wciąż samouki reparowali, klinowali, bo więcej tam drzewa było niż żelaza. Po prawdzie, to mój młyn. Pięć lat go urządziłem z gruntu; i żeby stary Reni był pożyły, cacko bym wystroił. Ano klapnął w połowie roboty, zapisał go córce.

Tak ci ona zjechała z tym bratem suchotnikiem, co dogorywał również. Trzeba mi było wtedy precz iść, ale mi w głowę wlało wielkie koło turbiną zastąpić. Dziewczyna zerkała na mnie spod brwi, uśmiechała się słodko; myślę: szkoda zaczętej roboty; proponuję jej turbinę, a ona mi zapowiedź. Niech sobie! Po ślubie musi być turbina! At, prawda! Chrzanu nie przetrzesz, baby nie przeprzesz. Klekot się został... ot, na cał dalej nie postąpił.

— Aleś ty coś zebrał?

— Ano, co było z nudy robić?

— Wypijem zdrowie turbiny!

Wypili. Maltas jeszcze bliżej ku niemu się pochylił, łokciem trącił.

— Masz z pięćdziesiąt?

Maric począł się lubo uśmiechać.

— Pięćdziesiąt! Jezu! — jęknęła Maricowa.

— No, toś zuch! Wypijmy swoje zdrowie. Zaryzykuj dziesięć do spółki ze mną. Jest plac nad rzeką za bezcen do kupienia.

— Żebym się nie bał!

— Czego? Żony?

— O, jej do moich interesów zasię! Nie chciała turbiny... oszukała mnie! Ja jej pokażę!

Uderzył w stół pięścią. Pani Joanna odrzuciła gazetę i sięgnęła do parasola. Wstała i właśnie miała ukazać się przed mężem, gdy wtem od drzwi rozległ się wesoły, drwiący lekko głos:

— Dalibóg, ciocia w knajpie!

Maltas i Maric odwrócili się: pierwszy wybuchnął śmiechem, drugi raptem zmałał, pobladł i bokiem, nieznacznie, na wolne przejście się wycofał.

A tymczasem od drzwi młody chłopak w podróżnym, eleganckim ubraniu ku pani Joannie się posunął, mówiąc dalej:

— Wylądowałem we młynie... pustki, tylko jakaś samotna piękność w lusterku się przegląda. Pytam o wujostwo... Powiada, że do kościoła pojechali. Zwiedzam kościół... pusty... I po drodze wstępuję tutaj. Cóż za miłe spotkanie! Jak zdrowie?... Cioteczka ślicznie wygląda! Ach, i wuj tutaj! To jest, zdawało mi się, że go dostrzegłem w pierwszej chwili. Panu dobrodziejowi moje uszanowanie!

Skłonił się Maltasowi, ciotkę w rękę pocałował, uśmiechał się wciąż trochę drwiąco.

Pani Joanna zbierała zmysły.

Maric zniknął, efekt chybił. Nie ujdzie mu to! Ale tymczasem ten skąd się wziął?... Ten błazen Piotruś, utrapienie, zhora!

— Cóż to? Czegoś tutaj? — zagadnęła ostro.

— Może wyjdziemy, cioteczko? Proszę mi dać parasol. Osłonię ciocię, bo deszcz pada... Ciocia wydaje mi się trochę podniecona! Nic to!... Świeże powietrze orzeźwi.

Skoczyła ku niemu.

— Ty śmiesz mi dowodzić, że pijana może!

— Ależ nie pijana! Cóż znowu! Trochę wzburzenia. Do trunków potrzebna wprawa. Cioteczka dawniej nie używała. Ciesz się, że się pogodziła z knajpą przecie. Będzie dla nas wyrozumialszą.

Przeklęty chłopiec! Zda się słodki jak miód, pełen uszanowania, przejęcia, a drwi w żywe oczy! Oho, zna ona jego! Ale temu językowi nawet ona nie podoła. Musi udawać, że bierze za dobrą monetę, ale go przepędzi. O, odpokutuje łotr swe żarciki!

— Pójdźmy! — rzekła krótko.

Na ulicy musiała przyjąć jego ramię i hamować dalej oburzenie.

Milczała, układając w myśli tyradę — dla męża jedną, dla tego utrapieńca drugą.

Deszcz i błoto potęgowały jej zły humor.

Pomimo przedstawień Piotrusia nie chciała wsiąść do dorożki; sprawiało jej to złośliwą radość, że jego eleganckie obuwie pójdzie wniwecz.

Po długiej wędrówce ujrzeli młyn nareszcie.

Pani Joanna odetchnęła przestępując próg.

— Pan wrócił? — spytała lokaja.

— Wrócił, wrócił; ale chory leży.

— Chory?... Zobaczmy! — mruknęła wpadając jak furia do pokoju męża.

— Nędzniku! — krzyknęła. — Niegodziwcze! Kłamco!

Maric tak był zagrzebany w stosy pierzyn, że tylko z jego istoty był widzialny kwast od szlafmicy, i ani drgnął na ten wybuch.

Stanąła nad nim i perorowała dalej:

— To ja się zamęczam pracą, a ty hulasz! Ja tajemnic nie mam przed tobą, a ty spiski knujesz! Okradasz mnie, oszukujesz! Ha, ty jesteś... ty jesteś potwór!

Maric w dalszym ciągu leżał jak drewno.

— Gdzie pieniądze! Słyszysz! Nie udawaj! Upiłeś się, bezwstydy, i śmiesz się wylegać! Dalej! Rusz się! Gadaj zaraz! Gdzie pieniądze? Muszę je schować, zanim cię do reszty opęta ten stary awanturnik! Ja cię nauczę w afery się bawić! No, dosyć tego! Zawołam doktora na twój rachunek. Obejdiesz się potem bez tabaki!

Maric nagle się zaruszał. Spod pierzyny wyjrzała część twarzy wzburzonej i ręka, którą machał w powietrzu, jakby zmore od siebie odpychał.

Coś zabełkotał niewyraźnie.

— Gdzie pieniądze? — pytała uparcie.

— W kłęczniku, w skarbonce! — wyszeptał. — I jeszcze gdzie indziej! — dodał jakby usypiając.

Pani Joanna nagle straciła mowę.

Wytrzeszczyła oczy, otworzyła usta i zapomniała, z czym i po co przyszła.

Obróciła się i majestatycznie opuściła pokój.

Była jak ogłuszona. Stałąła na środku jadalni; nie wiedziała, co się stało, ani co ma robić dalej. Spodziewała się raczej skończenia świata niż tego!

Nagle młody, swawolny śmiech ocucił ją. To Piotruś już się zapoznał z sierotą i pomagał jej przestawiać doniczki w oknie. Śmiech był rzeczą tak nadzwyczajną we młynie, że pani Joanna natychmiast odzyskała władzę nad zmysłami i przypomniała sobie drugą dzisiejszą klęskę.

— Piotruś! — zawołała ostro.

Chłopak przestał żartować z dziewczynką i ruszył na wezwanie, bez pośpiechu, nucąc przez zęby. Wyglądało to prawie na gwizdanie,

— Po coś tutaj przybył?

Chłopak stanął przed nią z rękami w kieszeniach kusej kurtki i nie odpowiedział, aż strofy dokończył.



— Po co? Ano, to do cioci decyzji — odparł wreszcie.

— Jak to? Ja pytam: skąd się wzięłeś? Wypędzili ciebie stamtąd?

— Ech! Bardzo byłem lubiany. Płacz był, gdym odjeżdżał... Ale cóż! Nauczyłem się wszystkiego, no i nie miałem sumienia narażać cioci na koszt mojej nauki, kiedy mogę już być użytecznym. Naprawdę!

Uśmiechnął się i dalej nucił.

— Brednie! Masz atestat\*? Pokaż!

— Atestat? Zapomniałem się upomnieć. Zresztą, na co mi to? Dyrektor chciał mi dać córkę nawet, nie ten głupi świstek papieru. Dziewczyna trochę piegowata, ale będzie miała sto tysięcy, może ciocia chce ją zobaczyć?...

Zaczął szperać w pugilaresie, zapchanym szczelnie bilecikami, suchym kwieciem i różnymi tego rodzaju dokumentami. Jedyne banknot, zmięty, reprezentował fundusz materialny.

— Et, gdzieś się zarzuciła! — rzekł wreszcie.

— Błazen jesteś! — wybuchnęła pani Joanna. — Pewnie grałeś w karty, bałamuciłeś panny i zbijałeś baki! Może jeszcze długi masz?

— Ano, ciocia złota, jakby ze mną bąblowała, tak zgadła! — zaśmiał się Piotruś uszczęśliwiony i rad z siebie, mrugając do starej impertynencko.

— Milcz, bo wyjdę z cierpliwości! Jak śmiałeś tu przyjechać bez mego zezwolenia?

— Ale właśnie ja przyjechałem po zezwolenie cioci. Ja nigdy nic nie czynię bez zasięgnięcia jej rady. Oho, ja wiem, co cioci rozum jest wart! Więc najpierwej chciałem spytać: w czym ciocię będę mógł tutaj wyręczyć?

— Nie potrzebuję ciebie wcale!

— To po cóż mi ciocia kazała uczyć się tego fachu? No, ale mniejsza o to! Zda mi się teraz, bo mam dwie partie.

Jedna, to ta dyrektorówna, Różia Rosenstock... Zaraz... musi być fotografia... a druga, Liza Sturm, wnuczka kasjera, cudowna! Mówię cioci, ładniejszej nie znam... i kocham ją, ale to okropnie! Otóż, niech mi ciocia doradzi. Różia ma fundusz, ta — piękność. I tak się waham. Chciałbym obie mieć. Oho, jest fotografia!

Dobyl kartki i podawał ją z ujmującym uśmiechem. Pani Joanna odtrąciła.

— Precz mi z tym z oczu! Za kogo mnie masz, że mi te brednie prawisz? Także smarkacz! Odpowiadaj porządnie! Gdzie twoje manatki?

— Aha, zapomniałem! Mam śliczne garnitury, rzeczy trzy kufry... no, i to wszystko musiałem zostawić, bo tak jakoś prędko wyjechałem, że i rachunków nie zdążyłem zakończyć.

— Jednym słowem, zaarrestowali ci rzeczy?

— Ciocia chyba sama była w takim wypadku, że tak wie od razu.

— Dziwię się i żałuję, że i ciebie nie zaarrestowali! Wart tego jesteś!

— I ja się dziwię, ale ci manichejczycy\* czasem bywają rozsądni! Zabrali, com posiadał, a mnie w areszcie karmić nie zechcieli!

— Zapewne odesłałeś ich do mnie, niegodziwcze?

— Broń Boże! Mówiłem, że ciocia nie zechce im zapłacić; ale czy oni w to uwierzą!

Pokręcił z powątpiewaniem głową i wyjąwszy papieros, zapalił go.

— Wstydzie rodziny! Pasożycie! Urwisie! Piotruś skrzywił się i przerwał:

— Ja to już na pamięć wiem! Po co ciocia tak się tym podnieca? Ja się nigdy nie tłumaczę ani zaprzeczam! Dawno się z ciotką zgodziłem, że powinienem się zabić. Uczynię to i będzie raz koniec!

\* atestat — świadectwo.

\* manichejczyk — wyznawca systemu religijno — filozoficznego uznającego za zasadę bytu dwa przeciwstawne, jednakowo wieczne, zwalczające się pierwiastki: światło i dobro oraz ciemność i zło; tu — heretyk.

Zawrócił się na pięcie i skierował ku drzwiom.

— Gdzie mieszka Józef? Muszę go pożegnać — przemówił od progu grobowym głosem.

— Na takie głupstwa nie zwykłam odpowiadać — odparła Maricowa zatraskując drzwi.

Starła się o nim więcej nie myśleć. Poszedł — tym ci lepiej. Zielsko nie ginie!

Nazajutrz wydała sąd na męża. Maric stracił bezpowrotnie posadę magazyniera i zaufanie żony.

Stary zniósł to na pozór spokojnie, nie było między nimi żadnych wyjaśnień, tylko uśmiechał się złośliwy, obmyślając zemstę. Nie mógł darować żonie usunięcia od potocznych dochodzików.

Drugiego dnia pod wieczór zjawił się Józef w magazynie, gdzie Maricowa właśnie przyjmowała zboże.

— Czy ciocia nie widziała dzisiaj Piotrusia? — spytał niespokojnie.

— Dzięki Bogu, nie!

— Aj, to źle! — stęknął strapiiony.

— Cóż to, zatęskniłeś po nim?

— Nie, ale boję się, że coś mu się zdarzyło! Onegdaj był u mnie zrozpaczony!

— To dobrze; ma, na co zasłużył!

— Tak, ale my możemy jego zgubę wziąć na sumienie. On się już opamiętał i myślę, że zacznie pracować. Mnie jednego ma na świecie, muszę mu pomóc!

— Jakże to?

— Wynałazłem mu posadę z kaucją niewielką. Jeden mój tysiąc wezmę od cioci w tym celu.

— Nie dam — rzekła twardo.

— Zastawię weksel w takim razie. Bratu kawałek chleba dać muszę.

— Głupcze, odpłaci on tobie ślicznie!

— Nie potrzebuję odpłaty. To mój obowiązek. Teraz rzecz się zmienia. Piotruś zginął. Ot, dola!

Ręką machnął i nasuwając czapkę na oczy, dla ukrycia może łez, wyszedł.

Ciotka wybiegła za nim.

— Słuchaj no! To zguba; ale kiedy go znajdziesz, to przyślij tutaj! Cóż robić! Niech siedzi u mnie, wolę to, niżby cię miał ograbić z pieniędzy! A jeśli przepadł!... Nie, nie, znajdzie się, da Bóg!

Nogi pod nią drżały ze strachu. Tego by tylko brakło! Ludzie roztrąbią, że to oni winni śmierci chłopca, a w handlu to dosyć, żeby, połowa klientów odpadła. Głupi ludzie! Nienawidzi ich; żeby nie ten młyn, robiłaby wedle swego widzimi się i drwiłaby z ich sądów; ale młyn to opinia, musi się z nią rachować. Józef pierwszy lament podniesie, pójdzie to po całym uniwersytecie, rozpełźnie się po całym mieście i bywaj zdrów! Przeklęty chłopiec! Niechby sobie żył. Oto zmora! W nocy nie da zasnąć spokojnie.

Rozdrażniona wróciła do domu i śnił jej się całą noc Piotruś w trumnie, nad którą stał Maltas i, zamiast ziemi, rzucał w nią gliniane skarbonki z dukatami. Maricowa obudziła się w potach i zaraz posłała po Józefa. Goniec wrócił z niczym — u profesorowej nie widziano Józefa od wieczora.

Gdybyś kto rzekł pani Joannie, że uszczęśliwioną będzie z widoku Piotrusia, nazwałaby to wariacją; a jednak stało się tak. Odetchnęła z lubością na widok dorożki, która po południu przywiozła jej w dom urwisa.

— Trzeba nie mieć sumienia, żeby wyprawiać takie głupstwa! — rzekła mu tylko, a Józefa uścisnęła pierwszy raz w życiu.

— Ciociu! Obiecał mi pracować, oszczędzać, starać się ile sił. Proszę mu dać zajęcie i zapomnieć, co minęło.

— No, no! Niech tam sobie! — mruzczała.

Piotruś blady, zmęczony, wyglądał istotnie na skruszonego grzesznika.

Kiwał tylko potakująco głową bratu i obgryzał paznokcie.

Pani Joanna była tak wspaniałomyślna, że zatrzymać chciała Józefa na wieczerzę; ale wymówił się brakiem czasu i odjechał, zostawiając Piotrusia pod najlepszą, jak mu się zdawało, opieką.

Nazajutrz w młynie znowu zaszły poważne zmiany. Pani Joanna pasowała siostrzeńca na kontrolera, sierocie oddała zarząd domu, sobie zatrzymała magazyn i obsada ta pozostała pod sterem ruchliwej gospodyni.

Piotruś widząc, że gwałtem nic nie wskóra, postanowił cierpieć i ulegać.

Po chwili wkradł się w łaski każdego. Chłopczysko to było dobre, wesołe, giętkie. Zdolny i bardzo roztropny... miał tysiąc wad, które niweczyły wrodzone dary natury. Ospały, leniwy i niewytrwały, miewał impety pracowitości, wybuchy poczucia obowiązku, pojęcia swoich wad. Wtedy pracował za dziesięciu; mógł i umiał wszystko, co chciał, zdrow był i spokojny. Słomiany to był ogień i gasł nagle. Piotruś wtedy stawał się senny jak mucha wrześniowa, apatyczny, mrukliwy.

Przez czas jakiś włókł jeszcze zajęcie siłą rozpędu, potem nagle wypowiadał posłuszeństwo i szedł hulać. Hulał, póki sił stało; trwonił, co miał, do ostatniego grosza, miękkiego był serca i charakteru; kto mu pochlebił, mógł go obrać do nitki; ostatni grosz i koszulę oddałby proszącemu, bez troski i pamięci, co jutro będzie. Owo jutro nadchodziło żałobne. Piotruś biedę znosił stoicznie, aż do ostatecznych granic. Wtedy dopiero wracał do pracy. W ten sposób rozpoczął życie u ciotki. Wstawał o szarym świcie, pracował z sumiennnością niesłychaną, znosił złe jadło, krótki spoczynek, gderanie ciotki, brak odzienia i bielizny, niedostatek wszelki z cierpliwością wzorową.

Urządzenie młyna zrozumiał w lot, w rachunkach był pojętny, po kilku dniach obracał się w tym nowym otoczeniu z całą znajomością rzeczy; udobruchał nawet najeżoną ciotkę, wujowi dostarczał pod sekretem papierosów i piwa, sierotę w sobie rozkochał, pracowników zjednał wesołością, wieczorem niewyczerpanym humorem rozbawiał ponury dom. W ten sposób sprawiał się przez miesiąc. W tym czasie zdarzyło się jakieś uszkodzenie w maszynierii... Młyn nagle stanął.

Pani Joanna, wezwana na miejsce katastrofy, stanęła bezradna i posłała po męża. Młynarczyk wrócił z kantoru zdyszany.

— Pan powiedział, „co” zajęty i nie przyjdzie. Maricowa poszła tedy sama.

— Słyszałeś?... Coś się stało w pytlach! Idź no, zobacz, kiedyś technik!

Maric od księgi rachunkowej oczu nie podnosił.

— Nie mam czasu do dwóch obowiązków. Samaś to mówiła, odbierając mi magazyn!... Teraz ja z kantoru nie wyjdę. Reparuj sama maszyny!

To była jego zemsta.

Maricowa z furią przyskoczyła do niego.

— Na mojej mące ileś zebrał pieniędzy? — krzyknęła.

— A ty na moim żołądku ile skarbonek napełniłaś? — odciął się Maric.

— Dobrze, siedź! Dam sobie radę bez ciebie! — zawołała trzaskając drzwiami.

Ruszyła znowu do młyna, aby posłać do miasta po technika, gdy ją doleciał ze środka głos Piotrusia komenderujący:

— Albuk! Wał ten podnieść trzeba i ze dwa tryby przesunąć. Biegnij po ślusarzy!

— Bój się Boga! Do reszty popsujesz! — upominała ręce łamiąc.

Piotruś wyjrzał do niej zza pytlów.

— Jak to? Toć przecie umiem swoją rzecz! Niech ciocia będzie spokojna! Za godzinę ruszymy!

Maricowa spędziła tę godzinę na miejscu, przyglądając się z zajęciem.

Piotruś zyskał wiele w jej oczach.

Gdy wreszcie zeszedł na dół, umorusany i zmęczony, a krzyknął: „Puszczaj wodę na koło!”, i gdy wszystko poruszyło się prawidłowo, w głowie jej stanęło postanowienie: Temu zapiszę młyn! Z tego będzie młynarz!

Józef do niczego!

Od tego dnia była łaskawszą dla siostrzeńca. Zdolnością jego lubiła szczególnie przechwalać się przed mężem i drażnić go bezustannie.

Maric znosił przycinki w milczeniu, ale i u niego w głowie stanęło postanowienie: Nie dam nic Renim, nic, nic, ani szeląga. Sierota weźmie po mnie. Jej powiem przed śmiercią, gdzie pieniądze schowane! Im wszystkim figa!

Nie przeszkadzało mu to robić słodkich min do Piotrusia, aby dostać papierosów i piwa pod sekretem przed żoną.

## IV

O ćwierć wiorsty za miastem rzeka rozlewała się szeroko i płytko, i tam co roku urządzano ślizgawkę. Z rozrywki tej korzystała cała młodzież i o pewnych godzinach plac ten olbrzymi roił się wesołym tłumem, rozbrzmiewał muzyką.

Czasami w święta oświetlano go pochodniami i dawano na lodzie formalne bale.

Józef bywał tam rzadko. W ostatnich czasach do pracy wziął się szczerze; wieczorem szedł do Michała na gawędę, ze skrzypcami pod pachą. Tam przed cierpliwym kolegą wylewał swe żale serdeczne po stracie pierwszego ideału, a potem, rozmarzony, grywał długo, upajając się tonami, przelewając w nie całą naturę idealisty, potrzebę kochania, serca, marzenia bujne.

Michał, słuchając jego gry, mawiał:

— Józef, nie marnuj talentu! Rzuć naukę, kształć się na skrzypka. Dalibóg, kiepski z ciebie będzie jurysta! Na artystę się urodziłeś!

— Idź do licha z taką radą! Nie cierpię kariery artystycznej. Zobaczysz, że będę dobrym prawnikiem. Za dwa lata kończę, doktoryzuję się, żenię... i tłukę skrzypce.

— Z kimże się żenisz?

— Nie wiem! — odpowiadał zbywająco.

— A ja ci powiem, że właśnie małżeństwo zabije ci do reszty ducha.

— Głupiś!

I grał dalej, a Michał zachwycony mrucał:

— Skąd w tych kilku strunach tyle tonów ten znajdzie? Ot, zdatny!

Radczyńni, wracająca z jakiejś herbatki na mieście, wypłaszła muzyka.

Wracał powoli, rozmarzony melodią, której pełną miał duszę, smutny, pełen bezmiernej tęsknoty.

Pewnego takiego wieczora, na esplanadzie pustej, spotkał samotną parę.

Szli do siebie przytuleni, osłonieni parasolem od śniegu, który padał wielkimi płatami w ciszy.

Poznał po smukłej postaci i chodzie elastycznym wesołą Pepi z „Pod snopem”, w jej towarzyszcu współlokatora Adama.

Do częstych zmian w sympatiach Pepi nawykł w codziennym obcowaniu. Uprawiała flirt jak sport przyjemny, jak ślizgawkę zimą, a wiosłowanie latem.

Bezczynna, a żywa nadzwyczaj, w braku zajęcia — szukała wrażeń.

I teraz wracali z lodu.

Łyżwy podzwaniały na rękę Adama, dziewczyna ubrana była krótko i przy latarniach widział Józef odcisk jej nóżki bardzo małej na świeżo spadłym śniegu.

Bojąc się być niedyskretnym szedł z dala, a wyminąć ich nie chciał, by nie zrobić dziewczynie przykrości. Dolatywał go jej głos srebrny i śmieszek nerwowy, na którego dźwięk robiło mu się dziwnie gorąco, i bas Adama głuchy, wzruszony.

Była to szermierka słów, spojrzeń, uśmiechów pomiędzy dwojgiem bardzo różnej siły przeciwników.

Mężczyzna z całą świadomością rzeczy atakował. Bój się toczy bardzo blisko przepaści, którą oboje widzieli, której on jej przedstawiał jako niegroźną, ona lekceważyła, będąc pewną, że się na brzegu utrzyma.

On udawał, że żartuje, a drżał ze wzruszenia; ona udawała, że jest podnieconą i rozkochaną, a żartowała tylko, silniejsza całym kobiecym sprytem i przebiegłością, odczuwając zabawę tylko i wrazenie swawoli, jak po kieliszku szampańskiego wina. Tak było, ale Józef — marzyciel inaczej widział. Widział dwoje ludzi młodych, rozkochanych, szczęśliwych i odczuł w dwójnasób własne sieroctwo i osamotnienie.

Śmiech dziewczyny drżeniem przechodził mu po nerwach, serce mu bić poczęło, głowa płonąć. Szedł jak lunatyk za nimi, opętany rządzą kochania, opętany urokiem tej właśnie kobiety, której schadzke z kolegą miał przed oczami.

Na rogu swojej ulicy dopędził ich i minął. Pepi poznała go.

— Ach, pan Józef. — zawołała swobodnie. — Chodź pan pod nasz parasol.

— Za wiele nas będzie — odparł wahająco.

Ale ona prawą rękę wsunęła mu już pod ramię i przyciągnęła do siebie.

— Właśnie dobrze; czemu pan nie biega na łyżwach? Pyszny był dzisiaj tor! Byle jutro śnieg odmietli! Cóż, gramy teatr nasz we święta? Uważam, że pan zupełnie o zamiarze zapomniał.

— Możemy grać i owszem. Niech pani sztukę wybierze.

— Dobrze. Znajdę taką, gdzie by pan musiał ze skrzypcami wystąpić. To będzie cudownie! Co pan na to, panie Adamie?

— Nic! — mruknął zagadnięty.

— To brzydko dąsać się. Fe, nie lubię pana!

— Wiem o tym — odparł ponuro.

Zaśmiała się swawolnie i zwróciła do Józefa:

— Zaraz po powrocie do domu zaczniemy poszukiwanie sztuki. Mam u siebie mnóstwo jednoaktówek. Ale kto grać będzie?

— Pani Liza z mężem, pani, panna Ludwika, ja.

— Marzę jeszcze o dwóch osobach: o pannie Maltas i o hrabim Iwonie. Cudowna by rzecz była sprowadzić ich znowu razem. Panie Józefie, urządzmy tę sztukę!

— I owszem. Szepnę słówko kuzynce radczyni i rzecz będzie zrobiona.

— Hrabiego wprowadź pan do nas. On taki zabawny! Śmiała się i trzepotała jak ptaszek, ani pamiętając Adama i poprzedniej z nim rozmowy, zajęta czymś nowym, innym.

Gdy młodzi ludzie znaleźli się w swym pokoju, Adam przeszedł parę razy wszerz i wzdłuż, wreszcie splunął.

— Ladaco! — mruknął siadając do nauki.

Józef poszedł do salonu.

U stołu zarzuconego broszurkami zasiedli we dwoje z Pepi. W drugim kącie profesorowa z kuzynką Ludka szyły wiodąc ożywioną rozmowę o nowinkach dnia i nie zwracając na młodych najmniejszej uwagi.

Oni przerzucali stopy jednoaktówek, pochyleni ku sobie, dotykały się dłonie, czasem włosy złote dziewczyny muskały twarz chłopca lub spotykały się oczy.

Józef wpatrywał się w nią, jakby raz pierwszy oglądał. Jakaś gorącość wiała od niej, jakiś czar, i dziwił się, że dotąd nie widział, jakie jej usta były purpurowe i wilgotne, jakie zawrotne głębie leżały w żrenicach ciemnych, jak nerwowo rozdymały się nozdrza.

Ona nie czuła lub udawała, że nie czuje jego obserwacji. Projekt teatru pochłonał ją całą: bezwiednie drażniła go, podniecała, była swobodą, rozbawioną. Wreszcie znudziło ją jego roztargnienie i obojętność.

— No, doradźże pan! — zawołała trącając go po głowie trzymanym zeszytem.

— Co pani zechce. To na przykład: osób pięć.

— Za mało. To raczej: osób osiem. Zaraz. Dekoracja pokojowa. Mąż, żona, ciotka, stryj, lokaj, subretka<sup>1</sup>, pocztylion, turysta. Doskonałe! Widziałam grane w teatrze. Rozdamy role: stryj... pan Adam, ciotka... panna Maltas, żona... ja, turysta... hrabia Iwo, subretka\*... pani Liza, pocztylion... pan Gustaw, mąż... pan sam! Otóż i mamy wszystko. Zbierzemy się raz dla odczytania, parę prób i na ferie świąteczne zagramy!

Cudownie!

\* subretka — sprytna pokojówka; aktorka grająca takie role.

Skoczyła w górę, okręciła się i usiadła znowu.

Teraz dopiero spostrzegła jego wzrok dziwny i niezwykle zachowanie.

— Co panu? Może się grać nie chce?

— Nie, ale rolę wolałbym inną. Ustąpię swoją panu Gustawowi.

— Sensu nie ma. Chyba pan nie zna treści. Mężowi nieobecnemu dają znać ciotka i stryj, strzegący cnoty żony, że wnet po jego odjeździe zjawił się jakiś obcy którego żona ugaszcza, z którym odbywa spacer, śpiewa, gra i flirtuje, na zgrozę całego domu, zbywając śmiechem i drwinami rozsądne przedstawienia. Mąż zazdrośnik przebiera się za wędrownego grajka, aby czułą parę złapać *in flagranti*. *Tableau* \*... ów obcy okazuje się jej bratem... zasłona spada. Jakże pan chcesz, aby pan Gustaw grał i śpiewał?

— Jakże pani chce, abym był o panią zazdrosny.

— Ach, toć przecie komedia! A zresztą czemu nie może pan być o mnie zazdrosny? — rzuciła nagle z zalotnym spojrzeniem.

Przechyliła się nieco w tył, uśmiechnęła, zatrzymała sekundę na nim wzrok.

— Ładnie umieją patrzeć pana oczy — rzekła odwracając się i zaraz dodała: — przynieś pan swe skrzypce, zagramy cokolwiek. Tak dzisiaj nudno.

Już minęło zajęcie teatrem. Coś nowego przyszło na myśl. Posłuszny przyniósł instrument; ona rozłożyła nuty i zaczęli grać.

Musiało w tej muzyce tego dnia być coś osobliwego, bo profesorowa i Ludka przestały szyc, Pepi podniosła głowę, jakby odpędzała tę siłę, którą on jej narzucał; ale dźwięki upajały ją, drżały usta, przymykały się źrenice w upojeniu, falowała pierś mocno.

— Można dla gry pana popełnić szaleństwo! — szepnęła. — Nerwy pan targa! Dosyć!

— Szaleństwa nie chcę, tylko serca — odparł równie cicho, opuszczając smyczek.

— Bravo! Bravo! — zaklaskała w dłonie profesorowa, a Ludka zaszemrała: — O Boże!

— Dziękuję pani — rzekł Józef biorąc rękę Pepi i podnosząc do ust.

Nie odpowiedziała nic, zamknęła fortepian i wyszła. On po chwili rozmowy z gospodynią, rozstrojony, nieprzytomny, udał się na spoczynek.

Całą noc oka nie zmrużył. Serce mu biło młotem, rozpierało piersi.

— Te usta raz jeden pocałować... i umrzeć! — szeptał. Nazajutrz wychodząc z uniwersytetu, kupił sobie łyżwy i poszedł na lód.

Dzień już się skończył. Mróz był bardzo mały. Z drzew za lada podmuchem zlatywał szron i pełne było powietrze tego srebrnego pyłu i złotego blasku zachodu.

Łyżwiarzy było niewielu. Rozpierzchnięci po szklącej tafli, wyglądali jak ptaki nisko nad ziemią lecące; cały ten zalew rzeczny otaczały kuliste wierzby, tworząc naturalne skrytki i altany.

W miejscu tym Józef latem siadywał z wędką — cicho wtedy było i cienisto, teraz je ludzie napełnili gwarem i śmiechem.

Odszukał swój posterunek rybacki, cypel nieco wzniesiony, rzucił tam książki, przytwierdził łyżwy i pomknął chyżo.

Z daleka dostrzegł Pepi. Z rękami w kieszonkach kusej kurtki łyżwowała sama, ucząc się ósemek i figłów przeróżnych. Przemknął koło niej, zawrócił na miejscu i ukłonił się.

— Patrzcie, jaki z pana łyżwiarz! Nie posądzałam pana o zręczność!

— Dziękuję za uprzejmość. Nie chępię się nigdy przymiotami wrodzonymi, ponieważ nie są one żadną zasługą. Owszem, dobry ze mnie piechur, wioślarz i łyżwiarz! Nie używam jednak prawie żadnego z tych sportów, bo mam bardzo mało wolnego czasu.

— Mój Boże! Wszyscy lubicie przechwalać się zapracowaniem. Bodaj to prawda! Na knajpę i figle macie zawsze czas. Hrabia Iwo nazywa pana kapitalnym numerem, to dokładnie rzecz maluje.

— Pani więc zna Iwona?

\* t a b l e a u (fr.) — scena komiczna.

— No, o tyle, o ile. Poznałam go tutaj, na tej posadzce, dzisiaj. Niedawno odszedł; przysłało po niego z wiadomością, że przyszedł szwagier przyjechał. Podobno bardzo piękną ma siostrę.

— Do niego w niczym niepodobna.

— Mnie się on bardzo podobał. Ma w sobie coś oryginalnego... inny niż wszyscy. Naprawdę, znajduję go nadzwyczaj zajmującym!

Józef ramionami ruszył.

— Pani dzisiaj wyjątkowo samotna. Zdziwiłem się, nie widząc tłumu wokoło.

— Skądże pan o tym mówić może, kiedy raz pierwszy tu jest? No i cóż w tym dziwnego, że lubię ludzi?

— Nic, jeśli oprócz ludzi lubi pani jeszcze jednego człowieka.

— Tak! A jeśli nie, to co?

— Jeśli lubi pani masę tylko, to jest pani istotą bez miejsca, nigdzie nie warta wzmianki i uwagi!

— Fe, szkaradnik z pana! To wasze zdanie, panów stworzenia. Jakby jednego z was warto było kochać! Nigdy! Za co? Śmiać się ze wszystkimi po kolei, witać się bez niepokoju, żegnać bez żalu...

— Śmiać się? A płakać?

— Kto widział płakać? Po co? Życie takie wesołe...

— Ale długie i na całe śmiechu nie starczy.

— Co za puszczyk z pana! Lepiej pan gra, niż rozmawia. Wie pan, nie mogłam zasnąć dzisiaj.

— I ja także. Miałem widzenie.

— Anioła? Szatana?

— Nie wiem.

— Et, bredzi pan! Proszę zaśpiewać cokolwiek; nikogo prawie nie ma.

Józef się obejrzał. Sinawy mrok ogarniał ziemię. Kilku zaledwie pojedynczych łyżwiarzy pozostało w dali. W bramie, którą rzeka wydarła sobie w górach, złościły się resztki zachodu, lasy po wzgórzach wyglądały jak kwieciami białym okryte, wielka cisza zaległa ustronie.

*Ich weiss nicht, was soli es bedeuten,  
Dass ich so trau'ig bin!  
Ein Marchen aus uralten Zeiten  
Das kommt mir nicht aus dem Sinn.*

Zaśpiewał Józef, zrazu cicho, potem coraz śmielej. Łyżwowali obok siebie powoli, dążąc bezwiednie w stronę wierzb.

Pepi potknęła się. Pochwycił ją i rękę w dłoni zatrzymał. Słuchała milcząc i podnosiła na niego chwilami oczy zdziwione, pytające i, co się rzadko jej zdarzało, poważne.

*Ich glaube die Wellen verschlingen  
Am Ende Schiffer und Kahn,  
Das hat mit ihrem Singen  
Die Lorelei getan.*

Skończył Józef i przysłuchiwał się długiej vibracji ostatnich tonów czy też melodii własnej duszy, potem podniósł oczy na Pepi.

Stanęli sekundę ze wzrokiem we wzroku, mówiący bez słów:

„Rozmówionym w tobie. Chcesz, bierz duszę, serce, życie! Królową mi będziesz, aż do śmierci, do grobu!” mówiły ciemne, bardzo poważne źrenice chłopaka marzyciela.



„Ładnie on patrzeć umie, ładnie gra, zaczyna inaczej niż tamci. Kto wie... może mi co nowego da, potrafi dłużej zabawić? Kto wie! Naprawdę... lubię go już! Śpiew mi tak jakoś po sercu idzie. Ejże, spróbuję!”

Migotały jej oczy, mieniły się jak woda żywa, w której błyskały złota atomy.

Rozgorzała dłoń w uścisku chłopaka, nerwowo uśmiechały się usta.

I nagle ze swawolą zalotną otarła się o jego ramię, zakryła oczy.

— Wie pan, czemu was kochać nie warto? Bo każdy z was ma dla tysiąca kobiet takich uśmiech, także spojrzenie, także uczucia! Nie warto słuchać i wierzyć.

— Nieprawda! — poważnie zaprzeczył Józef. — Ten tylko takim jest, kto jedynej pani swej nie znalazł. Kto taką posiada, nikogo więcej nie widzi, niczego nie pożąda poza nią.

— Do czasu, aż go znudzi — odparła poważnie.

— Nieprawda! — powtórzył z mocą.

— Zobaczmy! Wracajmy tymczasem! Skompromituję się z panem!

Pomknęła naprzód, coś nucąc... Na brzegu, gdy odpinała łyżwy, on poskoczył po swe książki i dogonił ją.

— Czy pan myślał o teatrze? Chciałabym czytanie ułożyć w niedzielę. Święta za trzy tygodnie.

— Owszem. Mogę dzisiaj jeszcze pójść do radczyni, rozmówić się co do panny Malty. Jeżeli przedstawienie odbędzie się u państwa, będzie pani zmuszona złożyć jej wizytę i osobiście zaprosić.

— Brr, to wcale niezabawne!

— Czemu?

— Nie wiem. Wygląda jak mydło. Coś mnie od niej odpycha.

— Po cóż ją pani mieć chce?

— Tak sobie. Dla kontrastu.

— Niemiłosierna jest pani!

— Wie pan, co mi radczyni mówiła? Że to jest w rodzinie pańskiej obmyślana żona dla pana.

— Radczyni traci temat do nowinek widocznie, kiedy już takie brednie wyciąga. Nie mam przede wszystkim rodziny.

— Jak to? A Maricowie? A brat?

— Maricowie nie troszczą się wcale o me losy, a Piotruś jest w wieku, kiedy się swaty urządza dla samego siebie.

— Sprowadź go pan kiedy do nas!

— Dziękuję pani!

Chciał ofiarować jej ramię, ale nie śmiał. Szli obok, zerkając czasem na niego.

Stanowczo podobał się jej ze swej delikatności, zupełnie innym był niż tamci.

— Pan jutro będzie na ślizgawce?

— Jeżeli spotkam panią... tak!

— A beze mnie nie można?

— Bez pani i żyć nie warto! — odszepnął.

— A jakże pan żył dotychczas?

— Nie wiem i nie rozumiem. Bardzo byłem nieszczęśliwy.

— O poeto! — zaśmiała się.

Zadzwoiła do drzwi. Noc była ciemna i służąca nie otworzyła zaraz. Ujął jej rączki i pocałował. W szarym zmroku zabłyśły jej oczy rozgorzałe. Pochyliła się i musnęła jego skroń ustami.

— Idź pan do radczyni i wracaj prędko! Chcę jeszcze jednej piosenki. Do widzenia!

Znikła za drzwiami. On się zawrócił i poszedł.

Nie! Takiego szczęścia, jakie jego spotkało, nikt nie posiadał: ani ci, co światy zdobyli, ani ci, co tarzali się w złocie; ani ci, do których zstępowały boginie. Fraszka! Od wczoraj do dzisiaj on to wszystko odczuł, posiadał i stokroć więcej jeszcze.

Świat — głupstwo; on jego wielkości i mocy urąga, on najmożniejszy pan; młody jest, silny, swobodny i kocha.

Skąd to przyszło, kiedy, jak, dlaczego? Sam nie wie. Całe gwiaździste niebo ma w duszy i wszystkie melodie, i barwy, i zapachy. Wrogów by do piersi tulił, druhom pół życia ustąpił.

A gdzie to złe, co jeszcze wczoraj czuł? Niedostatek, sieroctwo, zmęczenie, troska? Nie ma, nic nie ma, tylko ona jest, ta jedna, ta złotowłosa, i tylko czuje na skroni jakby pieczęć ognistą, którą go sobie na własność naznaczyła.

O własność! Ma on kogoś swego. Ma dla kogo życie dać i pieśni, i myśli, i trud, i siłę, i całą... całą duszę.

Józef Reni już nie jest sam, ani sierotą. Józef Reni jest wielki człowiek.

Obejrzał się: budynek jakiś przed nim czerniał. Był to młyn Mariców; aż się przeraził, gdzie zablądził, i zawrócił, starając się zebrać myśli. Do radczyni ma iść, prawda, ona kazała.

Począł biec prawie i zdyszany dopadł po godzinie do dworku na przedmieściu.

Głuchy był i cichy. Dodzwonić się ani dostukać nie potrafił. Przy świetle zapałki spojrzął na zegarek. Była druga po północy. Zawrócił więc do domu i po cichu wsunął się do stancji.

— Pedłów nie ma na was, bestie, awanturniki! — zamruczał rozbudzony Adam. — Spać nie dajecie porządnym ludziom!

— Patrzcie go! Porządny człowiek, a onegdaj o trzeciej w nocy nosili go pod wodociąg, żeby wytrzeźwiał — odciął się Józef.

— Onegdaj... to inna kwestia. Byłeś w knajpie?

— Nie. Panna Józefa nie wołała mnie?

— Co? To teraz twoja kolej? Winszuję! Nie wołała, bo był Gustaw, a przy tym nikogo z nas nie potrzebuje. Jesteś wielki osieł! Dobranoc!

Józef uczył chłód w sercu, ale tylko sekundę. Ruszył pogardliwie ramionami. Pieczęć na skroni paliła go ogniem; to mu wystarczyło.

Położył się i usnął spokojny.

Radczyni zjawiała się wnet po objaśnieniu Reniego u profesorowej, wielce uradowana z roli, jaką jej grać wypadało. Maltasowie tylko marzyli o zawiązaniu znajomości; panna Liza marzy o towarzystwie i zabawie; stary ma w mieszkaniu salę z kolumnami jakby stworzoną na teatr, nadzwyczaj jest uprzejmy i szczodry.

Wezwano Józefa do narady, zdano na jego barki urządzenie sali, akcesoria, reżyserię — wszystkie ciężkie obowiązki.

— Ależ, Pepi! — upomniała spokojnie matka. — Jeszcze nie znamy Maltasów!

— Ach, to jutro złożymy im wizytę!

— No, i aktorowie jeszcze nie zawiadomieni — wtrąciła rozsądna Ludka.

— Także! Jest się o co kłopotać! Każe im grać i basta! Radczyni, zajadająca chciwie ciastka i cukierki, spojrzała błagalnie.

— Mego Michasia weźcie za suflera! Niech się biedak zabawi!

— Ależ naturalnie! Ja bez pana Michała żyć nie umiem! — zaśmiała się Pepi.

— Dziękuję, moja droga, dziękuję! On jest stały twój przyjaciel.

— Złoty chłopak! — z zapałem rzekła Pepi. Józef głowę spuścił, przygryzł wargi i umilkł. Razily go żarty podobne.

Po chwili wstał i wyszedł. W jadalni dogoniła go Pepi.

— Niech pan jednocześnie z nami będzie jutro u Maltasów... dla mojej przyjemności!

— Będę, jeśli pani każe — odparł.

— I nie grymasić, nie!

Wsunęła mu rękę w gęste włosy i targnęła z lekka.

— Co za czupryna rozkoszna! — szepnęła żartobliwie i już była znowu w salonie przy radczyni.

— Mój skarbie! — wyszemrał Józef, wiodąc za nią rozkochane oczy.

Nazajutrz bardzo rano wyszedł. Parę godzin miał wolnych i był to termin właśnie otrzymania od ciotki kwartalnego procentu. Zarazem chciał brata odwiedzić.

Kurs mu się wydał bardzo krótki, tak był myślami o swym kochaniu zajęty. Wstąpił do mieszkania; długo dzwonił, nareszcie stary lokaj mu otworzył; nie puszczać z rąk klamki, mrukliwie rzekł:

— Nie ma państwa!

— A brat mój jest?

— Wyjechał wczoraj na parę dni na Śląsk.

— A państwo gdzie?

— Bo ja wiem! Nie ma... i tyle.

Chłopak ramionami ruszył. Udał się do kantoru. Znalazł drzwi także zamknięte, we młynie nie było też nikogo z gospodarzy; w magazynie, jak gil z mrozu czerwona, była tylko sierota.

— Wujostwa nie ma? Wyjechali? — spytał.

— O, nie! Przed chwilą oboje poszli na śniadanie.

— Aha, to ja tedy ich wypłoszyłem. Proszę złożyć ode mnie uszanowanie i oświadczyć, że nie myślę ich tradować\*. Chciałem Piotrusia zobaczyć.

— Pan Piotr ma wrócić jutro. Otrzymał pieniądze na wykupienie swych ruchomości i pojechał po nie.

— Niesłychane! Ciotka dała mu do rąk pieniądze! Źle zatem robi, że się przede mną chowa, bo może prędko będzie zmuszona mnie sama szukać. Żegnam panią!

Był już dość daleko, gdy na strychu domu otwarła się okiennica i wyjrzała głowa pana Jana.

— Poszedł! — rzekł oddychając z lubością.

— Chwała Bogu! — odparł głos pani Joanny.

Światło wpadło pod dach i oświetliło ich kryjówkę. Było to poddasze bez podłogi, zawalone różnymi gratami. W odstępach stały kominy grube, z dachu zwieszały się pajęczyny, przerwy między belkami tworzyły czarne czeluście pełne gdzieśgdzie szmat, wiórów, pyłu stuletniego, resztek zupełnie nieużytecznych mebli, skorup porcelany i garnków, popróchniałych ram od okien i pierza sów, które tam się gnieździły. Trzeba było wielkiej trwogi, aby oboje tych starych aż tu się schroniło. Teraz, uspokojeni, robili odwrót grożący złamaniem karku.

— A co? Mówiłem ci już wczoraj, że przyjdzie — mówiła sapiąc pani Joanna — ty bo mi nigdy nie wierzysz.

— Myślałem, że zapomni może — odpowiedział Maric patrząc uważnie pod nogi.

Mijali jeden z kominów i oboje jednocześnie spojrzeli nań przelotnie.

— Trzeba by ten skład uporządkować — rzekła obojętnie pani Joanna, spod oka rzucając na męża badawcze spojrzenie.

Maric rozejrzał się jak człowiek, który tu był raz pierwszy.

— A pewnie! — bąknął od niechcienia.

Doszli schodów i odsapnęli sekundę.

— A błazen! Nie daruje jednego dnia nawet! — wybuchnęła znowu pani Joanna. — Czy on pomyśli, skąd mu wziąć mamy ten jego lichwiarski procent? No, no, pofatyguje się jeszcze nieraz!

— Jak go trochę zmęczymy, może co ustąpi — dodał Maric pocieszająco. — Drugi raz, jak go zobaczymy, trzeba się do łóżka położyć. Chorych uszanuje!

\* tradować — zabezpieczać mienie dłużnika na rzecz właściciela.

Ale Józef nie bardzo myślał teraz o pieniądzach. Mieszkanie i stół miał zapłacone za pół roku, korepetycjami opędzał drobne wydatki, w knajpie miał kredyt i zaufanie, rujnujących namiętności nie posiadał.

Nie otrzymawszy pieniędzy, zbyt delikatny, aby nalegać, pogodził się z losem.

Wezmę jeszcze parę lekcyj, zegarek złoty ojca dam do lombardu, opędzę się jakoś, myślał wracając ze swej niefortunnej wyprawy. Ten procent zostanie mi do lata. Przez wakacje powależam się trochę po świecie. Et, głupstwo! Po co starych truć!

On teraz by wszystkich oszczędzał i tłumaczył, tak mu dobrze było na świecie.

Wedle życzenia Pepi, o oznaczonej godzinie stawił się u Maltasów.

Profesorową z córką już zastał.

Maltas z całą rozkoszą dorobkiewicza oprowadzał je po swym apartamencie, pokazywał i kazał się zachwycać, wymieniając ostentacyjnie cenę każdego przedmiotu.

Panna Liza znowu udawała dla dostatków swych wysokie lekceważenie osoby, która do tego zbytku od dziecka nawykła i ma to w należytym pogardzie.

Wysoka, śniada, o twarzy kształtnej, ale bardzo zimnej i nieruchomej, poruszała się z wyszukaną manierą.

Gdy milczała, usta jej wyglądały jak ściągnięty skórzany woreczek; gdy się śmiała, rozbiegały się wzdłuż, a wąsko, tworząc na bladej twarzy ledwie linię różową.

Nos miał zagięcie orle, niskie czoło otaczały kręjące się sinoczarne włosy; oczy, blisko siebie osadzone, brunatne, dawały twarzy wygląd ptaka.

Brylanty miała w uszach, cenną kameę w broszy, na ręce bransoletę grubą, złotą, na palcu dwa piękne pierścionki. Strój był jaskrawy i raził wybredny smak Józefa, a zarazem wstyd mu było za nią, bo widział wzrok drwiący, jakim ją szykowna Pepi mierzyła.

Maltas przyjął go jak syna, uściskał i ręce zacierał; panna Liza niezgrabnie podała rękę nagle zmieszana, nie wiedząc co rzec. Rozsznurowała usta i uśmiechnęła się tylko, a uszy jej poczerwieniały z wrażenia.

Józef nawet nie spostrzegł tego. Rzucił Pepi gorące, krótkie spojrzenie radości, że ją spotkał i rozmawiał z gospodarzem domu. Maltas na propozycję amatorskiego teatru rozpromieniał. Ależ naturalnie! Sala, służba jego, konie, on sam, wszystko było na rozkaz tych pań.

— Tylko co mam robić, nie wiem! — przyznawał się rozkładając ręce. — Ale są młodzi. Pan mnie wyręczysz, kochany panie Józefie.

— Z całą przyjemnością. Zajmę się dekoracją sali i urządzeniem sceny.

— To, to, to! Przychodź pan często, baw długo. Ojciec pański był moim kolegą. Bardzo bym rad był utrzymać dawne stosunki.

To mówiąc, spojrzeniem wymownym przeszedł z niego na wnuczkę i zatarł ręce.

— Może to będzie dla pana zbyt kłopotliwym to najście domu? — wtrąciła profesorowa. — Przedstawienie to ma mieć cel dobroczynny, bilety płacone. Moglibyśmy wynająć salę.

— Cóż znowu! To mi czyni tylko przyjemność. Zaoszczędzony ten wydatek zostanie dla biednych. Im więcej, tym lepiej.

— Pani może zechce sprzedawać bilety? — zaproponował Lizie Józef.

— No tak, ale nie sama — wtrącił dziadek.

— Służyć mogę do towarzystwa — ofiarowała się Pepi. Maltas wolałby zapewne Józefa, ale podziękował gorąco. Pepi dała pannie egzemplarz wybranej sztuki i zabrały się do odwrotu.

Józef podniósł się także.

— Oczekujemy pana tedy codziennie — pożegnał go Maltas, całując w oba policzki.

Panna Liza podała mu rękę małą, krótką, szeroką i lodowato zimną.

Jeszcze w przedpokoju zamieniono tysiąc grzeczności i zapewnień przyjaźni, i wreszcie całe towarzystwo z „Pod snopem” znalazło się na ulicy.

Pepi wybuchnęła śmiechem.

— Panna istny relikwiarz! A to się wysadziła klejnotami! Horror!

— Dostatni bardzo ludzie! — rzekła profesorowa.

— I w gruncie poczciwi — dodał Józef. — Niech pani ich nie wyśmiewa! Byli tak szczerze radzi paniom.

— Także naiwność! Nie nam, lecz panu. Panna oczu nie spuszczała rozkochanych, a stary aż się zająkał, by nie wykrzyknąć: O zięciu, chodź w me objęcia!

— Ależ, Pepi! Stary kolega ojca pana Józefa.

— Urojenie, pani. Pan Maltas marzy dla wnuczki o świetnej partii, a nie o takim hołyszu jak ja!

— Podobała się panu?

— Kto? Panna Maltas? Słowa daję, nie przypatrzyłem się jej nigdy. Skromne dziewczę, milczące; nie wiem nawet: brunetka czy blondynka.

— Bardzo przyzwoita panienska. W domu bardzo porządnie. Rada jestem z tej znajomości — zdecydowała ostatecznie profesorowa.

— Mama wraca do domu? Do widzenia! My pójdziemy na lód. Mam przeczucie, że spotkam kogoś miłego. Chodźmy, panie Józefie!

Zawahał się chwilę, rażony ostatnim zdaniem, ale spojrzął na nią i poszedł.

— Jaka pani okrutna! Po co mam być świadkiem spotkania z kimś miłym? — rzekł gorzko, gdy się znaleźli sami.

— A pan gdzie się wałęsa po nocach co dzień? Z hrabią Iwonem? Nie lubię tego!

Zabiło mu serce z radości.

— Pomyślała pani o mnie? Dziękuję! Już nigdy, nigdzie nie pójde, jeśli pani nie chce!

Uśmiechnął się do niej całym rozradowaniem duszy. Wieczorem wracali już pod rękę. Inaczej to było niż z Adamem i innymi.

Tamci żartowali, nacierali, prosili lub mówili o uczuciu. Ten milczał, uśmiechał się radośnie, czasami rękę jej uściskał. I szczęśliwy był bezmiernie. Żadne gorące, stanowcze słowo nie stanęło między nimi, żadne wyraźne wyznanie, żadne przysięgi. On milczał, jako marzyciel: ona, jak wytrawna kokietka, lubiła przedłużać ten wstęp rozkoszy, upajający powoli.

Od tego dnia Józef przestał być trzeźwym. Bezustannie podniecony i na pół przytomny, niesłychaną siłą i ciągłym natężeniem utrzymywał pozorną równowagę. Uczucie objęło go całkowicie.

Kochał nerwami jej postać smukłą i usta purpurowe, kochał sercem, jak swoją własność, a fantazja artysty układała dla niej pieśni i melodie, co dzień głębsze.

Był na jej usługi, wyglądający skinienia, szczęśliwy, jeśli polecenie było ciężkie; nie widziano go w knajpie, stracił Iwo wiernego socjusza swawoli.

Z gwałtownością uczył się teraz, byle prędzej skończyć i zostać człowiekiem samoistnym, stworzyć raj dla niej; pracował nocami, dnie całe nią zajęty, wśród ludzi tak wesół i jasny, że patrząc nań, wierzyło się w szczęście.

Wyrivano go też sobie, takie niewyczerpane miał źródło dobrego humoru, swobody.

Nigdzie jednak nie witano go tak radośnie, jak u Maltasów.

Przychodził codziennie zaraz po obiedzie, zwykle z kolegą Michałem do pomocy.

Salę opróżniono ze sprzętów, przedzielono na dwie połowy. W większej, z wejściem od przedpokoju, ustawiono krzesła dla publiczności, mniejszą zajęło podwyższenie sceny.

W robotach tych Liza Maltas brała czynny udział. Była uprzejma, zręczna, rada spełnić każdą myśl Reniego. Z Michałem zaznajomiła się rychło i wprędce doszli do wielkiej przyjaźni. Względem Józefa zawsze była dzika i nieśmiała, chociaż chłopak, przychodząc z duszą pełną szczęśliwości, miewał bezwiednie i względem niej tysiące uśmiechów, żartów,

uprzejmości. Czasami, roztargniony, na jakieś pytanie odpowiadał miękkim głosem, z oczami rozmarzonymi, wiecznie swą Pepi mając w myśli.

— Zwariował! — mruczał wtedy Michał.

Liza Maltas, gdy ją spotkały te oczy, bladła aż do warg i odwracała wzrok ponuro.

Stary, o ile mógł, zabierał Michała lub zajmował go rozmową, spod oka przyglądając się tamtym i zacierając ręce.

Odwiedzał też często radczynię i coś szeptali z sobą. Spisek był uknuty.

Pewnego dnia, na tydzień przed świętami, Reni z Michałem byli sami w sali i oklejali budkę suflera.

Ostatnia to była już robota.

Panna Maltas z dziadem oddawali wizyty.

— Otóż i gotowe! — rzekł Reni rzucając okiem po sali. — Dostanę pochwałę, myślę!

Uśmiechnął się sam do siebie.

— Bardzo się rzadko spełnia to, czego się spodziewamy — sentencjonalnie wygłosił Michał. Zapalił papierosa i dodał: — Czy ty uważasz, że Maltasówna przepada za tobą?

— Nigdy mi to do głowy nie przyszło.

— Szkoda, że do twej głowy nic się logicznego teraz docisnąć nie może.

Józef poskoczył do niego.

— Michaś, nie mantycz! — zawołał ze śmiechem. — Wiesz, żem szczęśliwy! Do mnie nic, oprócz niej, przystępu nie ma i mieć nie będzie.

— Wiem! — odparł Michał. — I nawet ci wyznam, że lubię twoją Pepi i rad bym dla was obojga trwania tego uczucia. Żebyż ona traktowała to serio!

— Kocha mnie! — szepnął Józef cały drżący.

— Tak, to widoczne. Ale ty ją kochasz zanadto. I... po coś tam wprowadził Iwona?

— Albo co? On ją bawi.

Michał brwi wznosił w górę i chciał coś odpowiedzieć, gdy się drzwi od sieni otwały i zajrzała przez nie Maricowa. Zobaczywszy Józefa wtoczyła się do środka.

— Ledwem ciebie znalazła — rzekła sapiąc. — Przyjechałam w interesie. Masz czas?

— Służę cioci.

— To jedź ze mną do młyna. Zaraz, zaraz! Boję się spotkać tego starego niegodziwca, intryganta! Chodź!

Tłusty siwek stał na ulicy. Józef wziął cugle i ruszyli. Maricowa wyglądała pokorna i nieśmiała. Zerknęła zezem na synowca i zwlekła z opowieścią.

Ulitował się nad nią i sam sprawę zagaił.

— Czy Piotruś wrócił?

— Prawda, aha! Wrócił! — wybuchnęła tedy. — Dwa tygodnie, jak zginął, urwis! Dałam mu pieniądze na te rzeczy zaaresztowane i tyle go widziałam. To zgroza!

— Alboż ciocia nie wie, że mu do rąk nie można dawać pieniędzy? Ja ostrzegałem. Mnie ciocia nie chce nawet płacić procentu, a jemu robi takie łaski. Podobne słabości trzeba zawsze odpokutować. Teraz dać mu spokój! Niech sobie radę daje sam na świecie!

Maricowa umilkła. Mówił jej prawdę i w myśl jej dawną uderzał. Ale teraz ona inaczej myślała.

— Zapewne! — bąknęła niewyraźnie. — Ale on się już dużo poduczył, pomoc była.

— Za tę cenę, co on ciotkę będzie kosztował, można mieć trzech techników. Zresztą wuj wystarczy.

— Zapewne! — powtórzyła. — Jednakże on nam może tam wstyd zrobić. Mnie o nazwisko chodzi. Może się ożenić!

— No, to i owszem!

— Wcale nie! Ta panna, co ją ma w pugilaresie, to podobno Żydówka.

— Wychrzci się! — odparł Józef filozoficznie.

— Ty nie masz serca i sumienia... tak brata lekceważyć!  
— A skądże u cioci znalazło się raptem tyle dla niego serca i sumienia? Dotychczas był zmorą i utrapieniem cioci!  
— No, to tak! — odparła nie znajdując argumentów.  
— A teraz się ciotka nad nim rozczuła.  
— Wcale nie! Oszukał mnie haniebnie!... Ale, mówię ci, chodzi mi o nazwisko.  
Józef dotknął biczem siwka i gorzko się uśmiechnął.  
— Et, po co ciotka wyrzeka? Chłopak wziął za serce i teraz dobry! No więc cóż ja mam radzić w tej sprawie?  
— Mój Józieczku, ty pojedź i sprowadź go tutaj!  
— Nie mam czasu. Chyba po świętach. Lekcje dawać muszę i opuścić ich nie mogę, inaczej zostanę bez chleba.  
— Mój Józieczku, zapomniałam, że to twój termin. Zapłacę zaraz procent.  
Chłopak milczał. Oddalić się od Pepi, teraz, równało się bohaterstwu.  
Maricowa przypuściła szturm.  
— Mój Józieczku, pojedziesz! Zrobisz mi tę usługę. Tyś dobry, poczciwy chłopiec. Piotruś ciebie tak uważa, ciebie jednego słucha. Pamiętaj, on młodszy! Masz obowiązki ojca! Nie można pozwolić, by zmarniał! Pojedziesz!  
Józef już topniał. Serdecznie był do brata przywiązany, wzruszyła go stara swą prośbą.  
— Pojadę — rzekł wreszcie. — Ale niech ciocia raz wszystkie jego długi zapłaci. Inaczej zawsze wstyd będzie nad nami wisiał. Nie ruszę się bez dostatecznej sumy.  
— Ach, Boże! — z głębi serca jęknęła pani Joanna.  
— A ileż ty tego rachujesz?  
— Trzy tysiące niezawodnie.  
— To straszne! Ja nie mam tyle gotówki! Zastawię chyba perły prababki.  
— Nie wiem, co i gdzie ciocia zastawi, ale bez tego nie odzyskamy Piotrusia. Pewnie siedzi pod kluczem.  
— Nieszczęsny chłopiec! Nie ma dla niego ratunku! Wózek zielony stanął przed młynem. Weszli do domu i pani Joanna poczęła chodzić po pokoju w strasznej z sobą walce.  
Wieczór już był. Po chwili Maric się ukazał zziębły i złośliwie uśmiechnięty, z magazynu wróciła sierota.  
Gospodarz rozpoczął rozmowę o Maltasie, który znowu przed paru dniami zarobił świetnie na placu nadbrzeżnym; sierota wypytywała się o miejskie nowiny, pani Joanna wyszła do swej sypialni i szperała po szufladach.  
Wtem we drzwiach stanął Albuk, starszy młynarz, i oznajmił:  
— Proszę pana, kamienie nowe przywieźli z kolei; czy będziemy je jutro zakładali i kto zadyryguje?  
Maric ręce zatarł.  
— Matka! — krzyknął do żony. — Chodź tutaj! Albuk przyszedł.  
Maricowa wytknęła głowę.  
— A co tam?  
— Wedle kamieni, proszę pani. Trza je już zaciągać.  
— Dobrze. Jutro najmij ludzi!  
Młynarz wyszedł. Za nim stary służący zatarł skwapliwie wilgotną plamę butów na niepokalanej podłodze i biały odcisk pleców na uszaku.  
— Janie! Trzeba ci jutro dopilnować tej roboty. To nie fraszka! — rzekła pani Joanna.  
— O, nie fraszka! Ale ja nie mam czasu na kantor i na techniczne zajęcie! — odparł zawzięty stary, uśmiechając się mściwie.  
Pani Joanna zatrzasnęła drzwi. Po dość długiej chwili wróciła i rzuciła na stół przed Józefem plik banknotów.

— Masz! Jedź po Piotrusia! — zawołała piorunując męża wzrokiem.

Józef policzył sumę.

— Jeszcze mój procent, ciociu! — rzekł spokojnie.

W ponurym milczeniu po chwili przyniosła i tę resztę. Chłopak wstał i spojrzał na zegarek.

— Nad ranem wyjadę. We środę będę z powrotem — rzekł biorąc czapkę.

Spieszno mu było do Pepi. Po drodze wstąpił do ogrodnika i wziął dla niej wiązanek delikatnych, cieplarnianych kwiatów.

Z salonu profesorowej doleciały go wesołe śmiechy, wśród nich jej głos srebrny.

Na wstępie ujrzał Iwona, który opowiadał swym urywanym akcentem komiczną anegdotę, ilustrując ruchami i miną.

Ubrany jak zwykle bez zarzutu, chuderlawy, śmieszny, o dziwacznym profilu, prawie bez rysów, z monoklem w oku, woniejący Jockey-Clubem, mimo woli, jak zwykle, wywołał uśmiech na usta Józefa.

Śmiali się zresztą wszyscy obecni: profesorowa, Adam, Gustaw, Pepi, nawet poważna Ludka. Pepi tak była opowieścią zajęta, że nie zauważyła wejścia Reniego.

Dopiero gdy usiadł przy niej, obejrzała się, kiwnęła mu głową i dalej słuchała skrzeczącego głosu hrabiego.

Józef nieznacznie położył jej kwiaty na kolanach i odszedł, by się do drogi przysposobić. Tam hałasowano dalej.

Po długiej chwili zaledwie Pepi wyszła do jadalni i wywołała go po cichutku.

Pełnia radości i życia biła jej z twarzy.

— Jaki on doskonały, ten hrabia! Dziękuję panu za tę znajomość!

Kwiaty trzymała w ręku. Oderwała jeden i przypięła mu do butonierki, potem z pieśczołą przesunęła mu ręką po włosach.

— Odjeżdżam zaraz — rzekł.

— Gdzie? Na długo? Nasz teatr? — zawołała.

— Na parę dni, po brata. Wrócę na przedstawienie.

— Ach, te wstrętne interesy nie w porę! Będę w ciągłym niepokoju! — rzekła z dąsem.

— O teatr czy o mnie? — spytał z uśmiechem. Opamiętała się, czy też istotnie pożałowała cichego chłopaka i jego rozkochanych oczu.

— Jak się panu zdaje! — szepnęła pochylając się ku niemu.

— Pepi! — wyszemrał. — Tak mi ciężko z tobą się rozstać! Pamiętaj!

W milczeniu zmrugała oczy, nagle rozmarzona, i podała mu do pocałunku te oczy właśnie. Potem sekundę położyła mu głowę na ramieniu, westchnęła cicho i wysunąwszy się z jego objęcia, znikła w salonie.

Chłopak zatoczył się jak pijany.

Niedobrze sobie zdawał sprawę z całej tej podróży.

Czas spędzał w pół śnie, w pół jawie, marząc o niej. Opatrzność czuwała nad nim. Otrzeźwiał trochę na miejscu, gdy działać musiał. W miejscowości nieznaney trudno mu będzie zapewnić dobić się do Piotrusia.

Mieścina to była fabryczna, pełna dymu, swędu, węgla, huku motorów, gwizdów sygnałowych i ludzi snujących się za interesem.

W zajeździe, gdy Józef się przebrał i przy wieczerzy jał się rozpytywać o młyny Spechta, starsza kelnerka przyjrzała mu się uważnie i zagadnęła:

— Może pan brat pana Reniego?

— No, dlaczego?

— Ano, bo pan go coś niecoś przypomina. Ach, co to za człowiek!

Zaśmiała się, zakrywając się fartuszkiem.

— Znajomy wam? Co? — badał.

— Ojej! — odparła wymownie.



Poszeptała z towarzyszkami i chichot ogarnął wszystkie.

No, pomyślał Józef, znajomości ma szerokie; nie powiem, aby w zbyt wysokiej tylko sferze. W każdym razie odszukać go nietrudno. Sławę ma!

Spożył prędko wieczerzę i chciał wychodzić, gdy gospodarz do niego przystąpił.

— Pan daruje! — rzekł uśmiechając się lubo, przy czym był uderzająco podobny do pełni miesiąca. — Te dziewczęta prawią, że pan jest bratem pana Piotra Reni. Może to być prawdą?

— Najrzetelniejszą!

— O, je! Mam u pana Piotra należność!

— Bardzo dobrze. Ureguluję to jutro! Tymczasem może mi pan wskazać jego kwaterę?

— Mieszkał u mnie pół roku, póki mogłem borgować; wyczerpał mnie, potem przeniósł się „Pod Łabędzia,” potem gdzieś zniknął. Ach, panie, co to za człowiek! Powiadają szczerze: wypompował mnie! No, i co pan chce? Mam słabość do niego... nie mogę nawet się gniewać.

Józef spojrzął po nim i pomyślał, że jegomość gospodarz wcale na wypompowanego nie wyglądał, ale uwierzył na słowo.

— A teraz gdzie go znajdę? — spytał.

— U wdowy Kraft, tej, co to ma trzy córki. Bogata... ma dwie emerytury po dwóch mężach.

— Ileż ona lat ma, na Boga?

— Ano ze sześćdziesiąt. Bo to pierwszy stary był, a drugiego zarznęli, gdy pieniądze wiozł. Za to też jej płacą... osobno... a jakże! Ma domek własny... każdy panu wskaże... nad wałem starym.

— Dziękuję, trafię!

— Coś prawią, że pan Piotr żeni się z którąś — mówił gadatliwy gospodarz, odprowadzając gościa do drzwi. — Nawet go sam onegdaj o to pytałem, bo może by posag wziął.

— No i cóż odpowiedział?

— Śmiał się... Taki złoty chłopak! „Poradz mi, gospodarzu,” powiada, „ale pamiętaj, że jednej na imię Jetta, drugiej Kunegunda, trzeciej Julia. To sęk!” Coś nawet zaśpiewał o tym... i poszedł! Setny chłopak!

Józef był zgorzony podobną brata niedyskrecją i ruszył na poszukiwanie. Pierwszy spotkany wyrostek ofiarował mu się za przewodnika i oto stanął prędko przed domkiem malutkim, w ogródku otoczonym parkanem.

Wewnątrz liczne towarzystwo zabawiało się arcywesóło śpiewem, śmiechem i hałaśliwą rozmową. Gdy Józef zadzwonił, służąca, wyglądająca jak uosobienie radości, powitała go śmiechem bez żadnej ku temu racji.

— Czy zastaję pana Piotra Reni? — spytał.

— A jakże! Wszystkich pan zastaje. Ale kto pan taki?

— Proszę tutaj poprosić pana Reni, jeżeli nie posiada wyłącznego pokoju.

— Jakże? Jest pokój, ale dzisiaj tam jadalnia. Bo to konfirmacja\* najmłodszej panienki. Tyle osób się zeszło... zabawa. Pan Piotr właśnie śpiewa; ale jak skończy, wnet mu oznajmie. Pan tymczasem spocznie.

Posadziła go na stosie futer i poszła.

Józef wysłuchał śpiewu, dziwiąc się oklaskom; nie pojmował, że ktoś znosić może w ten owacyjny sposób fałsze Piotrusia.

Potem wstał, bo myślał, że lada chwila wyjdzie szanowny dezenter ciotki Joanny; ale zamiast tego rozległ się drugi śpiew, duet tym razem, w którym produkujący się czynili, co mogli, aby śpiewać każde co innego.

— *Malédiction*\*! — mruknął starając się słuchoć jak najmniej.

\* konfirmacja — w wyznaniach protestanckich uroczyste przyjęcie do gminy kościelnej młodzieży w wieku 13–16 lat, poprzedzone egzaminem i publicznym wyznaniem wiary.

\* *Malédiction*! (fr.) — Przekleństwo!; Do diabła!

Służąca przebiegała, zatrzymała ją.

— No, cóż? Oznajmiła mnie panna?

— Jeszcze nie. Zaczęli drugi kawałek. Zaraz. — I znikła. Józef uzbroił się w cierpliwość i czekał.

Po śpiewie i oklaskach zapanowała wrzawa; jakieś prośby, potem cisza, w której się rozległ głos Piotrusia deklamującego z należyty patosem pieśń o dzwonie Szyllera.

— Bagatela! — mruknął Józef. — Będzie tej piły na dobry kwadrans. A, niegodziwiec! Co on potem jeszcze wymyśli? Słowo daję, na zakończenie zjawię się w salonie bez meldunku.

Znowu czekał tymczasem, machinalnie podpowiadając w myśli. Położenie jego w sieni na futrach stawało się śmieszne.

Krew mu biła do twarzy z przykrości. Szczęściem, dzwon został nareszcie odlany i ochrzczony. Józef znowu wstał, gotów do szturmu na brata.

Wtem drzwi od salonu się rozwarły i wbiegła młoda panienka z chustką przy oczach; chustka ta sprawiła, że Józefa nie spostrzegła, a on czując jakiś melodramat w powietrzu, co rychlej schował się za wielką szafę.

Jest!... Roztopiła się Niemka! — pomyślał.

Ale za panną wszedł ktoś drugi i rozległ się szept przerywany łkaniem.

— Idź pan, idź do Kundy! Zostaw mnie ze złamanym sercem! Okrutny!

— Ależ panno Julio, Julio! To ty jesteś okrutna! Kwiaty ofiarowałem tylko z powodu confirmacji. O, powtórz raz jeszcze, coś rzekła o swym sercu! To słowa dla mnie rozkoszne. Albo raczej złóż je na moim, które, posłuchaj, jak bije. O Julio moja!

Józef, wyjrawszy ostrożnie, dostrzegł Piotrusia we własnej osobie, tulącego do serca pannę, która chustkę już schowała do kieszeni i wyglądała, jakby złamane serce było mitem dalekim. Schronili się za futra i tam uściskom nie było końca; tak przynajmniej zdawało się Józefowi. Wreszcie jakiś ruch w salonie ich spłoszył i rozeszli się: Piotruś do towarzystwa, panna do prywatnych apartamentów.

— Piotruś! — zawołał Józef... nadaremno jednakże. Goście właśnie ruszali na kolację i nie było nadziei, że skończą przed godziną.

Józef napadł na służącą, gdy się zjawiła.

— Słuchaj no! Jeśli mi pana Piotra zaraz nie sprowadzisz, odchodzę, ale wrócę z żandarmami. Co to za żarty? — wybuchnął.

— O! A com ja winna? Pan Piotr mi przykazał tak robić.

— Ze mną?

— Nie z panem, ale z każdym, co do niego interes ma. Oho, żebym inaczej czyniła, toby on nigdy chwili spokojnej nie miał. Znam ja was, lichwiarze, z waszymi żandarmami! To i co? Sprowadzaj sobie ich pan!

Wzięła się w boki wyzywająco.

— Ależ ja nie jestem lichwiarz, ale brat jego rodzony; mam pilny interes.

— Naprawdę? Nie zmyśla pan? Proszę dać bilet wizytowy.

— Zostawiłem w zajeździe; ale gdyby kawałek papieru, skreślę parę słów.

— To ja papieru przyniosę.

Nareszcie kartka osiągnęła skutek.

Piotruś wpadł z serwetą w rękę prosto w objęcia brata.

— Co się stało? Żenisz się może? Mam ci družbować? — spytał uszczęśliwiony.

— Zdaje mi się, że to ty właśnie o tym zamyślasz. Ładne urządzasz awantury! No, zbieraj się, chodźmy do mego zajazdu. Mam bardzo mało czasu, a wiele do zrobienia.

— Ależ idę, z całą przyjemnością. Wiesz, zem prędzej się spodziewałem nawet ciotki Joanny niż ciebie.

— Niewiele brakło, a ujrzałbyś ją samą. Ulitowałem się nad starą i oto jestem w zastępstwie.

— Chwała Bogu! Przynajmniej ty mi głowy piłować nie będziesz. Poczekaj sekundę, oznajmię się gospodyni i jestem.

— Tylko się pannom nie oznajmiaj, bo trwałoby to do jutra. Mianowicie tej od złamanego serca.

— Co? Byłeś tutaj? No, dobrze, że nie ciotka. Zaśmiał się, znikł na chwilę i ukazał się, do drogi gotów. Wyszli. Józef chciał z obowiązku trochę go zwymyślać, ale jakoś mu się nie kleiło.

W zajeździe dopiero spytał:

— Wykupiłeś rzeczy?

— Chciałem, ale nie było czym. Ciotka dała *stricte* sumę należną; a tu, ledwom się zjawił, wpadli na mnie wszyscy: manichejczycy, znajomi i panny. Dałem temu trochę, temu trochę, i het wszystko się rozpełzło.

— Więc czemuś nie wrócił?

— Ach! Za co?

— A za cóż żyłeś tyle czasu?

— Trochę w karty wygrałem, trochę byłem głodny, a potem tych pieniędzy, com je na długi poroztykał, znowu pożyczyłem.

— Wygodny proceder, nie ma co! No, i zabawiłeś się do syta?

— Dobrze było! — potwierdził Piotruś z lubym uśmiechem i dosadnym ruchem.

— Więc może byś znowu się trochę ustatkował i wrócił na łono rodziny?

— A dobrze! Bo wiesz, nawet mi już bardzo głupie myśli zaczęły do głowy zazierać! Myślałem się żenić z którą z Kraftówien, ale nie mogłem się stanowczo na jedną zdecydować i dlatego jeszcze to w zawieszaniu.

— A gdzie te dawne ideały?

— Dawne? Które?

— Jeśli ty nie pamiętasz, to skądże ja mam wiedzieć?

— Pewnie! *Hin ist hin!*\*

— Właśnie! Więc trzeba raz stąd wyjechać!

— Ja sam czuję, że marnieję w tej dziurze. Ale jak wyjechać? A długi?

— Podyktuj mi je.

— Oho, zaraz! Dość miałem kłopotu tych dobrodziejów naciągnąć! Jeszcze mam ich pamiętać i wspominać! Niech oni mnie teraz pilnują!

— Bredzisz! No, tak mniej więcej, ile i komu jesteś winien?

— Ano, temu grubasowi, ot z tej budy, i temu drugiemu z „Pod Łabędziem” ogrodnikowi, złotnikowi, szewcowi Tustowi z rynku, co pieniędzmi handluje, i już!

— A ile?

— Czy ja wiem! U nich zapisane; ano, i jeszcze Bartmundowej.

— Mniej więcej ile? — badał cierpliwie Józef. — Masz może jakie rachunki? Przejrzyjmy je!

— Ale, na licha rachunki! Jest moneta, to jazda; nie ma, to jej z rachunków nie wycisnę. Strasznie głupie zasmarowywanie bibuły, rachunki! Czasem myślę, że dziewięć dziesiątek różnych ludzkich wymysłów musi być wynalazkiem ciasnych głów!

— I to być może, ale to nam nie ułatwi uregulowania twych interesów.

— Bo najlepiej ich nie regulować. Umrę ja, umrą manichejczyki, umrą interesy! Tymczasem niech cierpią oni i ja po straconej mamonie. Cierpieć w życiu obowiązek jest i tego nic nie zmieni! A zresztą, co tam za wielka klęska? Ja pieniędzy nie schowałem... poszły w kurs. Może wrócą z setnych rąk do tych, co mi je dali; no, to i będzie słuszne. Ja bym wolał, żeby do mnie wróciły; ale jeśli już koniecznie mają do nich wrócić, to też zgoda... Nie zginie klasa ratujących w potrzebie! Pożywię się znowu przy nich!

\* *Hin ist hin!* (niem.) — Było, minęło!

Józef słuchał cierpliwie. Miał w naturze swojej trzy wstręty: do dysput, do rad i do nawracania. Nie zdał się na moralizatora. Zresztą był w tej chwili pełen szczęśliwości; podobało mu się wszystko, nawet absurdy Piotrusia. Chciał tylko prędzej swoją misję skończyć i wrócić do Pepi.

— Mój drogi — rzekł — postaraj się dopomóc mi nieco, zamiast pleść androny. Jutro musimy twoje długi wszystkie zapłacić i wyjechać nocnym pociągiem.

— Zapłacić! Ho, ho! To będzie dopiero tym dobrodziejom bal! Pochorują się z wrażenia! Skądże masz pieniądze?

— Ciotka dała.

— Et, nieprawda! Cóż ona? Pomieszania zmysłów dostała?

— Nie, ale chce ciebie mieć we młynie, a ja oznajmiłem, że cię bez tego nie sprowadzę.

— Mądrześ rzekł! Dziękuję ci, Józik! Aha, to jeszcze sobie jeden dług przypominam: sukcesorów majora Tednow.

— Może jeszcze kogo?

— Nie, chyba już dosyć. Zresztą jutro trzeba tę szarańczę zwołać tutaj, to ich może po głosie poznam. Uch, szelmy, tyle pożrą pieniędzy!

— A rzeczy twoje u kogo?

— „Pod Łabędziem.” Niech no mi mole zahodował! A zresztą, moje biedne odzienie, taki szyk, i trzeba je będzie tylko ciotce produkować. Wiesz, ja ci drapnę z dworca jeszcze!

— Nie. Mnie tego nie uczynisz! — odparł Józef patrząc nań poważnie.

Piotruś spotkał ten wzrok i skoczył bratu na szyję.

— Nie, nie zrobię! — potwierdził serdecznie. Zaraz potem spojrzął na zegarek brata i rzekł:

— Jeszcze wcześniej. Chodźmy gdzie. Zaprowadzę cię na setną zabawę. Są jakieś Tyrolki śpiewające.

— Pójdziemy spać!

— Et, farsa! To się z ciebie zrobił filister. Pewnie się gdzieś „wysoko” zakochał. Dziwna rzecz, jak to zaraz humor człowieka kwasi!

— Ano, trudno! Prześpimy się po filistersku. Zmachany jestem drogą. Ale, powiedz mi, gdzieś podział zegarek, ten antyk... po babce.

— A ten? Kędyś w praniu być musi.

— Przypomnij sobie gdzie i odszukaj kwit. Trzeba go odzyskać.

— Znajdzie się! Ale podły, bez ustanku trzeba go reparować! Już bym go dawno zepsuł, żeby nie to, że często daję... do przechowania. Cóż tam u starych? Bardzo na mnie źli?

— Pewnie, alem ich mało widział. Bardzom rad, że ciotka ciebie polubiła.

— Wiesz, zem zwąchał, że oni gdzieś chowają pieniądze? Jedno przed drugim się kryje. Istna złość, że ta moneta pleśnieje. Ale ja ich teraz dopilnuję.

— Po co? Ich własność. Niech robią, co chcą.

— Ja też nie ruszę, ale wiedzieć będę. Trzeba też, żeby ciotka dała mi jakąś pensję i uwalniała w niedzielę... do ciebie. Inaczej znowu drapnę. Wytrzymać nie sposób, bo to i głód, i chłód, i nuda, że choć się obwiesić.

— Dobrze! Pogadamy z ciotką. Ma słabość do ciebie. Zresztą tyś powinien we młynie zostać. Pewnie ci go zapisze.

— A ty? Wiesz, wuj mi gadał, że chce ciebie z Maltasówną ożenić.

— Daliby sobie spokój, a mnie krzyżyk. Ani ich młyna, ani swatów nie chcę. Dam sobie radę, bylebym doktorat przeszedł.

— W świat ruszysz wielki i dobrze ci będzie. I mnie tak się chce przy młynie zostać, jak psu tańczyć! Ta Maltasówna będzie bogata.

Ziewnął i zabrał się do spoczynku.

Józef chwilę jeszcze siedział u stołu, na skrawku papieru gryzmolił piosenkę dla Pepi. Potem położył się też i usnął, marząc o jej pocałunkach.

Nazajutrz Piotruś poszedł zwoływać swych kredytorów. Na to hasło stancja ich napełniła się tłumem bardzo rozmaitym.

— A co? Patrz, jaki bukiet? — szepnął w ucho brata, uszczęśliwiony. — Widziałeś ty kiedy tyle mała w komplecie? Zaczynaj od Fausta!

Józef tedy zagał posiedzenie z jednym, podczas gdy reszta zabawiała się na stronie.

Piotruś między nich wpadł, prawiąc koncepty, z miną milionera, drażniąc się, śmiejąc, przechwalając się z olbrzymiego spadku brata. W ten sposób nastrojeni ludziska miękli i do Józefa przychodzili pełni szacunku i uznania. Robota jednak była ciężka — biedny kasjer potniał, w gardle mu zasychało. Zdarzały się nieczytelne świstki lub urojone weksle... dla pewności, sprzeczkę o procent i termin. Piotruś nie raczył pomóc, bawił się wybornie, a wreszcie poszedł z gospodarzem „Łabędzia” po swoje manatki i przepadł jak kamień w wodzie.

Józef o zmierzchu skończył robotę i pożegnał ostatniego gościa. Potem zebrał porządnie dokumenty, skończył rachunki i zadowolony, że zostało jeszcze cokolwiek z pieniędzy ciotki, zaszedł na obiad spóźniony. Gospodarz wysiłał się na uprzejmości niesłychane, kelnerki wzdychały.

Józef, niespokojny o wyjazd, posłał jedną pod „Łabędzia” zasięgnąć wieści o Piotrusiu, ale odesłano tylko jego kufer, a on już dawno stamtąd odszedł.

— Żegna się — ze śmiechem uspokajał gospodarz. — O, panie, mało to on ma takich wizyt!

— Ale pociąg nie czeka. Mamy dwie godziny do odjazdu.

— To co? Rano odchodzi drugi. Józef, oburzony, porwał się.

— Żeby wiedzieć, gdzie go szukać...

— Albo u Kraftowej, albo u Rosenblatów, albo u Szmita; zresztą może u panien Zarniczek, jeżeli nie gdzie indziej. Kto tam te panny zrachuje!

— Niech mi pan da przewodnika! Pójdę go szukać. Musimy dzisiaj wyjechać.

— Służę panu! Mina, idź no z panem! Gdzie można o tej porze znaleźć pana Piotra, spytaj się po drodze u Tyrolek.

— Wiem już, wiem. Ale to do północy będzie roboty — odparła kelnerka.

— Moje uszanowanie! — mruknął Józef rozdrażniony do ostateczności.

Losy jednak okazały się dla niego dosyć łaskawe. W jednym domu był przed godziną, w drugim tylko co wyszedł, w trzecim go przydybali. Józef wywołał go do sieni i ze złości milczał, pokazując godzinę na zegarku.

— No, to i co? — odparł Piotruś swobodnie. — Byłbym jeszcze w porę. Zostało tylko dwie do pożegnania.

— Te raczysz zostawić na drugi raz. Zabieram cię do zajazdu i nie uwolnię więcej.

— Myślałby kto, że pierwszy raz jedziesz koleją żelazną. Taka gorączka! Tak ci pilno do kogoś wracać, a nie masz serca dla mnie, co tyle muszę pożegnać! — westchnął.

— Właśnie, że tyle, to mnie bynajmniej nie rusza.

— Spróbowałbyś, co to znaczy, tobyś dopiero mój trud ocenił. Ale ty jesteś taki... delikatny. Co godzina po łyżeczce. Co ty wiedzieć możesz, com ja się dzisiaj napracowałem! Ach!

Przeciągnął się, trochę osowiały i nieswój, i z miną penitenta, pomimo woli dał się prowadzić do zajazdu.

W restauracji przy piwie udobruchał się nieco, z zajęciem słuchał opowiadań Józefa o zabawach projektowanych na święta, potem nastąpiło ostateczne rozstanie z gospodą i miastem, i oto znaleźli się w wagonie dążącym do rodzinnego kąta. Piotruś od razu twardo

zasnął; Józef, przez okno w noc czarną patrząc, liczył mijane stacje z coraz gwałtowniejszym serca biciem. O Pepi!

Zmierzchało, gdy oddawszy zbiega pod straż i skrzydła opiekuńcze pani Joanny, a załatwiwszy z nią burzliwie wszelkie finansowe i towarzyskie kwestie Piotrusia, wyrwał się wreszcie i do ukochanej podążył.

Nie znalazł w domu, ruszył na ślizgawkę. Spotkał ją wracającą samotnie.

Uśmiechnęła się do niego mimo woli, wzruszona tym blaskiem szczęśliwości, co mu z twarzy promieniała. Wsunęła mu rączkę pod ramię.

— Cóż pani porabiała? — spytał.

— Nic! Mieliśmy parę prób. Jeździłam na łyżwach, bawiłam gości.

— Nie zawróciła pani komu nowemu głowy?

— Nie myślałam o tym.

— Dlaczego?

— Bo mi tak dobrze... teraz!

— Dziękuję pani! A jam tak rozstanie odcierpiał, jak ciężką chorobę.

— Przywiózł pan brata?

— Tak. — I zaczął opowiadać niektóre komiczne epizody wyprawy.

Śmiała się szczerze.

— Przyrowadź go nam pan!

— Dziękuję! Nie omieszkam, bo chłopak musi mieć czasami rozrywkę. Jak wiadomo, młyn ciotki nie jest miejscem nawet znośnym dla młodego. A on skazany na żywot tam.

— A pan?

— Ja go nie chcę. Cóż bym robił? Na mnie adwokatura czeka. Zresztą, bylebym kursy skończył... uczynię z sobą, co będzie żądała moja wybrana.

Umilkli na chwilę. Wyznanie ostateczne stanęło między nimi... On jeszcze rzec nie śmiał — ona się lękała, że urok pryśnie...

Pierwsza też rozmowę podjęła o teatrze.

Ach, ten teatr! Długo, bardzo długo, bo aż przez życie całe pamiętał Józef ów wieczór ze wszystkimi szczegółami.

Zwijał się od samego południa jak w ukropie. Sprzedaż biletów, układ widowiska, umieszczenie muzyki, rachunki, oświetlenie sali, pretensje każdego aktora, rekwizyta, nieporozumienia — wszystko spoczywało na jego głowie.

Na chwilę przed rozpoczęciem widowiska zostawił Michała przy kasie w przedsionku, Piotrusiowi zlecił porządek sali, a sam, zmęczony jak drwał, wpadł do sanktuarium aktorów — za scenę.

Panował tam zamęt, śmiechy, gwar i zupełne rozprężenie. Wszyscy, już ucharakteryzowani i w kostiumach, zebrali się razem i bawili wyśmienicie, ani dbając o zebraną publiczność. Józef wypił dwa kieliszki wina i jął robić porządek. Była to jednak sprawa niełatwa.

— Nie dasz im pan rady sam! — śmiejąc się rzekła Pepi. — Proszę wezwać w pomoc hrabiego Iwona z sali. Zapewne być musi.

— Myślałem już o tym, ale panna Małtas może się obrazić.

— Nie spostrzeże się w tym zamęcie.

— Idę tedy. Suflera też muszę już sprowadzić. Wtoczył się między publiczność równie rozbawioną jak artyści i wyciągnął kolegę, objaśniając po drodze, co miał czynić. Zabrał też Michała, który sprzedał właśnie ostatni bilet.

Poczęli we trzech robić porządek. Udało się wreszcie rozprorowadzić na miejsca grono amatorów i wytłumaczyć, że i co grać mają.

Potem Michał wpełznął do swej budy, Józef na gwałt dzwonić począł, muzyka ucichła, firanka się rozsuneła i... scena okazała się pustą.

— Stryj i ciotka! Wychodźcie! — zakomenderował reżyser w desperacji.

Po chwili kłopotliwego zamieszania tych dwoje wypadło na scenę i jakoś sztuka ruszyła w bieg z biedy możliwy do patrzenia i słuchania.

Józef bieg ten śledził, pilnował, tego i owego na scenę we właściwej chwili wypędzał, i na swym stanowisku, dla dogodzenia fantazji Pepi, trwał wiernie i z przejęciem.

Schrypnięty, zziajany, w kostiumie już, pilnował bacznie sceny, porządku, rekwizytów, nie oglądając się nawet na Pepi, kiedy schodziła za kulisy.

Wtedy pilnował jej hrabia Iwo.

Na niskim krzeselku siedząc przy niej, podawał pomarańcze i okiem znawcy przez szkiełko oceniając jej kształty, wiodł rozmowę urywaną, dwuznaczną, lekką, swobodną. Podrażniony był nią, zaciekawiony, zajęty. Ona mniej niż kiedy dawała się pociągnąć, roztargniona była, kimś innym zajęta, a ten chłód i opór podniecały go do dalszego ciągu nagle powziętej fantazji.

— Dostanę co za fatygę? — spytał wreszcie, patrząc na owoc złoty w jej ręce.

— Może pan dla siebie obrać jedną.

— Wolę cząstkę z rąk pani.

— Taak? A ja wolę zjeść całą.

— Lub dać komu innemu.

— Właśnie — odparła poważnie.

W tej chwili Józef wynurzył się zza kulisy.

— Wychodzę na scenę! — rzekł próbując smyczka. — Pani niedługo po mnie, a potem wielka końcowa scena. Iwo, dopilnuj tego!

— Dobrze! — odparł hrabia, śledząc uśmiech którym się powitali, krótki, lekki, a taki wyraźny. Pepi zbliżyła się do Reniego.

— Jaki pan zmęczony, zgrzany! — rzekła serdecznie. — A wszystko to dla mojej przyjemności! Masz pan na ochłodę!

I podała mu zaczęłą ćwiartkę pomarańczy.

Chłopak wziął owoc, ucałował spiesznie rękę i zniknął za kulisą. Iwo z cicha gwizdnął.

— To on! — zamruczał. — Ejże! Ostrożnie, bratku. Zaśmiał się złośliwie, zawrzała w nim niechęć do kolegi. Za co? Może za to, że Józef dziedziczył po nim, teraz on będzie musiał być po nim! Może dlatego, że nie rozumiał, by ktokolwiek mógł mieć śmiałość jego fantazji stawiać przeszkodę. On swoją fantazję mieć będzie; on nauczy błazna rywalizacji; on pokaże, co umie.

Plan był gotów. Ze sceny rozlegały się skrzypce pieszczone ręką, duszą, sercem chłopaka, co pokochał na życie! Jak te skrzypki grały!

Dobrze, że hrabia Iwo szturmowi już więcej nie przypuszczał do łask Pepi, bo Pepi dnia tego nie była do zdobycia dla nikogo oprócz grajka-marzyciela. Słuchała, a serce jej biło i szło ku niemu, czarem melodii zwalczone. Burza oklasków ogarnęła salę, zagłuszyła pierwsze jego słowa. Musiał powtórzyć — nie było końca owacji. Chłopak zaczerwieniony kłaniał się, raczej zdziwiony niż dumny. Była to natura nieprzystępna próżności.

Dopiero gdy Pepi wyszła i w oczach jej dostrzegł coś dotąd nie widzianego, omal roli nie zapomniał. Najwyższym wysiłkiem utrzymał się do końca. Nareszcie firanka zapadła. Nastąpił chaos. Aktorowie się rozbiegli, półcień był na scenie. Oni pozostali tylko we dwoje, jak w chwili zakończenia, trzymając się za ręce.

Chłopak rozkochany przyciągnął ją ku sobie, w milczeniu wpół objął — a ona z odetchnieniem, jak po wielkim zmęczeniu, zarzuciła mu ręce na szyję, pogarnęła mu się do piersi i... pocałowały go te usta, o których marzył we śnie i na jawie; zabiło do niego to serce za którego posiadanie oddałby źrenice oczu swoich i krew żył.

Może minutę było tej wielkiej ciszy i szczęśliwości; jedyny jej świadek, Michał, w swojej budzie znieruchomiał i ze zbytku dyskrecji rękopisem swoim suflerskim się zakrył.

Wtem zza firanki zrazu kilka głosów, potem kilkadziesiąt wreszcie cała sala rozległa się wołaniem:

— Reni, Reni, Reni!

Pepi odchyliła się powoli, rozmarzona; on jej ręce całował, szepcząc pieszczotliwe nazwy.

— Ohydni ludzie! — syknęła zdławionym głosem. — Każą znowu grać. Śpiesz, zaczekam; tylko muzyki tej już słuchać nie mogę... duszę mi wyprowadzi!

— Do mojej przyjdzie. Będzie jej dobrze! — szepnął. Hałas, wołanie, oklaski nie ustawały.

Józef przeszedł ręką po oczach i dał znak podniesienia firanki. Pepi znikła.

Znowu ze sceny muzyka się rozległa i przeciągłe okrzyki, a tymczasem w jadalni amatorowie zasiedli do kolacji, na którą Maltas nie żałował win wybornych, dań wystawnych.

Panna Maltas była nadzwyczaj uprzejmą gospodynią i ona spotkała wchodzącego Józefa, podając nieśmiało kielich wina.

Przyjął z niskim ukłonem.

— Za zdrowie pani! — rzekł wesoło. — W twoje ręce, Michale! — dodał zwracając się do cierpliwego suflera.

— Rzetelnie my troje powinniśmy mieć laury, bośmy bodaj największą mieli robotę — odparł Michał.

— Wznieśmy toast na swoją pomyślność!

Trącili się kieliszkami tak mocno, że szkło prysło w rękę panny Lizy.

— Co to? Kieliszek się stłukł? — zawołał Maltas nadbiegając. — Dobry znak! Będzie wesele!

Zatarł ręce i uchwyciwszy Józefa za głowę, pocałował w oba policzki.

— Świetnie się udało! Zrobiłeś furorę. Chodźże, chodź do stołu!

Józef umieścił się niedaleko Pepi i rozmówili się oczami. Obojgu tęskno było do cichego sam na sam.

Wokoło bawiono się w najlepsze, gdy ona skinęła na Michała.

— Mam szaloną migrenę i chciałabym się ulotnić bez ceremonii. Niech pan to szepnie panu Józefowi. On gdzieś ma pod swą opieką moje okrycie. Odprowadźcie mnie do domu.

Po chwili wyslizgnęła się do drugiego pokoju.

Tylko Iwo to spostrzegł i usta zagryzł.

Panna Maltas wyszła za nią. Żegnały się bardzo serdecznie.

Błada dziewczyna pozostała, patrząc na Józefa, który ubierał troskliwie Pepi. Wtedy może rozjaśniło się jej w głowie, a śmiertelnie zabołało w sercu.

Stała się jeszcze bledszą, jeszcze sztywniejszą. Nareszcie Pepi podała jej na progu rękę, dziękując za gościnność — i eskortowana przez dwóch przyjaciół, wyszła.

Panna Maltas udała, że drzwi zamyka, ale pozostała ukryta w żalomie schodów, patrząc i słuchając.

— Hm! Jakże ta dziewczyna ma zimne dłonie! — zżymała się Pepi. — To jakby śmierć się mnie dotykała!

— Idziesz z nami, Michasiu? — spytał Józef.

— Aż do rogu.

— Patrzcie! To pan mnie nawet nie odprowadzi?

— Nie, bo chcę zawsze być w łaskach u pani, a dzisiaj towarzyszyć mi nie wypada. Józef wystarczy.

Śmiech się rozległ, tak szczery i jasny tych dwojga szczęśliwych, że Michał, oczarowany, rączkę Pepi do ust podniósł.

— Serdecznie wam życzę! — szepnął.

Panna Maltas oparła głowę o mur i łzy jej z oczu się rzuciły. Tamci byli już w bramie.



## V

Wieczór był jak marzenie piękny i wiosna w całej pełni, gdy Józef wracał z dworca kolei, gdzie odprowadził i pożegnał swoją Pepi, odjeżdżającą z matką na parę tygodni do krewnych na wsi. Smutno mu było, ciężko — i sam nie wiedział co czynić, gdzie iść, opanowany bezmierną tęsknotą.

Przed kilku dniami zdał egzaminy i tak się cieszył, że będzie miał więcej wolnego czasu dla ukochanej, że spędzą razem ferie na wycieczkach w góry i po rzece, że ją będzie miał tylko dla siebie. Naraz inny projekt stanął tegoż rana i, zanim miał czas oprzytomnieć, już nadszedł wyjazd — i oto sam został ze wspomnieniem denerwującym pożegnalnego, krótkiego uścisku, spojrzenia z okna wagonu i kilku ździebeł różowych stokrotek, które mu rzuciła, gdy pociąg już ruszał.

Nagle sierotą się poczuł, nędznym, pokrzywdzonym, a tak nieszczęśliwym, że go nawet bolała myśl o niej, choć przecie rozstali się tak serdecznie. Nie chciał wracać do domu, żeby tych kątów nie widzieć, które bez niej martwe były, i ludzi nie chciał spotkać swobodnych, i zabawa żadna dlań nie istniała. Zresztą miasto się wyludniło. Radczyni wywiozła Michała do jakiejś upatrzonej posażnej panny. Adam wyniósł się spod „Snopa”. Iwo wyjechał na wesele siostry, dalszych znajomych wilegiatura\* przetrzebiła. Maltasowie jeszcze zostali, ale to było ostatnie miejsce, gdzie by rozrywki i pociechy chciał szukać.

Piotrusia odwiedzał niedawno, a swawola chłopaka nie licowała z jego smutkiem.

Więcej nikogo nie miał i wszelka rozmowa wstrętną mu była w tej chwili.

Zawrócił na drogę bitą, co ku górom wiodła, i szedł z głową spuszczoną, hen przed siebie, bez celu.

Powoli trzeźwił się ze smutku. To półrocze minione tyle czarów zawarło w sobie, tyle pamiątek! Wszystko w tym było: i gorzkie niepokoje, i duma szczęśliwości, i drażniąca zalotność dziewczyny, i chwile serdecznej zgody i ciszy, plany na długie życie i spokój osiągniętego celu, i śmiech, i uściski, i nagłe gniewy i przebaczenie!

Dlaczego smutny miał być, czego się troskać?

Czyż na palcu nie nosił malutkiego pierścionka tajemnych zaręczyn, tajemnych do czasu, gdy będzie miał prawo i możliwość przed matką się wynurzyć? Czyż nie powiedziała mu, że kocha? Czyż nie dawała mu ust całować i swoją zwać? Czyż nie traktowała go jak swojego? On był pewnym, że kochać nie przestanie, i wierzył jej nieograniczenie.

Jeszcze tylko rok. Tylko rok!

Żeby bogatym był, i ten rok by nie istniał, ale w swoim położeniu czekać musiał.

Westchnął. Dostatek go nigdy nie nęcił. Teraz zrozumiał, jaką dźwignią był pieniądz, i raz pierwszy pozazdrościł bliźnim.

Oddalał się od gwaru miasta, droga się wznosiła. Ptaszki do snu szły, świergocąc na wyścigi, po dolinach swój koncert rozpoczynały słowiki. Czereśniami wysadzany gościniec czerwony był od pogodnego zachodu, ciepły powiew niósł rozkoszne wonie kwiatów i młodych liści.

Na śpiewkę zagrał obraz w duszy Józefa, który też z cicha nucić począł, oddychając całą piersią.

Piosnka to była, którą sam dla Pepi ułożył i którą często razem śpiewali.

Parę strof już był powtórzył, gdy ktoś mu naraz z boku zawtórował.

Zdziwiony, oczy podniósł na towarzysza, którego dotąd był nie spostrzegł, i z okrzykiem do niego obie dłonie wyciągnął.

— Mistrz Łukasz! Witaj! Skądże? Z nieba?

— Z drogi! Udała ci się piosenka! Witaj!

\* w i l e g i a t u r a — pobyt na wsi dla odpoczynku, letnisko.

Uścisnęli się serdecznie, potem i pies rękę Józefa polizał z wyrazem zadowolenia.

— Ale skądś, mistrzu?

— Mówię ci: z drogi. Słońce do was wróciło, a ja z nim. Poznałem cię po charakterze melodii; a żeś mnie nie spostrzegł, chciałem do końca wysłuchać. Dokąd idziesz?

— Ot, tak! Przed siebie.

— Zupełnie jak ja. Pójdziemy razem.

— I owszem. Z tobą choć od morza do morza!

— No, to wróć po tornister i skrzypce!

— A dobrze. Na długo?

— Aż się nie znudzimy lub ciebie jaki obowiązek nie odwoła! Bo pewnie to masz?

— Na parę tygodni zatem!

— *Va bene!*\* — odparł dziwaczny artysta, ruszając ramionami.

Poczęli schodzić ku miastu. Łukasz zdjął kapelusz z uznojonego czoła i bujną swoją złotą czupryną wstrząsnął z fantazją.

Miał tornister na plecach, na wierzchu jego skrzypce w pudełku, w ręce kij okuty, odzież i obuwie ze śladami dalekiej drogi.

Szedł dzielnym krokiem wytrawnego piechura, uśmiechał się do uroczego krajobrazu.

— Dla takiego widoku warto z daleka przyjść! — rzekł ręką wskazując; potem nagle zagadnął: — Grałeś pilnie przez ten czas?

— Mało co — odparł Józef szczerze.

— Ach, złodzieju! Na to ci talent dano! Cóżżeś robił?

— Kursy, egzaminy — bąknął chłopak.

— Także luby kwiateczek cywilizacji! — burknął Łukasz pogardliwie. — Pogoń za dobrobytem, żeby potem zatyć w egoizmie i zabić się moralnie! Cóż jeszcze? Kochałeś?

Józef się tylko milcząco uśmiechnął.

— No, i szczęśliwie, jak dotąd, uważam. Przysięgnę, że myślisz, jakobyś już miał mego stradivariusa. A ja ci powiem, że jesteś w przededniu stracenia go bez apelacji.

— Bo? — spytał Józef tonem wyższości.

— Bo kto dopiero kocha nieszczęśliwie, ten może zyskać jeszcze wzajemność, więc rozczarowanie się odwlecze. Kto zaś wzajemność już zyskał, ten może ją już tylko stracić. Rozczarowanie stoi mu u progu.

— A jeżeli kochanie zostanie?

— O tym możesz sobie zagrać i zaśpiewać, ale tego nie przeżyjesz.

— Ej, mistrzu! — zaśmiał się Józef. — Musiała jakaś zwodnica tęgo ciebie udęczyć, zanim doszedłeś do tego wyniku.

— Może być... Zanim nie dojrzałem w miłości tego, co nigdy nie zdradza: harmonii barw i tonów. Odtąd nie byłem już zdradzony, mając do czynienia tylko z Bogiem.

Weszli do miasta i Łukasz kroku przyspieszył.

— Wstąpże po swe manatki! Ja tutaj na ciebie zaczekam, przed katedrą. Piękna jest.

Józef zostawił go zapatrzonego w gotycki fronton świątyni, sam wpadł do domu, niezbędne do drogi rzeczy wrzucił do tornistra, zmienił ubranie, wziął skrzypce, filcowy kapelusz, pieniądze do pugilaresu, i oznajmiwszy Ludce swą parotygodniową nieobecność, wesół, gwizdząc, ruszył. Łukasza zastał na tym samym miejscu.

— Wstąpmy na kufel piwa! — rzekł.

— Jak chcesz. Ja nie piję tej ohydy, ale jeść mi się chce i Druh głodny. Spieszmy jednakże, bo noce urocze w górach a tutaj u ludzi cuchnie i ciasno! No!

Wstąpili do restauracji pierwszej lepszej, posilili się naprędce i ruszyli w drogę swobodną, pod gwiazdy — na wolę fantazji.

\* *V a b e n e !* (wł.) — Bardzo dobrze!

Po kilku dniach tej podróży Józef się poczuł jakby wykąpany w czarodziejskim źródle artyzmu, młodości, wielkiej siły.

Wielkie rzeczy stały mu się błahymi, małości często olbrzymią potęgą, ludzie — cieniami, martwe lub idealne przedmioty — życia treścią.

Żyli jak ptaki, wstając o świcie, dzień cały pławiąc się w słońcu i zieleni, zasypiając, gdzie ich noc zastała: pod drzewem w lesie, w zajeździe lub wieśniaczej chacie, i szli dalej mijając gościńce, wsie i miasta — zawsze weseli, śmiejący się, pełni dziecinnej prawie szczeroty i swawoli.

Grywali sobie czasem sami w samotni górskiej, grywali i ludziom, dla których nie byli czym innym, tylko wędrownymi grajkami, w przydrożnej oberży, na noclegu w chacie. Ze śmiechem porozumienia grywali wtedy skoczne, proste melodie pochwymane po drodze z ust ludu, ze śpiewów polnych, i w takt ich skrzypek skakała młodzież, a dziewczęta zalotnie ku grajkom zerkały.

Józefowi się zdawało, że ta wycieczka była też ze śpiewki lub bajki wysnutą, tak fantastycznie się snuła, tak osobliwie, tak niepowszednio. Byłaż to uciecha!

Za grę tańczący i słuchacze rzucali im srebrniki, wesole podziękowanie, poczęstunek.

Na pieniądze oburzył się zrazu Reni, ale go Łukasz powstrzymał. Srebrniki do kieszeni rzucał i dziękował, uchylając kapelusza.

Oddawał je potem po drodze spotykanym ubogim, rzucał dzieciom obdartym i mawiał:

— Póki nie będziesz się czuł najnędzniejszym, poty daru nie zatrzymuj sobie, ale go też nie odrzucaj, bo masz komu oddać.

— A ty, mistrzu, z czego żyjesz? — zagadnął go Józef.

— Ach, ja! — Ruszył ramionami. — Gdy zostaję bez grosza, idę do stolicy, gdzie mnie znają dyrektorowie tacy, co ludziom za pieniądze sprzedają melodię. Oddaję się im w niewolę na jakiś czas, bo mnie zawsze radzi mieć. Cierpię i męczę się, i słucham ich woli, dla swobody, którą sobie tym kupię. Jak widzisz, mało mi potrzeba, mało więc cierpię!

Często, gdy wypoczywali w południe, w cieniu wyciągnięci, prawili towarzyszowi swe oryginalne, dziwaczne poglądy. Słuchając go, chłopak oczy przymykał, zapadał w marzenia, w półsen — i zdawało mu się, że świat o tysiące lat się cofnął, że wróciły czasy pierwotnej prostoty, życia biblijnego, bez ustroju społeczeństwa.

Roił baśnie, tak oderwany w tej drodze od zwykłego toru, że mu to wszystko zdawało się możliwe, ręką uchwytnie, wzrokiem objęte!

Oddalali się coraz więcej od rodzinnego miasta, nie pilnując się prostego kierunku, idąc za ładnym widokiem, do zajrzanego w dali smukłego kościółka, za piosnką spotkanego przechodnia, czasem za ładną, mijającą ich dziewczyną lub za pustym śmiechem gromadki jak oni młodych ludzi.

W ten sposób minęło im niepostrzeżenie trzy tygodnie, upłynęło drogi wiele.

Aż jednego dnia Józef zamilkł nagle, osowiał, stał się podrażnionym i niespokojnym.

— Łukaszu — rzekł, — już wracać mi trzeba.

— Po co? Znudziłeś się?

— Nie, ale... moja dziewczyna mnie czeka!

— Bo to prawda! Albo też dziewcząt ci zabraknie! Po drodze się pocieszysz. Jedna, to klęska.

— Jedna, to niebo na ziemi! Ja zresztą żadnej za nią nie widzę. W duszę mi wrosła.

— To źle, bo będzie ci ciężko te korzenie wyrwać! Słuchaj, nie wracaj! Pójdziemy dalej na południe! Tobie i mnie między ludźmi nie żyć. Zadepcą!

Józef głową potrząsnął.

Zamilkł jednak aż do wieczora i starał się być jak pierwej.

Ale go już tęsknota ogarnęła, jakiś niepokój, rozstrój, nuda.

Na noclegu już grać nie zechciał ni jeść — noc mu zeszła bezsennie.

Pepi, Pepi! — wołało w nim serce coraz natarczywiej. O południu, gdy usiedli do spoczynku, odezwał się:

— Stąd mi zawrócić trzeba. Odprowadzisz mnie?

— Ani myślę! — burknął Łukasz.

— Czemu?

— Bom nikogo jeszcze do niewoli nie odprowadzał, tym bardziej ciebie nie chcę. Tobie trzeba za twym powołaniem i sztuką iść, a nie wracać. Na rzeź idziesz... wspomnisz moje słowo... zarzną ciebie trzeźwi... ty zawsze wśród nich będziesz nędzny... boś głupi do zwykłego toru. Zabrałem cię myśląc, że razem polecim do końca; ale tobie już, jak przyswojonej dzikiej gęsi, podcięli lotki, abyś z podwórka nie zbiegł. No, to wracaj na podwórko... do tej, co cię oswoiła, i czekaj, aż ci do reszty połamie skrzydła, oskubie i upiecze dla następnego wybrańca na pieczyste. Idź!

Odwrócił się do niego plecami, wyciągnął na trawie i zdawał się zasypiać.

— Mistrzu! — ozwał się Józef. — A jednak to ona podyktowała mi te melodie, które gram, i przez nią świat mi piękny i jam szczęśliwy! Ona mi w duszy jest harmonią i spokojem... nie możesz jej tedy uragać. Nie nam rozstawać się w niezgodzie. Wrócimy razem.

— Uragam, bom żył... a ty jeszcze nie! — rzekł dziwak. — Źle jest, gdy człowiek zaprzeda duszę drugiemu. To dla duszy zła niewola... niegodna jej boskości. Dlatego znikczemnieć musi. Ale, byś żalu do mnie nie miał, przeprowadzę cię drogi połowę. Z tobą do końca nie wrócę!

Więcej o tym mowy nie było, tylko precz poszła swoboda i wesołość. Stała między nimi kwestia, która wniosła z obu stron przymus.

Łukasz patrzył z niechęcią na widoczne rozjaśnienie towarzysza w miarę ubiegłej drogi powrotnej; Józef czuł żal do niego, że nie wierzył w jego szczęśliwość.

Nareszcie pewnego wieczora, na noclegu w oberży, zagrali ostatni raz — i podczas gdy Reni zasnął mocno, zmęczony całodzienną wędrówką, Łukasz wstał cicho, tornister zapiął, wziął kij i wysunął się z izby cichaczem.

Doliny srebrne były od miesiąca — zaczął w nie schodzić, gwizdząc z cicha. Długo na drodze widać było jego głowę odkrytą i cień, co za nim szedł, aż na załomie zginął, rozplynał się w nocy, przepadł.

Józef nazajutrz ze ściśniętym sercem sam poszedł z niewyraźnym uczuciem, że rozstali się na zawsze tym razem, i z żalem, że ferie te już przeminęły jak sen, jak piosnka, jak marzenie. Odechciało mu się nawet pieszej wędrówki samotnej. Na gościniec się wydostał i resztę drogi odbył na wózku, w miarę zbliżania się do miasta coraz niecierpliwszy.

Aż wreszcie ujrzał z góry panoramę miasteczka: czerwone dachy i farę, uniwersytetu ciemny gmach i rzekę, ogrody przedmieścia i młyn Mariców, wszystko oblane czerwonymi blaskami zachodu. Pora była ta sama jak wtedy, gdy przed miesiącem Łukasza spotkał w miejscu tym samym; wózek odprawił i ruszył piechotą. Okurzony był, słońcem i wichrem opalony, z dobrą wiarą i ufnością w sercu szybko schodził w dolinę.

W miarę jednak zbliżania dziwna nieśmiałość go ogarnęła, jakby lęk przybycia nie w porę.

Po drodze leżał dom radczyni i oto na progu ona stała, i z dała go ujrzawszy, zaczęła rękami machać jak majak telegraficzny.

— Witam, witam! Jak to dobrze, że już wracasz! Nie wiedziałam, gdzie ciebie szukać.

— Albo co? Potrzebny jestem? — odparł wchodząc za nią do domu.

— Naturalnie. Profesorowa chciała już jutro twoje rzeczy do mnie odesłać. Ciasno tam.

— Moje rzeczy? Dlaczego?

— Ano, jak twój kwartał się skończył, a nie była pewną, że zostaniesz, wzięła na stację kuzyna, który na pierwszy kurs się zapisał, i drugiego medyka. Tydzień temu sprowadzili się i zawadzają im twoje rzeczy.

Józef milczał, słuchając jakby nieznanej mowy. W głowie mu się przewracało. Radczyni trzepała dalej:

— Tymczasem dzisiaj, wychodząc spod „Snopa”, spotkałam Maltasa i opowiedziałam twój kłopot. Ten złoty człowiek kocha cię jak ojciec, zaraz się tym zajął. Posłał konie i lokaja, i zabrał te rzeczy do siebie. Ma pokój oddzielny i kazał go dla ciebie urządzić. Więc prosto tam idź! Będziesz jak w rodzinie.

A tak, w rodzinie! Michał mówił to samo, wprowadzając go do profesorowej. Nie zbraknie mu rodzin widocznie.

Wciąż stał i słuchał, czując w piersi to gorąco, to chłód, przerażony, oniemiały i nagłym strachem zdjęty, by się ze swoim nieszczęściem nie zdradzić. Już je czuł, chociaż dotąd jasno nie pojmował.

— Ano, za długom bawił widocznie! — wymówił wreszcie, zabierając się do odwrotu. — Dziękuję kuzynce za opiekę.

Nacisnął kapelusz na oczy i wyszedł.

Czuł w ustach jakby smak atramentu i ból szczęk, przy tym drżał wewnątrz, zresztą wyglądał jak zwykle, bez ustanku powtarzając w myśli: Cicho, cicho, milczcie, nie zdradzaj się!

I potrafił zapanować nad sobą. Jeszcze coś niecoś miał nadziei, że to nieporozumienie, przypadkowy zbieg okoliczności, ale nie miał już wiary ani odwagi iść wprost na stare mieszkanie po wyjaśnienie, i po chwili wahania wszedł do domu Maltasa.

W bramie stróż go poznał i powitał uprzejmie. — Ja mam klucz od mieszkania! — zawołał. — Wszystko pan tam znajdzie. Zaraz wskażę.

Wpadł do swojej izdebki i poprowadził nowego lokatora na pierwsze piętro.

Pokój miał osobne wejście, był umeblowany porządnie, z widokiem na ulicę. Łączył się z mieszkaniem właściciela, ale drzwi te były zabite i zawieszono dywanem.

Znalazł chłopak manatki swoje ułożone w szafie, łóżko czysto zasłane, na stole bukiet kwiatów, na ścianach kilka obrazków.

Tchnęło to świeżością i troskliwym staraniem. Stróżowa przyniosła mu stągiew świeżej wody, cerber pomógł rozebrać się, oboje wysilali się w grzecznościach.

Chłopak, rozstrojony, mało zwracał na wszystko uwagi. Przebrał się, oczyścił z kurzu i poszedł wprost do Maltasa.

Coraz bardziej utrwał się w przekonaniu, że z muchy zrobił wołu i że dziś jeszcze, za godzinę, odzyska swoją Pepi, taką, jaką pożegnał.

W gabinecie Maltas przyjął go z otwartymi ramionami.

— Siadajże, masz cygaro; opowiadaj, gdzieś bywałeś. Amatorska wycieczka. Zazdroszczę ci! My ledwie mogliśmy na dwa tygodnie wyrwać się do morza. Wróciliśmy onegdaj w sam czas, aby twe manatki uratować od poniewierki. Cóż, wygodnie ci Liza urządziła? Ja jeszcze nie miałem czasu tam zajrzeć. Byłem zajęty tą licytacją domu Bemsza. Musiałem nabyć! Ładna posesja.

Mówił jednym tchem, nie dając Józefowi przyjść do słowa. Nareszcie ten przerwał przemocą:

— Pan dobrodziej taki łaskaw. Nie wiem tylko, czy nie będzie to złym interesem mieć lokatora studenta. Kasta to sławna z pustej kieszeni i nieakuratności.

— Nie troszcz się ani odrobiny o to! Byle ci było wygodnie, na warunki zgodzimy się bez sporu. Mój chłopcze, przywykłem cię uważać za syna.

— Na poprzednim mieszkaniu płaciłem trzysta wraz z utrzymaniem. Kwartalnie z góry — rzekł Józef tonem urzędowym.

— Za dużo! Profesorowa umie prowadzić interesa. Ale musiały być wygody! No, ja ci dam to samo, o ile mogę, i wezmę pięćdziesiąt mniej. Co do utrzymania, porozumiesz się z

moją gospodynią dzisiaj przy herbacie, bo cię nie uwolnię. Rozweselisz nas! Bez protestu, bez wymówek! Zaczynasz z punktu używalność swego kontraktu. Chodźmy!

Józef zawsze uległy prośbie, z natury nie umiejący się oprzeć naleganiom, dał się zaprowadzić do jadalni. Z daleka zamienili z panną Maltas sztywny ukłon i zapewne znudziliby się oboje z sobą, gdyby nie stary. Ten gadał i jadł za trzech, sypał jak z rękawa anegdoty, plotki, gwałtem wciągał Józefa do rozmowy, droczył się wnuczką. Ta, zawsze milcząca i zalękniona, ukryła się za herbatnymi przyborami, odpowiadała półgębkiem, śmiała się z przymusem.

Józef jak automat się poruszał i rozmawiał, duszą gdzie indziej, nie mogąc się pozbyć drżenia.

— No — zagaił wreszcie Maltas — rozmówcie się o tym utrzymaniu, wikcie i opierunku. To twój wydział, Liziu.

— Jak panu Reni będzie dogodniej! — odparła z cicha. Józef pierwszy raz spojrział na nią. Czy było coś bardziej apatycznego i niewyraźnego, jak ta dziewczyna?

— Nie będę w niczym utrudzał pani. Zastosuję się do zwyczajów domowych — rzekł z ukłonem.

— Jestem pewny, że zgoda nasza nigdy zakłóconą nie będzie — zawołał Maltas z dobrodusznym uśmiechem. — I będzie ci wygodnie, na to licz z pewnością.

— Będę się starała, aby panu na niczym nie zbywało — odszepnęła panna z westchnieniem.

Zanim się obejrzał, był już zagarniętym, otoczonym, spętanym. I to w domu, który z dobrej woli wybrałby chyba w ostateczności, z ludźmi, których instynktownie się bał i unikał.

Oplatali go pomimo woli — a on, łagodny, delikatny, roztargniony, dał się prowadzić.

Gdy się nareszcie pożegnał, zbyt późno było iść z wizytą do profesorowej; ale pomimo zmęczenia spać nie chciał, więc poszedł na miasto.

Cała suma tęsknoty, kochania, wzruszeń rozkosznych opadła go ze zdwojoną siłą wśród pustej, cichej nocy letniej, tak blisko tej nad wszystko ukochanej.

Bezwiednie krok zaniósł go na rynek, a potem w boczną uliczkę, gdzie już i latarnie się nie paliły, tylko księżyc srebrny oświecał okienka facjatek, parkany, drzewa ogródków.

Do domu, który jego szczęście zawierał, doszedł i z cicha gwizdząc piosenkę, dobrze Pepi znajomą, podniósł oczy zakochane do jej okienka.

Ciemno było, spała już. Uśmiechnął się i odszedł bardzo uspokojony.

Jeśli żyje on i ona, co złego trafić się mogło.

Potem odszedł i cisza zaległa uliczkę.

Był już na rynku, gdy zza parkanu, z altany, wyrwał się śmiech nerwowy, urwany i stłumione szepty. Był już w swoim mieszkaniu, gdy okienko Pepi zajaśniało światłem, a drogą, którą on był przyszedł, kroczył hrabia Iwo, z rękami w kieszeniach, czapką zsuniętą na tył głowy, i także gwizdał. Na rynku zawrócił na lewo i wstąpił do kolegi, gdzie zwykle grywano w karty do rana.

Nazajutrz Józef wesół i dobrej myśli ruszył do ukochanej. Na rogu ulicy spotkał ją samą. Wyświeżona, elegancka, szła prędko — nie spostrzegła go, zajęta wystawami sklepów.

Dogonił i pozdrowił uśmiechem.

— Witam panią!

— A, to pan! Dawno z powrotem? Zdaje mi się, że dłuższy czas nie spotykałam nigdzie!

Mówiła swobodnie, lekko, pobieżnie podając rękę, którą natychmiast znowu cofnęła.

— Wczoraj wróciłem! — odparł czując okropny strach jakiś w duszy.

— Dobrze się pan bawił? Ja doskonale: użyłam wsi, jeździłam konno, tańczono nawet na trawie. Niespodzianie zebrało się duże i wesołe towarzystwo; nie pamiętam tak miłych wakacyj. Pan już do pracy wrócił? Studenci już się zbierają. Szkoda lata! Nie spostrzegłam, jak minęło.

— Mnie wydało się bardzo długie. Miesiąc byłem nieobecny! — rzekł idąc obok ze zwieszoną głową, instynktownie czując, że coś mu się dzieje bardzo złego i że iść nie powinien.

— Miesiąc! No, proszę! Mnie się zdaje, że to wczoraj był maj!

— A mnie się zdaje, że to już grudzień! — odparł cicho.

— I pan wrócił poetą. Dużo pan wierszy napisał? Dużo grał?

On już nie umiał odpowiedzieć. Wzrok wlepił w ziemię i miał ochotę głową bić o kamień, żeby coś innego czuć niż ten lęk okropny.

— Pani na spacer idzie? — zagadnął wreszcie.

— Tak do rzeki. Ma się tam nas zebrać kilkoro i popłynąć łódką. Niech się pan nie trudzi mnie odprowadzać. W dzień nie lękam się złoczyńców. Pan pewnie zajęty gdzie indziej! Otóż i przystań nasza, czekają na mnie! *Adieu!*

Skinęła mu głową i przyspieszyła kroku, uśmiechnięta, machając parasolką w stronę wybrzeża, gdzie gromadka panien i panów rozmawiała wesoło.

Józef podniósł oczy — poznał Iwona, Gustawa, Adama i dwie czy trzy znajome panny.

Pepi dobiegła do nich, zaczęły się witania, okrzyki, coś im mówiła, zapewne tłumacząc się z opóźnienia, bo nagle zwrócili się i spojrzeli ku niemu; zdawało mu się, że drwiąco się uśmiechają, że czynią uwagi.

Wszystka krew zbiegła mu do twarzy, odwrócił się i jał uciekać ulicami, na chybił trafił, byle go nikt nie widział.

Był wieczór, gdy przytomność odzyskał i aż się przeraził. Leżał na trawie nad zatoką, gdzie zimą łyżwował; paliły go oczy, dusiło w gardle, cały był jak w gorączce, czerwona mgła zasnęła mu wzrok. Podniósł się, rozejrzał, chwilę nieruchomy posiedział i znowu do traw przypadł, łkając jak dziecko.

Tak go noc zaszła. Wstał tedy nagle, wyprostował się i zgarbiony, zbrzydły, zmały, zabrał się z powrotem. Zostawił za sobą wszystko, co dobre było, delikatne, silne.

Czuł, że to nie on idzie, lecz ktoś inny, którego nie znał, którego nie kochał, nie ceniał. W parę dni potem, bardzo spokojny, zjawił się „Pod Snopem.” Zabawił w salonie pół godziny, podziękował gospodyni za wygodę i lokal, opowiadał swobodnie, jak się obecnie urządził, nawet o podróży swojej mówił z humorem, rozpytywał o miejscowe sprawy.

Potem pożegnawszy profesorową, wycofał się do sieni i zawołał służącą.

— Poproś panny Józefy o chwilę rozmowy. Mam interes — rzekł.

Po chwili Pepi wyszła. Spojrzała nań i cofnęła się. Był blady jak ściana i dzwoniły mu zęby; złękła się go.

— Przepraszam panią! — rzekł. — Mógłbym powiedzieć słów kilka?

— I owszem, słucham pana — odparła, lekko ruszając ramionami.

— Tutaj? — spytał.

— A czemu nie! Czy to długi interes? W takim razie możemy przejść do ogródka.

Poszła naprzód, coś nucąc skocznie.

Weszła do altanki i zaraz się zajęła obłamywaniem suchych gałązek, najzupełniej obojętna.

— Więc? — zagadnęła, gdy milczał.

— Czym ja czym pani zawinił?

— Mnie! Pan! Kiedy? Nie, w niczym!

— Więc za co mnie pani karze?

— Ja! Co panu się roi? Bardzo lubię pana.

— Lubi pani? Odkądże to?

— No, od początku!

— Przepraszam, przed miesiącem nazywała to pani inaczej. Więc nie kocha mnie już pani, znać i pamiętać nie chce? Dlaczego?

— Ach, Boże! Pan to bierze aż tak tragicznie. Nie wiedziałam, dlaczego kochałam pana; teraz nie wiem, dlaczego Kocham drugiego.

— Ach, więc to taka racja! Naturalnie, sprawę przegrałam. Dobrze, iż pani szczerza! Nie rozumie pani doniosłości faktu, więc się nie wstydzę. I to Iwon mi panią odebrał! Wiem: już mnie ludzie poinformowali. On!...

Urwał i uśmiechnął się gorzko.

Dużo on, dużo pozbył się złud przez te chwile ciężkie, ciężko za swą ofiarność i za ofiarę odpokutował. Teraz nie wiadomo, co mu bardziej gorzkie było: jej strata czy postępek przyjaciela, któremu tylekroć służył, a który dla swej fantazji łamał mu życie. Złamanie to było. Czuł, że z tego rozbicia już się nie podniesie!

— Więc skończone między nami! — ozwał się po chwili. — Wykreślonym z pani serca i życia. Ja bym odejść powinien; ale przez pamięć na to, co minęło, proszę się jeszcze chwilę zastanowić. Jam pani życie dawał, duszę i jedno wielkie kochanie. Nikt pani tyle nie da, Iwo także. Wstyd prosić... ale człowiek, na śmierć skazany, wstyd odrzuca. Niech pani łaskę mi uczyni, zostawi trochę nadziei. Może to nieszczęście minie, może pani do mnie powróci. Miesiąc spokojnego namysłu. Niech przez ten miesiąc ni jego nie będzie, ni mnie. Pani nas oceni... wybierze w spokoju.

Drżał mu głos i oczy błagały żałośnie.

Pepi zatrzymała się, popatrzyła nań — i ją żal chwilowy zdjął.

— Ja bardzo lubię pana — powtórzyła. — Sama nie wiem, którego wolę. Tak długo pana nie było... a on... ej... to mnie trapi. Bo pan hula strasznie!

— Ja, odkąd panią poznałem, nie hulałem nigdy. Znadto byłem szczęśliwy. O Pepi! Zlituj się nade mną! Śmierć mi bez ciebie!

— Nie mów pan tak! Fe, ja nie chcę! Dobrze daj mi zastanowić się, oprzytomnieć.

— Miesiąc — szepnęła. — Nie będę ci dokuczał, a ty nie słuchaj Iwona. Potem, do kogo ci serce przemówi, pójdiesz. Tak nagle nie odrzucaj mnie. Jam przecie twój... jak te oczy twoje. Toć o życie moje idzie. Nie łam go!

Oczy Pepi zaszczyły łzami.

— Gdy pan mówi, wierzę; a potem znowu inni mi inaczej mówią.

— Więc nie słuchać ich... przez ten jeden miesiąc... — błagał, biorąc jej rękę i cisnąc do piersi.

— Dobrze! — odparła z przekonaniem.

A jednak smutek i chłód już między nimi pozostał. On już wiary nie miał, ona wspominała inne, świeższe wrażenia. Słów im brakło, szczerze wyjaśnienie było niemożliwym.

Odszedł, nie mogąc zagłuszyć cichego a upartego głosu, który mu w duszy szeptał; nie ma, nie ma, nie ma! Był to jakby szmer drobnego robaczka, co zdrowe drzewo toczy na próchno. Apatycznie, niedbale wziął się do pracy. Nic go nie bawiło, ani zajmowało — nic też nie martwiło. Czuł, że śmierć idzie, nieodwołalna. I przyszła. Po tygodniu już radczyni go spotkała, jak zwykle, z nowiną.

— Wiesz, wczoraj Iwo był „Pod Snopem” i gdzieś tak zginęli z Pepi, że cały wieczór ich nie widziałam. Wrócili o dziesiątej... Pepi była tak wesoła i zabawna jak rzadko.

Są ludzie stworzeni dla robienia drugim moralnych operacji. Taką rolę względem Józefa zawsze odgrywała radczyni.

Chłopak odczuł jakby uderzenie obuchem w piersi. Zamarło w nim życie na sekundę.

— Ano, Kochają się! — zaśmiał się szczególnie. Ona nie zrozumiała nic i poszła dalej zbierać ploteczki. On już nawet nie szukał samotności, żeby się wypłakać. Z suchym okiem i zwykłym wyrazem spełniał swe obowiązki, załatwił parę interesów, wrócił o zwykłej porze do domu. Wieczorem poszedł sam na zwiady. Parkan, dotykający altanki w ogródku profesorskiej, był wysoki i gładki. Chłopak do niego się przytulił i czekał, w cieniu ukryty. I doczekał się.



Skrzypnęły drzwi domu. Na ścieżce ukazały się dwie postaci. Rozmawiali swobodnie. Iwo tonem pewnego siebie pana, Pepi z zapalem.

Weszli do altanki. Rozmowa ciągnęła się czas jakiś, potem coraz się rwała.

Nerwowy śmiech Pepi, zgłuszony szept mężczyzny. Józef do szczeliny oko przyłożył. Oddech mu się urwał na sekundę i krew uderzyła do twarzy — odskoczył i uciekł. Dosyć miał na całe życie.

Za powrotem do domu w zanadrze sięgnął, łańcuszek zerwał i pierścionek na stół cisnął. Potem go zawinął z kilku kartkami, które od niej otrzymał, i noc całą przesiedział bezsenny, nieruchomy, niemy — zabity.

Nazajutrz pakiecik przez stróża odesłał i wszystko się skończyło.

Po trzech dniach głód odczuł i zmęczenie fizyczne. Zjadł obiad i kamiennym snem usnął. Potem już niczym od innych się nie różnił. Rozmawiał, pracował, poruszał się zupełnie swobodnie. Odwiedzał kolegów, rozprawiał o polityce z Maltasem, moralizował Piotrusia, grał w szachy z panną Lizą.

Tylko już nie potrafił zaśmiać się serdecznie ani wykrzesać w sobie odrobinę zajęcia i zadowolenia z tego, co dawniej czyniło mu uciechę.

Ani chciał czego, ani nie chciał. Wszystko mu było obojętnym. I tak zrozumiał, że choć młody był i silny, i zdrowy, i cały, i choć życie leżało jeszcze przed nim, on przez jedną sekundę postradał największy skarb i siłę — swą młodość serdeczną i duchową. I wtedy, raz ostatni, w samotności, w ciszy — zapłakał gorzko!

Samotność miał zupełną. Maltasowie byli uprzejmi, ale nienatrętni. Gdy przychodził na obiad, byli mu nadzwyczaj radzi; ale gdy nie zjawił się o zwykłej porze, otrzymywał jedzenie w mieszkaniu.

Wieczory też samotnie spędzał. Przez dzień cały zmęczony udawaniem swobody, z rozkoszą kładł maskę na stronę, gdy się znalazł w swym cichym pokoju. Wówczas siadywał godzinami bez ruchu, z oczami utkwionymi w próżnię, zmęczony i słaby, jak po śmiertelnej chorobie.

Czasami długo w noc tak pozostawał, bez woli i życia, i wyniszczony pamięcią straconego szczęścia, zasypiał na godzin parę.

Pepi nie widział przez parę miesięcy — unikał spotkania, z Iwonem nie zamienili słowa.

Kursy się rozpoczęły; pracował jak maszyna, czując, że nic nie korzysta; ani razu nie był w knajpie wieczorem, unikał nawet Michała.

Aż raz z tej martwoty otrząsnęły go złe, buntownicze myśli. Pewnego wieczora spotkał na ulicy dziewczynę wesołą, która go brutalnie zaczepiła.

Usunął się, chciał minąć — i stanął. Naraz roześmiał się. Ha, to była miłość, co nie zdradza; — miłość taką, jakiej warta kobieta, i on mieć może.

Roześmiał się raz drugi, szyderczo, cynicznie i odpowiedział na zaczepkę.

Od tego dnia przestał spędzać u siebie wieczory, ocucił się i obudził, odwiedzał knajpę — bawił się jak drudzy, depcąc ostatnie ideały, szydząc i bawiąc się swą własną poniewierką.

Czuł z każdym dniem, jak tężał, dojrzewał, zapominał dawnych zasad i upodobań.

Sprawiało mu to pewien rodzaj potwornej dumy; przechwalał się tym, pewny, że teraz już nikt do wnętrza jego nie przejrzy, pustki i chłodu duszy nie odgadnie.

Wtedy to, pewnego dnia, w niedzielę, wybrali się z kolegą łódką w dół rzeki.

Dwie przyjaciółki, strojne, śmiejące, swawolne, zabrali ze sobą. Wesoła to i hałaśliwa była wycieczka. Dopłynęli do pierwszej oberży, tam spędzili parę godzin na spacerach i pikniku w trawie, i po południu w humorach podnieconych zabrali się do odwrotu.

Mężczyźni wzięli się do wioseł, damy rozsiadły się wygodnie, każda przy swym wybranym, i urozmaicały drogę śpiewem operetkowym i żartami.

Co chwila wybuchały śmiechy i okrzyki.

Nagle odezwał się kolega od steru:

— Józef, tam przed nami jakieś filistry płyną. Oprzyj się dobrze... wyprzedzimy ich. Zdaje mi się, że ktoś znajomy!

Józef silniej wziął wiosła w garści i nie na żarty machać począł.

Damy zachwycąły się jego siłą — to go podniecało.

— Aha, to Iwo kogoś wozi! — zaśmiał się sternik. — Ale koszlawo idzie!

Józef się obejrzał i nagle żarem rumieńca twarz mu się okryła.

— Swoją Pepi spod „Snopa” obwozi! — zaśmiał się cynicznie, sam dziwiąc się swej mocy.

— I jakąś drugą jeszcze! — rzekł kolega.

— Cóż chcesz? Pepi jest skromna panienska. Wzięła sobie uprzejmą Ludkę... na godzinę!

— To ich puśćmy przodem!

— Po co? Zgonimy i miniem! Niech się Iwo trochę zasapie! Dalej!

Pochylił się nad wiosłami. Łódka pomknęła jak ptak. Chłopiec czuł nieznośny niepokój i bicie serca. Wściekły był na siebie za to. Zaczął śpiewać kuplety z operetki.

Dziewczęta wtórowały mu, śmiejąc się z dwuznacznego tekstu. Kolega się śmiał także.

— Iwo nas puścić nie chce! Oho, jak się stara! — zauważył po chwili.

Józef zęby ścisnął i machał wiosłami. I oto zrównali się z łódką Iwona i chwilę płynęli obok siebie.

Józef uchylił czapki w milczeniu.

Pepi spojrzała nań, potem na resztę towarzystwa i trochę pobladła, odpowiadając na ukłon nieznacznym skinieniem głowy. I rozjechali się. Teraz Józef miał ją przed oczami i patrzył, uśmiechając się drwiąco.

A serce biło mu na trwogę i dojmujący ból, zda się, skręcał duszę.

Czyż już nigdy niczym nie zabije tego kochania? Pobladłymi wargami śpiewać zaczął:

To w naszej działo się ustroni —  
Na drzewo chłopiec wdrapał się...

— No, jazda, Józef! Cóżś zmiękł? Ruszaj się! — upomniał towarzysz.

Pomknęli dalej i Reni rzekł:

— Szykowna dziewczyna, ta spod „Snopa!” Kapitalnie zbudowana! Przyjemna być musi!

— Gadasz! Pewnie wiesz! — zaśmiał się tamten.

— Ja? Tam tłok taki, że trudno kolei się doczekać.

— Przecie mieszkałeś u nich!

— To i cóż! Zastałem kogoś i zostawiłem kogoś.

Lżej mu się zrobiło w sercu potem. Odetchnął i pot z czoła otarł. Niedoczekanie, by to kochanie zostało! Tak je sponiewiera, jak siebie sponiewierał!

Podniósł oczy. W błękitnej mgłę zstępującego wieczora łódka Iwona była już tylko niewyraźnym cieniem. Józef dalej śpiewał:

I rzuca jabłko wprost z jabłoni —  
W fartuszek dziewczę chwyta je...

Ogólna, hałaśliwa wesołość ogarnęła znowu towarzystwo.

## VI

Piotruś odwiedzał brata w każde święto, przynosząc wieści z młyna. Bywały monotonne, a z nich wywnioskował Józef, że chłopca lepiej tam traktują niż jego poprzednio, i że zżył się z pracą, i tymczasem o dezercji nie myślał. Przychodził tylko z płótnem w kieszeni, a żądał zabawy. Żywił się więc z funduszków brata, póki ten statkował; potem, gdy Józef sam zaczął tracić, hulać, a nie starał się o korepetycje, Piotruś zaciągnął małe długi.

Ludzie dawali mu jako spadkobiercy Mariców, a chłopak nigdy nie rachował. Znalazły się więc karty, swawole, nocne włóczęgi, kompanie więcej niż niekorzystne.

Z tego powodu Piotruś w świat się nie wydzierał.

Józef parę razy zrobił mu uwagę, że źle się sprawnia; ale na mentora się nie zdał i na błędy ludzkie miał nieograniczone pobłażanie; więc wreszcie patrzył na swawolę brata z obojętnością, którą darzył każdego i wszystko.

Rad był, że chłopak ma do niego zaufanie i serce, i dalej o tym nie myślał.

Jesień przyszła: chłody, deszcze, niebo ołowiane. Skończyły się wycieczki i zabawy, wieczory stawały się dłuższe.

Pewnej niedzieli zdziwił się Józef, że go brat nie odwiedził. Nie wiedział, co ze swym dniem robić, Zwykle wałęsali się razem.

Poszedł tedy do Maltasów.

Dawniej, gdy szczęśliwy był, życzliwość starego, uczucie panny były mu wstrętne; teraz, z pustym sercem i duszą chłodną, rad tam bywał, czując niejako ulgę w przyjemności, jaką im sprawiał.

Człowiek zły, gdy go spotka zawód, mści się całe życie na innych; człowiek dobry, przez pamięć własnego bólu, bywa dla innych delikatnym — a Józef złym nie był.

Przy tym błada panna Maltas była tak cicha, łagodna, tak rada, gdy mu usłużyć mogła, tak delikatna! Powoli nawykła do niej, do jej brzydoty, chudości, grubego tonu mowy; a ona ośmieliła się nieco, pozwalała sobie patrzeć na niego z zachwytem, podawać mu rękę zimną jak lód, uśmiechać się radośnie na jego widok.

Nieznacznie tworzyła się między nimi zażyłość i Józef uważał ją prawie jak krewną.

Poszedł tedy w ową niedzielę na obiad i pozostał na gawędce.

Maltas zdrzemnął po kawie, a młodzi rozmawiali o rzeczach potocznych, podtrzymując ogień na kominku.

Bezwiednie, w miarę zstępujących ciemności, zaczęli mówić o sobie, opowiadając wzajemnie życie swoje.

Dowiedział się, że straciła w dzieciństwie oboje rodziców jednego dnia, w czasie cholery; że hodowała się wśród interesów, cyfr — bez towarzystwa. Potem była lat parę w klasztorze na pensji, a gdy wróciła, dziad jej zdał zarząd domu, rachunki — wiele roboty.

Nie miała więc jakoby nigdy swobody i młodości, nie miała też przyjaciółek ani krewnych. Wiedziała, że jest brzydka i bogata, więc postanowiła nigdy za mąż nie wychodzić.

Mówiła to spokojnie i stanowczo, jak i resztę. Roześmiał się.

— Miała pani zapewne częste propozycje?

— Nie — odparła szczerze — dwie tylko, które dziadek załatwił. Nawet mi się osobiście nie oświadczała.

— A gdy przyjdzie ten, którego pani kocha?

— Nie przyjdzie! — zaprzeczyła stanowczo.

— No, a gdyby? — śmiał się dalej.

— Poszłabym za nim z przeświadczeniem, że będę bardzo nieszczęśliwą — rzekła cicho.

Józef wstał i podrzucił parę szczap na ogień.

— Niech mi teraz pan co o sobie opowie — poprosiła nieśmiało.

Wówczas on mówić zaczął. Ojciec był utopistą i zbankrutował wskutek niepraktyczności. Nad życie żonę kochał i, straciwszy ją nagle — umarła z zapalenia płuc, gdy on miał pięć lat, a Piotruś trzy — wpadł w melancholię i w dwa lata umarł.

Jakiś czas oni dwaj wychowywali się u krewnych matki — wielkich i możnych panów — na paniczów rosnąc, zaniedbani umysłowo i moralnie. Potem zabrała ich do siebie ciotka i wkrótce się rozłączyli, z rzadka się tylko widując. Piotruś się uczyć nie chciał, więc go oddano do terminu na młynarza; on przechodził gimnazjum, potem uniwersytet, z łaski ciotki, której odpłacić poprzysiągł, skoro tylko na człowieka wyjdzie.

W tym miejscu obudził się Maltas i rozejrzał się przypominając, gdzie jest i z kim.

— Aha, zadrzemaliście! — zawołał.

— To pan spał! — zaśmiał się Józef.

— Broń Boże! Słuchałem waszego gwarzenia i tylko oczy przymknąłem, żeby wypoczęły.

— O czymże mówiliśmy, dziadku? — spytała Liza.

— O czym? Kto by spamiętał? Oho, ktoś dzwoni! Pewnie radca na preferansa!

Nie był to jednak radca, ale Piotruś. Józef zdziwił się na jego widok, ponieważ nigdy tu nie przychodził.

— Nie spodziewałem się dzisiaj ciebie! — rzekł.

— Żebyś wiedział, co się u nas stało! — odparł Piotruś markotnie.

— Co? co? — zagadnął Maltas.

— Dzisiaj w nocy sierota nasza uciekła!

— W taki deszcz! A to się wybrała — zaśmiał się Józef. — I nie znaleźliście?

— Gdzie tam! Wykradł ją Adolf, nasz agent zbożowy, i precz sobie odjechali.

— Awantura! — zawołał Maltas. — Czemuż się nie oświadczył i nie brał legalnie?

— On się oświadczył, ale starzy widocznie zlekli się kosztu wesela i odmówili mu.

— Także racja! Cha, cha, cha! I postawili na swoim. To majstrzy! O, dużo musieli już naciuć! Nie wiesz? — śmiał się Maltas.

— Nie — odparł Piotruś — a sędzę, że i oni nie wiedzą. Jedno przed drugim się kryje. No, ale to nie koniec wypadków! Wuj się tym zmartwił, zgniewał i po południu legł chory. Nie wiem, co mu jest, ale brzydko patrzy.

— Był doktor? — wtrącił Józef wstając.

— Gdy mu o tym wspomniano, począł krzyczeć i zabraniać; ale ciotka, niespokojna, posłała mnie do miasta po lekarza i ciebie kazała sprowadzić. Zdaje mi się, że ze starym źle.

— Jedźmy zatem! — rzekł Józef żegnając się spiesźnie.

— Poczekaj! — zawołał Maltas. — Pojadę i ja. Jeśli źle jest, trzeba dopilnować testamentu.

Zadzwoił i kazał zaprzęgać, mocno tą sprawą zajęty.

Po chwili jechali z Józefem, za nimi Piotruś kariolką wioził lekarza.

Młyn był w ruchu, warczący, dyszący, pełen światła i życia. Za to domek mieszkalny, z wyjątkiem jednego okna, stał ciemny i głuchy. W sieni Piotruś poświecił woskową zapalką i przy tym mdłym świetle trafił do salonu, gdzie chłopak zapalił lampę.

Nikt tu widocznie nie rządził ani myślał. Piotruś poprowadził lekarza do chorego, a Maltas z Józefem pozostali, drżąc z zimna. Aferzysta zaczął chodzić po pokoju zamyślony. Wreszcie stanął przed swoim lokatorem, który nieprzyjemnie dotknięty stał przy zimnym kaflowym piecu.

— Wiesz, rachuję go na sześćdziesiąt tysięcy! — rzekł. — Coś mi tak kiedyś bąknął. I zdaje mi się, że dla ciebie to przeznaczył. Hm, trzeba się tylko dopilnować.

— Jest ciotka! — odparł obojętnie Józef.

— Co to ciotka! Ona ma dosyć swojego. To jego oszczędności; i mówię ci, on ciebie lubił. Ho, ho, żebyś te pieniądze miał! Ja bym ci je podwoił w rok! Mam nadzieję, że starego nakieruję, jak zechcę! No, doktor wraca. Dowiemy się, jak stoi.

Doktor, zapytany, brwiami ruszył.

— Zapalenie oskrzeli, przy tym inne chroniczne komplikacje. Stan nieszczególny, ale natura jeszcze odporna. Zobaczymy, co ranek przyniesie.

Siadł do pisania recept. Maltas na Józefa skinął.

— Pójdźmy go zobaczyć! — szepnął.

Józef niechętnie ruszył. Wzmianka o testamencie, pieniądzech, spadku, zmroziła go. Zdawało mu się, że niegodzien jest przystąpić do chorego, że go skrzywdził, ubliżył, oszukuje. Gdy wszedł, ścisnęło mu się serce.

Ciotka siedziała przy łóżku, na którym Maric leżał ciężko oddychając.

Spojrzała na nich i wstała ze stęknieniem.

— Złe z nim! — szepnęła do Maltasa, niepamiętna w swym niepokoju dawnych uraz.

Józefa uścisnęła serdecznie.

— Przytomny? — spytał Maltas.

— O, tak! Ale doktora się zląkł. Pierwszy raz go widzi w życiu. To ta obrzydliwa dziewczyna go tak podcięła! Słyszał pan?

— Słyszałem. Niechaj pani spocznie i będzie dobrej myśli! No, przywitaj wuja, Józefie, a potem panią wyprowadź i nakarm! Ja trochę przy nim posiedzę.

Chory poznał Józefa i dłoń jego uścisnął.

— Jak się masz! Widzisz, ze mną źle! Doktora sprowadzili! — rzekł stękając.

— I ja się zatrwożyłem, Janie! — ozwał się Maltas. — Ale widzę, że za parę dni zdrów będziesz.

— A, dobrze, żeś przyjechał. Dziękuję ci! — szepnął Maric, wyciągając doń rękę.

Maltas usiadł przy nim i za chwilę zostali sami w słabo oświetlonym pokoju. Chory milczał chwilę, wreszcie się szepem odezwał:

— Myślisz że wyzdrowieję! Pewnie. Doktora niepotrzebnie sprowadzili. Mówiłem żonie. Po co niepotrzebny koszt? Oho, trudno grosz zebrać do grosza, a tu raptem taki wydatek! To ten błazen Piotruś namówił. Zapiszę mu to na rachunek!

— Błazen! — potwierdził Maltas. — Józef solidniejszy.

— Pewnie! Ach, wiesz, sierota uciekła. I wierz tu ludziom. Jakby jej u nas źle było. Miała spiżarnię pod swym kluczem. Mogła jeść bezustannie.

— No cóż! Zachciało się męża. Tak, tak, wszystkiego się trzeba spodziewać, na wszystko trzeba być gotowym! I ty, Janie, z tej choroby skorzystaj! Bóg cię ostrzega, abyś po obywatelsku się rozporządził z tym, co ziemskie!

— At, co tam tego jest. Bagatela! — odparł Maric niechętnie. — Chciałem sierocie darować. Teraz nic nie dostanie. Ma męża, to dosyć.

Zrobił grymas złośliwy.

— I temu błaznowi nie dam. Technik, maszynista kobietę mi zbuntował. Nie uwierzysz, jakie ma wygody za swoją błagę. Zobacysz, że on nawet turbinę przeprowadzi. Figa mu! Ma łaski ciotki, to dosyć!

— Słusznie mówisz. Józefowi zostaw pamiątkę! Ten nie zmarnuje i wdzięczny ci będzie.

— Sam nie wiem, zobaczą! — wymijająco odparł sknera.

— Ile masz kapitału?

— Kapitału! Bój się Boga! Myślałby kto, że krocie. At, jaki tysiąc, dwa.

— Trzymasz przy sobie, w kasie?

— Są w domu, dobrze schowane. Krwawy to trud.

— Dałbyś mnie w depozyt tymczasem.

— Ej, na co! Jak trochę się poprawię, przyjdę do ciebie, napiszemy testament. Po co się spieszyć? Będzie czas na to! A tobie dobrze się powodzi?

Zwrócił na inny tor rozmowę, a gdy Maltas znowu o testamencie wspomniał, zamknął oczy, umilkł, udawał, że zasypia.

Dał mu więc pokój i cicho wyślizgnął się z pokoju, pocieszając się myślą, że przecież pomyślnie sprawę zagaił.

W salonie już zastał panią Joannę posiloną i swobodną. Komenderowała po swojemu i wymyślała sierocie, sumienia i wstydu pozbawionej.

Nawał roboty i bezład, powstały wskutek ubycia dwóch pracowników, zajmował jej umysł i krzepił. W gruncie rzeczy bardziej oburzona była na męża, że śmiał w taki kłopotliwy dzień rozchorować się, niż zmartwioną i niespokojną.

Myślała też z niechęcią, że goście zostaną na kolację, która była ściśle obrachowana na jednego Piotrusia.

Odetchnęła z ulgą, gdy zabrali się do powrotu.

Józef czuł to i postanowił już więcej nie zaglądać. Sprawozdanie Maltasa jeszcze go w postanowieniu utrwaliło.

— Noga moja tam teraz nie postanie — rzekł ze wstrętem. — Ciotka mnie gotowa posądzić, że wypatruję spadku, o który doprawdy nic a nic nie stoję.

— Ale ja stoję, i to ci mówię, że te pieniądze uważaj za swoje. Oj, ty, młody! A wiesz, że pieniądze czynią na świecie dopiero człowiekiem, dają wszystko.

— Bajki! — ruszył ramionami Józef.

— Poczekaj, niech no dojrzejesz! Podziękujesz mi wtedy! Już rachował, że te pieniądze ma, i umilkł rozmyślając, że je od chłopca weźmie i będzie nimi obracał. Miał już gotowe projekty.

Z tym dojechali do domu i rozeszli się każdy do swych zajęć.

Upłynęło dni parę. Józef był pewny, że Maric dawno wyzdrowiał; Maltas wyjechał na dobę w sprawie pieniężnej, gdy wtem nad ranem gwałtowne dobijanie się do drzwi zbudziło studenta.

Rozgniewany i przestraszony zarazem, otworzył.

Brudny, chociaż mąką ubielony, chłopiec z młyna stał na progu i podał mu kartkę od Piotrusia, dodając płaczliwym tonem:

— Nasz stary pomarł!

— Umarł! — powtórzył Reni oszołomiony i spojrzał na kartkę.

Przybywaj co rychlej! Wuj nad ranem skończył. Po drodze wstąp do proboszcza!

Gdy Józef wszedł do sypialni, gdzie nieboszczyk leżał, ujrzał ciotkę nieruchomą w fotelu, wpatrzoną w oblicze zmarłego, jakby sobie dotąd jasno nie zdawała sprawy z nieszczęścia. Była obrazem całkowitej prostracji.

Pocałował ją w rękę — zdawała się go nie widzieć.

— Ciociu! — zawołał. — Proszę stąd wyjść, wypocząć. My załatwimy wszystko. Tu cioci zbyt ciężko.

Wziął ją pod ramię. Dała się prowadzić jak automat do sypialni. Wypiła na jego prośby kieliszek wina i zatrzymała go za rękę. Sięgnęła do kieszeni i oddała mu klucze od kasy. Dolna jej szczęka drżała.

— Masz! Dobrze zrób, nie żałuj, stać mnie na to dla niego — wyjąkała tak zmienionym głosem, że spojrzał na nią zdziwiony.

— Idź, zajmij się wszystkim! — dodała.

Pozostała sama, zasunięta w fotel, zapatrzona w próżnię, otchłań jakby czując pod stopami, przerażona okropnie.

Przez dwadzieścia lat nie rozstali się nigdy nawet na dobę, zżyli się jak drzewo z ziemią, jedno bez drugiego nie pomyślało nawet samodzielnie. Ona nim rządziła i przewodziła, i — rzecz dziwna — pierwszym uczuciem było uczucie słabości, osamotnienia, utraty dźwigni i opieki.

Uczuła się przede wszystkim sierotą.

A przy tym na widok śmierci towarzysza obleciał ją pierwszy raz w życiu lęk końca. Silna, zdrowa, pracowita, nigdy dotąd o tym nie myślała, ani o sobie, ani o nim.

A oto leżał, nie było go — teraz na nią kolej!

I drugie uczucie przyszło: zmęczenia, wyczerpania, starości, uczucie dobiegania do kresu, a z nim ostateczne zniechęcenie i gorycz.

Miała do niego żal, że ją ubiegł, a zarazem pretensję, że jej drogę odkrył, drogę pochyłą, którą teraz okiem mierzyła, z trwogą osoby, co całe życie myślała, że to się nigdy nie skończy.

I przez te godzin kilka postarzała się o lata całe, nie miała łez ni modlitwy, tylko strach i jakieś zdrtwienie nieznośne oraz poczucie strasznego jakby upadku.

Przesiedziała tak długo, wciąż w próżnię zapatrzona, nie próbując się pocieszyć ni ludźmi. Wreszcie jakiś obłęd ją ogarnął, straciła świadomość, on umarł czy ona. Pot zimny wystąpił na skronie. Zaczęła stękać głucho. Na to wsunął się Józef. Przecztał w swojej delikatności, że ją zając trzeba, ocucić.

— Wysłałem depeszę, ciociu — rzekł — i przyszedłem się zapytać, czy zawiadomić sierotę.

Użył najskuteczniejszego sposobu. Pani Joanna ocknęła się, spojrzała po dawnemu.

— Sierotę? Przyczynę jego śmierci? Za nic! Ona dla nas nie istnieje.

— Jak ciocia każe — odparł.

Orzeźwiło ją to słowo. Było echem władzy. Wstała, otarła twarz i wyszła.

Dom cały pełen był obcych ludzi i nieporządku.

Piotruś w salonie opróżnionym ustawił katafalk i już wśród świec i krzewów leżał Maric sztywny, woskowożółty, z podwiązaną brodą i złożonymi rękami, tak niepodobny do siebie w odzieży czarnej i nowej, w pozycji uroczystej, że służba z młyna stawała zdumiona, szeroko roztwierając oczy i zapominając pacierza.

Zresztą dom cały był do siebie niepodobny, zburzony, zabłocony, wyiębły.

Stary lokaj chodził z pokoju do pokoju jak widmo, wytrącony też z dwudziestoletniej tradycji cichości i porządku, nic nie robiąc, tylko patrząc na posadzki brudne, na sprzęty z miejsca ruszone i wzdychając z jękiem.

Zresztą brak kobiecego starania i zajęcia wszędy się czuć dawał.

Pani Joanna oprzytomniała zupełnie.

Poklęczała chwilę u zwłok, potem zabrała się do czynienia porządku.

Ludzi niepotrzebnych odesłała do roboty, dom kazała sprzątnąć, rozmówiła się z kucharką, posłała po żałobę dla siebie i chłopców, a wreszcie zamknęła na klucz mieszkanie mężowskie i klucz ten zatrzymała przy sobie.

Potem wydała rozporządzenie, kogo prosić na pogrzeb, i zaraz poszła do spizarni, piwnicy, obór i stajen.

Tylko kasę zostawiła przy Józefie i nawet nie spytała o koszt żaden.

Nazajutrz zjawił się Maltas. Chwilę zabawił u zwłok, wpatrzony w oblicze starego kolegi.

Podbródek mu się trząsał i oczy spoza szkieł okularów mrugały wzruszone.

Potem, pożegnawszy się, spytał Piotrusia o brata i ruszył do kantoru, gdzie chłopak u biurka coś pisał.

— No i cóż! — zapytał z progu. — Testament?

— Nic nie wiem! — odparł Józef obojętnie.

— Znaleźli pieniądze?

— I tego nie wiem. Mam tyle nie cierpiącego zwłoki zajęcia. Nie pomyślałem o tym.

— Zdaje mi się, że przegraliśmy! — mruknął stary markotnie. — Moja wina... Trzeba było lepiej pilnować! Hm, źle się stało; ale anim przypuszczał, że to tak groźne. Ciekawym, ile zostawił. No, do widzenia!

Wyszedł i wrócił za pół godziny.

— Pani Joanna prosiła, aby jej przysłać Lizę do pomocy na te parę dni. Zaopiekuj się nią, chłopcze; a jak się tutaj uspokoi, wróćcie razem do domu.

— Dobrze, panie! — odparł Józef, zajęty adresowaniem listów.

Panna Maltas przyjechała niebawem i zawsze cicha, spokojna, w jednej chwili stała się pomocną, nie zajmując nikomu czasu, nie narzucając się, a wszędzie obecna i rządna.

Pani Joanna zdała jej porządek domu, a sama chętnie usuwała się do sypialni, zmęczona, przybita okropnie.

U zwłok bezustannie przesuwali się odwiedzający znajomi. Przyjmował ich Józef, powtarzając cierpliwie wciąż te same szczegóły, słuchając wciąż tych samych frazesów współczucia.

Piotruś, zmęczony kilkonocnym czuwaniem, zasnął.

Pod wieczór się miało, gdy w drzwiach, szeroko otwartych, stanęła profesorowa z córką.

Panna Maltas zmieniała kwiaty otaczające katafalk, Józef jej pomagał rozmawiając półgłosem.

Ujrzał te panie i wstrząsnął się.

Zadygotało w nim serce, zabołało nagle okropnie.

Patrzył na Pepi, rad, że pokłękły do modlitwy i że będzie miał czas opamiętać się.

Wszystkie zapomniane, zda się, wrażenia wstały w nim, napełniły wrzeniem duszę.

Zakłęcie to było — to zapamiętanie niczym nie zwalczone.

Oburzył się na samego siebie — na złość oczy odwrócił na pannę Maltas, która też go śledziła z niepokojem.

Uśmiechnął się do niej z takim wyrazem, że dziewczyna nagle zbladła, zagryzła wargi.

A on rad był, bo spostrzegł, że Pepi na nich patrzyła.

Profesorowa się podniosła — pospieszył powitać panie. Zamieniono parę okolicznościowych frazesów... Panna Maltas zbliżyła się także.

Ale on nie spojrzął już na Pepi ani zamienił z nią słowa. Panny rozmawiały z sobą etykietalnie, on profesorowej odpowiadał na pytania o zdrowie ciotki.

Przeprowadził ją do dorożki i pożegnał głębokim ukłonem. Dopiero gdy zjechały z dziedzińca, podniósł oczy i pogonił wzrokiem zaprząg wśród zstępujących wczesnych ciemności. I zrobiło mu się w duszy podobnie ciemno i zimno; wzdrygnął się.

Chwilę stał i myślał. Jak błyskawica myśl go uderzyła. Zdawało mu się, że oczy Pepi raz go dotknęły z niechęcią, a na ostatku z szyderstwem. Przesunął ręką po czole. Uczyni coś, co ją, jeśli go żałuje, zmartwi i dotknie; jeżeli zaś myśli, że nim włada, rozwieje tę dumę! Uczyni to!

Powrócił do domu. Panna Maltas zmieniała świece przy katafalku, pomagał jej dalej.

Nazajutrz pochowano Marica. Orszak był liczny, karawan wspaniała. Za nim szła wdowa prowadzona przez synowców, Maltas z córką, długi szereg znajomych, cała obsługa młyna i gawiedzi ciżba.

Do cmentarza droga wiodła przez rzeczkę, a leżał na wzgórzu już, w ślicznej okolicy, zarośnięty stuletnimi drzewami.

Ze strychu w młynie widać go było jakby blisko, chociaż droga była daleka.

Tam, w zakątku, położono Marica do kamiennej katakumby, rozległy się ostatnie śpiewy, zaczęły padać na trumnę grudki ziemi, murarze prędko zasklepili grób.

Rozchodzili się znajomi i gawiedź, wreszcie Maltas z Piotrusiem i córką uprowadzili łkającą panią Joannę. Józef sam został, aby wykończenia grobu dopilnować.

Korzystając z chwili czasu, poszedł na grób rodziców. Leżał blisko ogrodzenia, pod lipą starą, na której dozorca cmentarza ul sobie zaciągnął.

Jedna płyta granitu kryła oba groby, oboje na niej stali nazwani, nawet w śmierci nierozdzielni.



Józef oparł się o głaz i pochylony modlił się. Wiedział z tradycji, że ojciec z rozpaczyny po zonie zakończył samobójstwem — przestrzelił sobie to okropne, zapamiętałe serce.

Potem go tutaj do mogiły wspólnej przyjąć się wzbraniało, aż ich dwóch małych prowadzono do dziekana, uczono, jak prosić mają. I ksiądz uzalił się sierot, uwierzył, że ta śmierć była wynikiem długiej melancholii, zezwolił na pogrzeb i grób.

To wszystko przypomniał sobie teraz młodzieniec, głęboko przejęty przecuciem, że i on ma to dziedziczne serce, co nie zapomina.

Obmiótł rękami suche liście z kamienia i dumiał smutnie długą chwilę, potem odszedł z ciężkim westchnieniem.

Mogiła Marica była zakryta, obłożono ją tymczasowo murawą, naznaczono krzyżem i za robotnikami wyszedł ostatni Józef z uczuciem radości, że staremu, który mu przecie dobrym opiekunem był, oddał uczciwie ostatnią posługę.

Za powrotem do domu pokończył rachunki i po południu, widząc, że domowi wrócili do zwykłych zajęć, pomyślał o odwrocie.

— Wrócimy razem — rzekł do panny Lizy.

— Ach, dobrze! Tak mi do domu tęskno! — odparła z uśmiechem radosnym.

Poszli tedy razem do ciotki i pożegnali ją. Porządkowała pokój zmarłego i wyszła do nich, do progu, roztargniona, z niepokojem i trwogą na twarzy.

— Dziękuję wam! — rzekła spieszenie, biorąc klucze i rachunki. — Odchodzicie już? Ach, tak, każdy ma czas zajęty i roboty nad siły! Bywajcie zdrowi!

I wróciła do swojej czynności, suwając sprzęty i rozburzając posłanie i szuflady.

Dwoje młodych ruszyło pieszo, pożegnawszy po drodze Piotrusia we młynie.

Dzień był pogodny, wyjątkowo słoneczny.

Resztki liści oblatywały z drzew, roztaczając delikatną, właściwą tej porze woń wędnięcia i pleśni. Rzeka, deszczami wezbrana, miała koloryt ciemny i ponury, w powietrzu wisiał opar sinoliliowy, chłodny, czerstwy.

Józef podał ramię towarzyszce i szli powoli zwirowanym wybrzeżem. Nagle chłopak się roześmiał.

— Uważała pani podniecenie ciotki? Przysięgnę, że wuj tak ukrył pieniądze, że i ona ich nie znajdzie. Ten ostatni figiel jest kapitalny.

— To by było fatalne! — odparła z przejęciem.

— Czemu? Pani tak ceni pieniądze?

— Nie ja, ale pani Maricowa je kocha. Będzie więc tak po ich stracie cierpiała, jak kto inny po zawodzie serdecznym.

Spojrzeli na siebie. Chłopak usta zagryzł.

— Pani była złośliwą.

— Ja? — zawołała przerażona. — Dlaczego?

— Myślałem, że ta ostatnia uwaga była pod moim adresem.

— Alboż pan tylko ma monopol zawodów? Mogłam i ja ich doznać — odparła spokojnie.

Spojrzał na nią spod oka i pomyślał, że być kochanym jest to port i wypoczynek, i obrona przed samym sobą.

Nic jednak nie rzekł ani rozmowy tej nie podtrzymywał. Zaczął mówić o potocznych przedmiotach.

Niedaleko domu już spotkali Pepi z Iwonem. Dwie te pary rozminęły się, zamieniwszy milczący ukłon.

— Czy panna Józefa wychodzi za hrabiego Iwona? — spytała panna Maltas zupełnie obojętnie. — Spotykam ich zawsze razem, o różnych porach.

— Nie sędzę, pani — odparł Józef. — Iwo wcale się żenić nie zamyśla. Zapewne lubią się lub bawią ze sobą.

— Tak? Gust oryginalny. A hrabia to przyjaciel pana?

— Krewny i kolega. Byłem mu też przyjacielem, ale za drogo mnie to kosztowało. Pani zawdzięcza ratunek w bardzo złej sprawie.

— A ja mu zawdzięcza oszczerstwo! — rzuciła krótko, z zaciętością, której dotąd nigdy w niej nie zauważył.

O, ma charakter! Umie nienawidzić! — pomyślał.

W bramie się rozstali. Józef poszedł do swojej stacji i zmęczony legł spać.

Usypiając jednak, znowu pomyślał, że być kochanym jest to port i wypoczynek, i spokój, i może dopiero szczęście.

— Co robisz z sobą? — zagadnął pewnego dnia Michał, spotkawszy Reniego po kursach.

— Nic, pójdę do knajpy! Zimno ohydne!

— To wstąp do mnie! Zagrasz cokolwiek i pogadamy.

— Grać! Zwariowałeś! Nawet skrzypce komuś darowałem... stróżowi podobno. Nie umiem już grać, zapomniałem i ochotę straciłem. Do czego to prowadzi? Strata czasu. Chodźmy na gawędę do knajpy.

Michał z niezadowoleniem ramionami ruszył, ale poszli razem do piwiarni pod ratuszem. Zajęli stolik na uboczu. Opodal Iwo siedział i zabawiał kilku kolegów anegdotami. Reni oparł się na rękę i spoglądał ku niemu zamyślony. Na widok tego człowieka ból się w nim budził, obezwładniał. Patrzył nań i, zda się, widział na jego ustach ślad pocałunków Pepi. Mgłą czarną zachodziły mu źrenice.

— Nie miałeś wieści od Łukasza? — zagadnął Michał.

— Nie! — odparł roztargniony.

— Takem ciebie dawno nie widział, a raczej takeśmy dawno nie mówili z sobą, że mi aż dziw. Ale i dzisiaj nie wydajesz się zdolny do gawędy. Szkoda!

Józef ocknął się i zapanował nad sobą. Zaśmiał się i wypił duszkiem piwo.

— A prawda! Rozhukałem się tymi czasami. Czas nie czeka, trzeba korzystać. Cóż z tobą?

— Ano... jestem narzeczonym! — odparł Michał ze smutnym uśmiechem.

— Tam do licha! Z kimże to? — zdumiał się Józef.

— Matka wynalazła, oświadczyła się, umówiła i po Wielkiejnocy ślub.

— A ty się zgodziłeś?

Michał znów się uśmiechnął smutno.

— Mój drogi, zmarnowałem lat wiele, goniąc cień. Gdybym na drodze tej pozostał, straciłbym siły, młodość, energię, wreszcie cześć i szacunek dla samego siebie. Człowiek o tyle wart, o ile działa, tworzy i służy drugim, nie tym, którym chce, ale tym, którym powinien. Więc i ja powinienem! Szczęścia nikt mieć nie może, dlatego, że i dać nie jest w stanie. Może tylko wypełnić obowiązek. Może za to w nagrodę osiągnie spokój.

— Myślisz, że tak być może! Więc się tobie nie dziwię. Za spokój można wiele ofiarować — odparł Józef zamyślony.

— Ty do siebie tego nie stosuj! — przerwał Michał. — Tyś artysta. Masz naturę zbyt skomplikowaną, aby zaznać spokoju. Odczuwasz rzecz stokroć silniej.

— Więc dlatego mam wyrzec się nawet starania o spokój. Cha, cha! Wybornyś!

Wychylił znowu kufel piwa i rozmarzonymi oczyma wpatrzył się w dal.

— Dokuczyło mi już wszystko. Przypominam bajkę, gdzie chłopiec bryłę złota handluje na konia, konia na krowę, krowę na wieprza, wieprza na gęś, gęś na osełkę, osełkę wreszcie wpuszcza do studni i, lekki na mieniu, dziękuje Bogu, że już nic nie ma do stracenia. Ja też wyzbyłem się ze wszystkiego, nic nie mogę dać, będę brać zatem.

Michał się roześmiał.

— Uważaj tylko, czy naprawdę już jesteś lekki na mieniu. Źle będzie, gdy poniewczasie coś jeszcze u siebie znajdziesz. Ale, żem ci rzetelnie życzliwy, rad będę, gdy pójdziesz moim śladem. Spokoju może nie osiągniesz, ale uratujesz życie, porządne imię, zyskasz opiekę,

dobre towarzystwo, dom, ognisko i serce, do którego się przy wiążesz, jeżeli, jakem ci mówił, nie zostało ci w duszy nic z dawnego .

— Ej, Michaś! Po co mamy gadać niewyraźnie? Karty na stół! Kochałem tę dziewczynę jak duszę... Ty wiesz. Teraz już nie istnieje dla mnie. Ale, odchodząc, połamala mi wszystko w sercu. Już nie będę nigdy więcej kochał. To wiem. Jestem teraz śmiertelnie znużony i słaby. Kto mnie pokocha i przygarnie, ten mnie uratuje od czegoś gorszego niż śmierć. To czuję. I za kochanie to oddam życie z wdzięczności.

— Masz je pod ręką. Bierz! Tylko pamiętaj, żebyś się poniewczasie nie obejrzał.

Reni ramionami ruszył.

— Za czym? To umarło. Wypijmy pogrzebowe! Hej tam! Ponczu!

Iwo na ten rozkaz obejrzał się ku nim.

— Czyje to urodziny obchodzicie? — spytał.

— Rozumu! — odparł Michał.

— Najgłupszej tedy rzeczy! — zaśmiał się wzgardliwie.

Podano poncz. Reni wypił dwie szklanki raz po raz.

— Ostrożnie! — ostrzegł Michał.

— Owszem, rezon mi się zda. Oświadczę się! Na trzeźwo kabza dziadka odbierałaby mi swadę. Ejże, kto wie, może razem przeskoczmy Rubikon.

Wypił trzecią szklankę i zaczął pogwizdywać. Rozparł się na stole i rozmarzony mówił o swym projekcie.

— Dobra dziewczyna, słowo daję. Żebyś wiedział jaka o mnie troskliwa, a przy tym cicha, łagodna, prosta. Raj mieć będę. Dziad dopilnuje mego egzaminu, ona będzie szczęśliwą! Słowo daję! Człowiek to przecie raz odbyć musi; lepiej prędzej niż później. Lepiej trafić nie mogę!

Michał podziwiał dyplomację matki i Maltasa. Bez widocznego przymusu doprowadzili chłopca, gdzie sami chcieli. Pepi usłużyła im wybornie. Dlaczego jednak Maltas koniecznie wybrał Józefa? Panna miała do wyboru świetne partie, mógł skłonić ją do przyjęcia której. Dlaczego popierał i ciągnął chłopca biednego, niepraktycznego, wrażliwego charakteru i z duszą artysty? To była zagadka, której Michał w tej chwili nie umiał rozwiązać, bo wypite szklanki plątały mu myśli. Wdał się i on w wynurzenia. Opisywał wybraną matki, dobył nawet fotografii. Radczyni potrafiła prawie wmówić mu, że on ją kocha i sam wybrał.

Przynajmniej teraz, podchmielony, dowodził tak. Józef też, nie chcąc być dłużnym, dobył pugilaresu i zaczął przerzucać kilka podobizn. Źle rozpoznawał i ledwie za trzecim razem wynalazł pannę Maltas.

— Wy tam! — zawołał Iwon podrażniony ich odosobnieniem. — Pokażcie nam kobietki! Ładne?

— Dla nas ładne! — odburknął Reni. — A ponieważ nie dla ciebie do wzięcia, nie psuj sobie krwi oglądaniem! To nasze narzeczone! Ty zaś jesteś tylko moim spadkobiercą od miłostek!

Zaśmiał się cynicznie, jak zwykle, rad, że się pastwił nad swym bożyszczem, i zwracając się do Michała dodał:

— Ostatnia szklanka i jazda do domu! Czemu od tego nie zacząłem? Życie by się głódziej ułożyło!

Przestali pić i wyszli. Na dworze szaruga śnieżna szalała.

— Ot, pora! — zauważył Józef. — Szczęśliwy, kto ma dom i serce, bo inaczej można się obwiesić, słuchając tego wichru, co wyje jak pies wściekły!

— Ba, ale co na wiosnę będzie, gdy bzy zakwitną i słowiki po gajach trele swoje zawodzić będą? Wtedy czy wystarczy człowiekowi być tylko kochanym?

— Mnie wystarczy! Życie to, co kocha, już umarło. Odpocząć chcę. No, do widzenia, jutro!

Rozeszli się na rogu. Kopiąc się przez śnieg, dobrnął Reni do kamienicy Maltasa. Spojrzał w górę — okna były oświetlone.

— Są goście, mniejsza o to! — mruknął wchodząc na schody.

Gdy się rozbierał w przedpokoju, wyjrzała z salonu panna Liza i powitała go radośnie.

— Dotychczas bez obiadu! Idź pan wprost do jadalni. Pani Maricowa przed chwilą przyjechała i pytała o pana.

— Zabawiłem trochę z kolegą — tłumaczył się Józef idąc za nią. Własnoręcznie podała mu spóźniony obiad.

— Pana wina, że przypalony. Trzy razy go odgrzewano.

— Będzie mi smakował w towarzystwie pani! — odparł biorąc ją za rękę i patrząc na nią gorąco.

Zatrzymała się, nie mogąc odeń oczu oderwać. Pocałował trzymaną rękę.

— Jaka pani dobra! — szepnął szczęśliwy. — Kogo pani pokocha, duszę pani rozjaśni!

Uśmiechnęła się z przymusem. Wydała mu się ładną, pożądaną.

Lokaj przerwał im. Liza się cofnęła, usiadła naprzeciw.

— Szkaradna pora! — rzekła. — Pan zdrowie naraża, chodząc w ten wichur i śnieżyce. Żebym miała prawo, gniewałabym się o to.

— Żeby pani prawo mieć chciała, toby miała! — odparł. Zagryzła wargi blada ze wzruszenia.

On wstał i cicho zapytał:

— Chce pani?

— Pan wie? — odparła z trudnością.

W milczeniu wyciągnął dłoń do niej.

— Pan mnie nie kocha — szepnęła.

— A kogo?

— Tę... spod „Snopa” — wyszeptała z najwyższą niechęcią.

— Nie! — rzekł stanowczo. — To był szal, z mora... Przeszło, dzięki Bogu. Mam serce wolne, daję uzdrowione. Wiem, że względem pani jestem nędzarzem i żadną partią. Długo nie mogłem się ośmielić...

Przerwała mu, prędko, bez namysłu już podając rękę.

— Nie mów pan tak! Jeśli to prawda, że pan mnie pokochał i wziąć pragnie za żonę, od tej chwili zaledwie jestem bogata! Ale to chyba sen!

— Nie, nie sen — odparł z uśmiechem i, zanim się obejrzała, otoczył ją ramieniem i pocałował blade usta.

W głowie się jej zamąciło, pociemniało w oczach i spojrzała nań przez łzy.

— A ja pana kochałam od razu i starczy mi tej jednej miłości aż do grobu! Mój Boże, tak mi dobrze!

Stali tak przytuleni do siebie, szepcząc u okna zasłoniętego firanką, gdy w pokoju obok rozległ się głos Maltasa:

— Janie, gdzie panienka?

— W jadalni — odparł lokaj.

— Pan Reni wrócił?

— Obiaduje właśnie.

Gdy Maltas drzwi otworzył, Józef siedział u stołu i udawał, że je; Liza stała przy bufecie i udawała, że porządkuje srebro.

Stary zlustrował położenie i skrzywił się, jakby pomyślał: Jacyż oni przyzwoici! Czyż nigdy nie zejdem w chwilę taką, żeby błogosławić?

Głośno zaś zawołał:

— Bój się Boga, chłopcze! Gdzie się włóczysz po całych dniach? Ciotka na ciebie czeka od godziny. Liziu, czy rychło dostaniemy herbaty? Zaraz tutaj sprowadzę panią Joannę. Ginę

z ciekawości, jaki ma do ciebie interes. Wyobraź sobie, śmie dowodzić, że po starym nic nie znalazła.

Wyszedł po chwili i wrócił z Maricowa.

Józef, który jej od pogrzebu nie widział, przeraził się zaszłą zmianą. Kobieta, zdrowa i silna przed paru miesiącami, była teraz zwiędłą, osiwiąłą, zgarbioną babką. Chłopaka żal zdjął na widok takiej ruiny. Żeby zażądała najcięższej rzeczy, uczyni jej zadość z pewnością.

Pierwszy raz prawdziwie serdecznie ucałował jej rękę i podał krzesło.

— Ciocia ma mi co do rozkazania? — spytał. — Może Piotruś?...

— Nie. Piotruś w domu! Jeden on i ja stara — odparła z westchnieniem. — Jedz, Józiu, jedz! Poczekam, aż skończysz.

— Jużem skończył i jestem na rozkazy.

— Aleś ty ledwie tknął obiadu! — zawołał Maltas. — Możeś niezdrów?

— Zdrów jestem jak ryba.

— No, to gadajcie swe interesy! My wyjdziemy.

— Nie, zostańcie! — rzekła Maricowa. — Nie mam do niego żadnego interesu, tylko prośbę.

Stary uszy nastawił; Liza, rozmarzona, nie słyszała prawie. Pani Joanna spojrzała po nich. Oczy jej straciły dawną żywość i ostrość. Były wyblakłe, smutne, często osłupiałe.

— Od mego nieszczęścia mało dni ubiegło, ale dla mnie lata. Popsuło się wszystko. Nie wiem, czy to ze zgryzoty, czy z pracy, zupełnie z sił upadłam. Nogi mi brzękną, w nocy duszność na sercu leży, a w dzień często w głowie mam szum i odurzenie. Bo i nie dziw. Na cały zarząd nas dwoje. Chłopak się rwie za dziesięcioro i ja, stara, wybrnąć z pracy nie mogę. Co dzień wieczorem przypominam to i owo nie spełnione. W taki sposób interes musi przepaść marnie.

— Bo niech ciocia poświęci parę setek i przyjmnie magazyniera i kasjera, jak dawniej było — wtrącił Józef.

— Nie chcę, nie chcę! — zaprzeczyła, rękami trzęsąc. — Wolę wszystko niż patrzeć na najemników, co kradną i zaniedbują, i jeszcze im płacić za to.

— Można znaleźć i uczciwych! — rzekł Maltas.

— Ja też znalazłam jego! — zakończyła wskazując Józefa.

— Mnie! — oburzył się chłopak. — To niepodobna, ciociu! Po pierwsze: nie cierpię kupiectwa, źle będę spełniał ten obowiązek; po drugie: za rok się doktoryzuję, jestem obarczony pracą naukową, a przecie ciocia nie może wymagać, abym zwichnął karierę teraz, będąc o krok do ukończenia studiów.

— Cóż ci przyjdzie z tych studiów? Będiesz tak samo na chleb pracował.

— Tak, ale będę od siebie tylko zależnym.

— Słuszna uwaga! — wtrącił Maltas.

— W młynie zaś mogę cioci nie dogodzić, wynikną kwasy, nieporozumienia. Stanowisko moje pozostanie podrzędne, finanse liche, rola nijaka. Jestem zaś w wieku, gdzie się niechętnie już znosi kuratele, mustrowanie starszych. A co najważniejsza, żenić się myślę i żony mojej nie mogę wraz z sobą oddać cioci na służbę.

Ostatnie to oznajmienie było dla Matlasa i Markowej piorunem.

Stary osłupiał i porywając się z miejsca, zawołał:

— Zenisz się? Co? Kiedy? Z kim? Pani Joanna, domyślniejsza, spojrzała na Lizę. Dziewczyna stała się białą jak płótno. Gdy Józef zbliżył się do niej, spojrzała nań zalekła; podała mu rękę. Razem przystąpili do Maltasa.

— Przed chwilą rozmówiliśmy się z panną Lizą — rzekł Józef — i jeśli pan pozwoli...

— Aha! — wybuchnął Maltas obejmując ich oboje. — To tak! Moje dzieci, marzyłem o tym. No, proszę! Ani się domyślałem, że już po wszystkim. Niechże was pobłogosławię!

Rozpromieniony zwrócił się do Maricowej.

— Piękny to dzień dla nas, moja dobrodziejko! Pobłogostawcie ich też! No, teraz, gdy stanowimy rodzinę, pogadamy wspólnie o przyszłości.

Zatarł ręce i patrząc na Józefa, dodał:

— Chłopak mój. Nie zginie!

Pani Joanna uścisnęła dwoje młodych.

— Daj wam, Boże, wszystko dobre! — rzekła. — Mój Jan nigdy nie żałował, że wziął posażną pannę, a i ja go wspominam łzami, chociaż ubogi był!

Ta brutalna wzmianka finansowa dotknęła boleśnie Józefa. Zahukany wuj stanął mu żywo w oczach i zrobiło mu się dziwnie zimno i straszno. Ale gruby śmiech Maltasa zawtórował Maricowej.

— No, no, postaramy się zrównać fundusze! — rzekł patrząc na starą złośliwie. — Chłopak coś ma przecie... jakiś legat deponowany u pani. Zresztą, jeśliby przyjął pani propozycję, myślę, że na warunkach spadkobiercy.

Reni zaoponował żywo, ale Maltas nie dał mu przyjść do słowa:

— Ty, chłopcze, zdaj tę sprawę na mnie! Słuchaj i uważa. Uczynię ci dobrze!

Maricowa poruszyła się niespokojnie. Nie były jej po myśli umowy ze starym aferzystą, którego się bała instynktownie. Zwróciła się do synowca.

— Czy zdajesz się na pana Maltasa? — spytała.

— Ja, ciociu, nie chcę iść do młyna! — odparł stanowczo. — Nie chcę sobie łamać kariery. Tyle lat ciężko pracuję, aby się dobić celu. Zresztą panna Liza przyjęła mnie biednego. Niech ona decyduje!

Starzy spojrzeli na dziewczynę. Stała spokojna, pewna już siebie — wzrosła w atmosferze rachub i interesów.

— Ja pójdę wszędzie za panem! — rzekła. — Do młyna też i pracować wspólnie będę, ale tylko jeśli pana w nim uczynią jedynym dziedzicem. Własność to wasza stara i cel święty przy niej trwać. Nie inaczej jednak, tylko że ta praca będzie samodzielną, dozgonną, na własnym. Musi pan za swoją zwichniętą karierę mieć pełne wynagrodzenie.

Spojrzała nań prosząco i słodko. Zaczął się wobec jej zapatrywań wahać w pierwszym postanowieniu.

— Mam dwóch synowców! — wtrąciła pani Joanna.

— Dla drugiego zostanie kapitał! — podchwycił Maltas.

Skrzywiła się niechętnie.

— Ile tam tego!

— My nie pytamy. Jeśli mojej wnuczce chodzi tylko o młyn, do reszty nie mamy pretensji. Młyn zatem powinna pani oddać Józefowi, jeśli on ma tam pracować.

Stara spuściła głowę zmęczoną, w której czuła szum, trzask, przelewanie, zda się, wielkich wód. Młyn ma oddać, zostać na łasce nie tego chłopca, który delikatny był, ale obcej kobiety i starego, chytrego handlarza! O Boże! Żeby Maric żył i to posłyszał! Gdyby jej siła i zdrowie żyło, jej energia, żywość, jej lata młode! Ale nic nie zostało. Ni opiekuna, ni mocy w sobie, nic, tylko ten szum okropny w głowie, który jej przypominał wylewy i burze, które tylekroć druzgotały jej motor młyński, które może lada dzień ją podruzgoczą... Zostawi tę fortunę ukochaną w rozprzężeniu i ruinie!

Westchnęła ciężko, bardzo ciężko.

Mętnymi oczami patrzyła na synowca.

Był w rękach Maltasów, w złych rękach.

Będzie bogaty, nie zginie, wzrośnie, ale ciężko mu będzie, gorzko, źle! Czuła to ona, co całe życie trzymała męża w podobnej niewoli.

Całe życie... Ha, teraz życie zgasło w niej i coraz częściej żal po zmarłym budził w niej wątpliwości, wyrzuty, z dniem każdym jaśniejsze, w miarę ubywania sił, zbliżania się końca. Dumiała zwiesiwszy głowę na piersi. Młyn wezmą, potem zechcą kapitałów. O, ona ich zna!

Ograbia ją, potem Piotrusia zechcą skrzywdzić. Nie, to im się nie uda! Pieniądzy nie dostaną nigdy, nigdy! Własnoręcznie odda je młodszemu, gdy zgon poczuje. Na sekundę im ich nie pokaże, nie da do rąk. Tamten je weźmie, wydziedziczony ze spuścizny! Dobrze schowane, nie znajdzie nikt bez niej!

Długie milczenie w jadalni przerwał chód zegara i dyszenie astmatyczne Maltasa.

Młodzi usunęli się nieco i patrzyli na siebie, radzi się wymknąć i pogwarzyć.

Wreszcie Maricowa ocknęła się z rozmyślań. Przypomniała sobie późną godzinę i tę sprawę, która ją tutaj przygnała.

Oto rano Żyd jakiś przyniósł jej weksel Piotrusia, groził skandalem i aresztem. Zapłaciła, ale się bardzo zlekła.

Było ich może więcej. Młyn był niepewny. Po jej śmierci spadną jak kruki, rozszarpią, jeśli się nie obwaruje. Tak, trzeba kończyć!

— Nie myślałam komu innemu, tylko im dwom zapisać dziedzictwo, które już dwa wieki jest u nas w rodzie! — rzekła bezdźwięcznie. — Chciałam, żeby wspólnie nim władali; ale to może lepiej, gdy zostanie w jednych rękach. Gotowam też zapis ten uczynić jutro, tylko waruję sobie dwie rzeczy, jedno, żebym została głową i panią do śmierci, drugie, aby Piotruś został na swym stanowisku, z wynagrodzeniem stosownym i na prawach brata i współnika. Do mojej śmierci potem uczyni, co zechce, będzie miał swobodę.

— Ciociu — wtrącił Józef wzruszony. — On zawsze i będzie najdroższym, najmilszym!

— Tak ci się zdaje! — zamruczała pośepnie. Zwróciła się do Maltasa.

— Wyposażyłam tedy synowca. Nie będzie biednym i wnuczki pana, dzięki Bogu! — rzekła z widoczną dumą.

Stary wstał, otworzył drzwi swego gabinetu, kasę i wrócił.

Stos biletów bankowych położył przed Lizą i ją w czoło.

— Oto pięćdziesiąt tysięcy jej posagu, które jej z zupełną pewnością, że nie straci i źle nie użyje! Niech się wam szczęści, dzieci!

Józef instynktownie się cofnął od pieniędzy.

Liza zagarnęła je i posunęła ku niemu.

— Bierz pan, to nasze! — szepnęła.

— Nie, nie! — zaprzeczył stanowczo.

Maricowa powstała z miejsca, popatrzyła na ten skarb chwilę, jakby zaczarowana, podniecona, chciała nań zawołać: bierz, bierz! — oczy jej zapałyły, zadygotały ręce.

I nagle opamiętała się, wzrok stał się ostrym, przejmującym, groźnym, ręce opadły.

— Tak, tak — potwierdziła z naciskiem rozkazu. — Tych pieniędzy nie bierz nigdy, nigdy! Zapamiętaj moje słowa! Nigdy tknij ich, one nie twoje!

## VII

Młyn był w pełnym ruchu. Przed magazynem roiło się od furmanek, ludzi, worów zboża i mąki.

Wewnątrz warczały koła i kamienie, po podwórzu snuli się robotnicy tu i tam, przed domem kwitły róże; od obór i stajen rozlegało się porykiwanie holenderek i rżenie koni; dog ulmski ujadał, szerpiać łańcuch, na interesantów.

Wszędzie życie w pełni, dobrobyt, ład, porządek. Przez okna kantoru, okratowane i ponure, słońce zaglądało ukośnie do wnętrza.

Za biurkiem, na tradycyjnym stołku Marica, mając kasę za sobą, przed sobą księgi, drzwi, na ścianach cenniki i rysunki zbóż, siedział Józef i pochylony pisał pilnie.

Co chwila ktoś wchodził po kwit, po pieniądze, po notatki, po rozkazy lub ze sprawozdaniem.

Za każdym razem dzwonek jęczał przeraźliwie, młody człowiek głowę podnosił, załatwiał interes i znowu brał się do pisania.

Wykończył w ten sposób mnóstwo listów; a gdy słońce stało się czerwone od zachodu, podsumował dzienne rachunki, sprawdził kasę, zamknął ją, uporządkował księgi i wstał z miejsca, wolny już do dnia następnego.

Nie kwapił się z wyjściem. Stał u okna i oczami zaczerwienionymi od całodziennego wysiłku patrzył na podwórze.

Ujrzał żonę zamykającą magazyn zbożowy i rozprawiającą głosem podniesionym z chłopcem młynarskim, który nie w porę przyszedł po smar do maszyn.

Dźwięk jej mowy, ostry, świszczący, przedzierał powietrze i sykiem wpadał aż do kantoru. Chuda, wysoka, w pysznym oświetleniu letniego dnia, czyniła przykre wrażenie linii twardej i sztywnej.

Odzież jej była zaniedbana, czarne włosy opylone i zaczesane płasko, na nogach stare, zdeptane pantofle, w rękach klucze, którymi wywijiała, wymyślając chłopcu za bezład i nieporządek.

Na hałas z młyna wyszedł Piotruś, także w roboczej odzieży ale zgrabny i wesół, i poszedł gwiżdżąc, z czapką na bakier, by poprzeć żądanie posłańca.

Kobieta ustąpiła wreszcie i odemknęła magazyn. Od obór ukazała się teraz pani Joanna, eskortująca udój mleka. Piotruś pocałował ją w rękę, chwilę gawędzili przyjaźnie, potem chłopak skierował się do biura.

Był to codziennie ostatni interesant.

Józef cofnął się od okna z westchnieniem.

Powitali się serdecznie.

— Co słyhać? — spytał Piotruś zapalając papierosa i siadając na brzegu biurka.

— Zawsze źle! — odparł Józef markotnie. — Ceny mąki spadają codziennie, zboże pokontraktowane drogo. Będziemy mieli gruby deficyt.

— Pospieszylesz z kupnem. Strzeliłes bąka.

— Tak, za naukę się płaci. Co robić! Jeżeli nie będzie wydatków nadspodziewanych, wytrzymam ten rok. Moje pięć tysięcy pokryją deficyt.

— A dalej?

— Ha, stagnacja musi się skończyć. Przez trzy lata jednak musimy się wyrzec nadziei zysków! Konkurencja dużo też kosztuje. Ciężki rok!

Oparł głowę na rękę i machinalnie kreślił na bibule cyfry. Cyfry od półtora roku wypełniały jego życie.

Mówił spokojnie, zmęczonym, apatycznym tonem. Zapewne sto razy wynik ten powtarzał w myśli.



— Niespodzianek być nie powinno! — rzekł pocieszająco Piotruś. — Maszyny w dobrym stanie, upustów i koła pilnuję jak ognia. At, nie trap się zbytnio! Jeden dobry rok powetuje zły. Nie zrobisz zaś wedle rady Maltasa?

— Co? Zerwać zbożowe kontrakty? Nie, nigdy! Nie stracę honoru!

— To dobrze! Wczoraj właśnie mówiono o tym w mieście i chwalono ciebie. Bałem się, żeby cię stary nie omamił argumentami.

Józef ramionami ruszył.

— On sam zawstydził się projektu wreszcie i cofnął, tłumacząc, że dobrze nie zrozumiał. Zresztą, dzięki Bogu, nie tknąłem ich pieniędzy, więc nie jestem obowiązany ulegać.

— No, no, tylko jesteś pantoflem żony — zaśmiał się Piotruś — ale to kwestia zakochania. Józef poczerwieniał.

— Tak, to inna kwestia! — powtórzył.

— Ludzie się z ciebie śmieją, że się boisz żony! Nigdzie ciebie nie widać.

— Ona tego nie lubi! — mruknął. — A ja mam dosyć kłopotów, żeby samochcąc dodawał jeszcze piekło domowe.

— Ona się boi porównań! — złośliwie zauważył Piotruś.

— Ty zaś umyślnie ją drażnisz, ciągnąc mnie do towarzystwa! I po co?

— Bawi mnie ten strach i zazdrość. Bo uważaj, jak ona ciebie pilnuje. Mnie to by było właśnie podniętą do niewierności. Nie cierpię przymusu i niewoli.

— To się nie żeń! Liza sama jest uczciwą i bardzo słusznie chce zachować swoje prawa w całości!

— De *nécessité vertu*\*! — wtrącił Piotruś. — Mój Boże, jakżeś się zmienił, jeśli ci to wystarczy. Oho, zmierza tu twoja magnifika! Wynoszę się! Ale, czy mam jeszcze trochę pensji?

— Do końca roku wybrałeś wszystko!

— Nie może być! Pokaż konto!

Józef się uśmiechnął.

— Widziałeś je już wiele razy. Ileż ci dzisiaj potrzeba? At, cokolwiek. Wybieramy się na wycieczkę czólnem z pochodniami. Trzeba będzie coś dać na muzykę i kolację. Skądże dasz?

— Ze swoich. Jak wiesz, nie wydaję prawie nic.

— Dziękuję ci! Chcesz, wystawię kwit. Oddam, gdy dostanę od ciotki.

— Nie chcę kwitu. Baw się; dam ci zawsze, byłeś długów nie zaciągał.

— Ba, kto mi teraz pożyczycy, gdy młyn do ciebie jednego należy.

— De *necessite vertu*! — żartobliwie powtórzył jego słowa Józef, dobywając pieniądze z kasy.

Piotruś je prędko zgarnął i schował, bo w drzwiach stanęła właśnie pani Liza.

— Jutro niedziela — rzekł — biorę tedy urlop do poniedziałku, bo roboty nie będzie.

— Zapewne — odparł Józef — magazyn pełny, zbyt prawie żaden. Niech maszyny wypoczną.

— A może państwo jutro się gdzie wybiorą? — zagadnął chłopak kobietę.

— Jeśli Józio zechce, odwiedzimy może dziadka — odparła patrząc na męża.

— Dobrze, zawiozę cię tam, bo chcę także odwiedzić Michała.

— Zatem do widzenia w poniedziałek! — zakończył Piotruś, cofając się do drzwi.

— Nie zostanie pan na wieczery?

— Dziękuję pani. Mam zajęcie na mieście!

Gdy się drzwi za nim zamknęły, Liza ruszyła ramionami.

— To się nazywa zajęcie. Swawola, rozpusta, marnowanie czasu, grosza i zdrowia. I za co on hula?

— To jego rzecz. Nam nic do tego, jak używa czasu wolnego. Swoje spełnia.

\* De *nécessité vertu* — Cnota z konieczności.

— Bardzo lichy! Ludzie mówią, że zwykle hulanki odsypia gdzieś w kącie, a młyn jest na Bożej opatrności.

— To są plotki, których ci nawet nie wypada słuchać.

— A ty mu dajesz pieniądze na swawolę. Na nic nie ma, dla niego zawsze są.

— Czym tobie kiedy odmówił?

— To nie, bom nigdy nie prosiła. Mam swoje. Umilkł zmrożony tą niedelikatnością.

— Ja też nie twoje, ale swoje daję Piotrusiowi — rzekł po chwili z przykrością.

— Toteż ich wkrótce zabraknie. Prędzej niż mnie! — odparła z dumą niesmaczną. — Wtedy zdadzą się i moje... o, i bardzo! — dodała z uśmiechem raptownego rozczulenia. — Nie lękaj się, Józiu, stoję ja za tobą.

Podeszła do niego i objęła go za szyję. On się wzdrygnął nieznacznie pod tym dotknięciem. Twarz jego przez sekundę odbiła nieznośne cierpienie moralne i gwałt zadany naturze.

— Pocałuj mnie! — szepnęła. — Zapracowałam na to. Cały dzień się namęczyłam dla ciebie.

Pochylił się i spełnił żądanie.

— Niepotrzebnie tyle pracujesz.

— Doprawdy! A któż to zrobi? Ciotka z dniem każdym traci głowę i siły. Onegdaj, gdy mnie zastępowała, zginęło sześć pudów mąki. Skończyłeś i ty robotę. Chodźmy stąd!

Wyszli na podwórze. Cisza już się słała w powietrzu czystym i wonnym. Mimo woli ciągnęło coś do przechadzki i marzeń. Odurzająco pachniały róże, szmerem harmonijnym odzywała się rzeka.

— Przejdźmy się nieco! — zaproponował Reni.

— Nie mam czasu — odparła Liza. — Rachunek z kucharką muszę załatwić, przygotować wam herbatę i wieczrę, jutrzejsze odzienie i bieliznę opatrzyć. Ciotka też samotna.

Doszli do domu. Józef się zatrzymał.

— Idź zatem. Ja zostanę, wypalę cygaro na ganku. Śliczny wieczór, żal spędzać go pod dachem.

— A ja ciebie cały dzień nie miałam. Tak się cieszę na wieczór przy wspólnym stole! Nie zostawaj, Józieczku!

Przytuliła się do niego.

— Na cóż ci się zdam przy rachunku z kucharką? Mam cyfr wyżej głowy w kantorze!

— To nic, ale będziesz przy mnie! Mój miły, ja cię kocham! Wróćmy razem!

Zacisnął zęby i wszedł do domu. W jadalni, ciemnej i chłodnej, pani Joanna odpoczywała, drzemiąc w fotelu.

— Gdzie to Piotruś? — spytała budząc się.

Otrzymawszy odpowiedź, zapadła znowu w drzemkę. Rzadko się teraz odzywała, poza pracą trwając wciąż w jakimś odrętwieniu i apatii.

Józef kazał podać światło i siadł u stołu, biorąc do rąk gazetę. Ciotka, ocucona na chwilę ruchem i jasnością, rozwarła mgławce oczy. Sięgnęła po zaczęta pończochę i machinalnie poczęła manewrować drutami.

— A co? — rzekła. — Mąka nie idzie? Żle, bardzo źle Zginiesz!

Reni wzdrygnął się. Litery mu się plątały, treść tniesz się bezładnie.

Trzymał arkusz przed oczami, ale nie widział go wcale Myśli skupić nie mógł.

Tuż obok słyszał głos żony w rozterce z kucharką.

— Dziesięć funtów mięsa, siedem jaj, funt masła! Bój się! Boga, to rozbój! Mnie oszukać nie potrafisz! Ukradłaś połowę! Sztufada była sucha i twarda, do leguminy dosyć trzy jaja! Co to? Myślisz, że się nie znam?

Pani Joanna westchnęła głęboko.

— Za naszego gospodarstwa nie bywało stagnacji. Ale też inny był porządek wszędzie. Mój Boże, nie daj mi dożyć końca!

Józef odłożył gazetę, wstał i począł chodzić po pokoju.

Poza kręgiem światła od wiszącej lampy było ciemno i ponuro. Sprzęty były ustawione symetrycznie, okna pozamykane, dalsze pokoje puste i głuche.

Dom ten, w którym się nigdy nie śmiano, nie śpiewano, nie grano, miał wytłoczone na sobie piętno więzienia, grobu.

Przybrał charakter ludzi, co w nim życie spędzili, przygniatał piersi, ziębił duszę.

Młody człowiek przystanął wreszcie u okna i do szyby przyłożył czoło. Za tą szybą był świat, noc cudna jak marzenie,

Tylko już nie dla niego.

Ruina, ruina, ruina! — odezwało się w nim szyderskim echem, pani Liza monitowała z kolei służącą:

— Takiej bielizny ja nie przyjmuję! Daję dosyć mydła, sody i krochmalu. Do czego podobne te koszule pana!

Stary sługa, wiecznie milczący i namarszczony, wniósł samowar. Liza ukazała się też, podzwaniając kluczami.

— Któż to na jadalnym stole rozkłada gazety? — zawołała.

— Twój mąż! — odparła Maricowa.

— Ach, on tylko by robił bezład! Sprzątnij to, Ignacy! Teraz wieczerza, a nie czytanie! Chodźże bliżej, Józieczku! Czyś ty niezdrów? A chciałeś iść na spacer! Od rzeki taka wilgość bucha i wyziewy! Cóż miłszego jak odpoczynek w swoim domu i w rodzinie? Co tobie? Gryziesz się tym zastojem mąki? Daj spokój! Cały twój młyn zmieści się tu!

Uderzyła ręką po kieszeni śmiejąc się. Ciotka pokiwała głową.

— Do interesu nie dość pieniędzy, trzeba przede wszystkim sprytu i zdolności handlowej.

— A cóż to? Józef ma sobie nie dać rady? — oburzyła się Liza. — Nie święci garnki lepią! Ma zresztą do pomocy najlepszą głowę z całego miasta, mojego dziadka!

— Zobaczymy! — mruknęła Maricowa.

Wieczerza się skończyła wśród podobnych rozmów. Józef rzadko słowo dorzucił.

Sprzątnięto wreszcie nakrycie. Przed Lizą ukazał się stos skarpetek, które pilnie jąta cerować. Reni sięgnął znowu po gazetę. Żona podniosła protest:

— Ej... daj pokój czytaniu! Pogawędź z nami! Zaczęło się tedy dalej biadanie na służbę, gospodarskie szczegóły, drobne wypadki dnia, ploteczki o znajomych.

Gdy zegar wybił dziesiątą, kobiety złożyły robotę. Ciotka powiedziała dobranoc i odeszła, po chwili i Liza zabrała się do spoczynku.

Józef pozostał sam i siedział patrząc bezmyślnie w światło.

Był tak znękanym, że już i czytać nie miał ochoty.

Parę razy zajrzał służący, czatujący na zgaszenie światła w tym domu punktualnym jak maszyna, a wreszcie z sypialni rozległ się głos Lizy:

— Józiu, pora spać! Czy ci nie dość było dnia?

Młody człowiek zgasił papierosa, przesunął ręką po czole.

Zapewne... dosyć mu było dnia. Aż nadto!

Takich dni zebrało się już półtora roku i po brzegi, zda się, pełna była czara goryczy. Takim był port, o którym niegdyś marzył, takim spokój, który mu miał stać za szczęście.

Nazajutrz po nabożeństwie, odwiedzili Maltasa. Józef zabawił chwilę tylko.

Dziś były imieniny pani Michałowej, obiecał się krewnemu.

— Może i ty ze mną pójdziesz? — spytał żony.

— Zostawże mi ją na chwilę! — zaprotestował Maltas. — Takiś zazdrosny! Otóż i my się zabawimy. Kupiłem ogród za miastem, pojedziemy go obejrzyć. Wiecie, przeznaczam to dla prawnuka. He, co? Pamiętajcie, będę go do chrztu trzymał.

— Dobrze, dziadku! — zaśmiała się Liza zerkając na męża czule.

Gdy ich żegnał, zatrzymała go jeszcze.

— A pamiętaj, długo nie baw i nie zapominaj o mnie! Tak, za godzinę już cię czekam. W domu nikogo nie ma, pamiętaj!

— Dobrze; jeśli trochę dłużej zabawię, wracaj sama.

— Nie, nie chcę, nie chcę! Nie pozwalam. Nie masz prawa opuszczać mnie! Nie wrócę sama.

— Dajże mu pokój! — uspokajał Maltaś. — Wróci, wróci! Traktujesz go jak błazna.

Józef wyszedł rozdrażniony, ale pozornie spokojny. Bunt w nim wzbierał na tę niewolę i przymus nieznośny.

Ciągłe wypominanie jej praw i jego obowiązków zohydzało mu do reszty pożycie.

Domek radczyni odmłodził wraz z młodymi gospodarzami, ogródek barwił się kwiatami, wewnątrz tryskało wesele i światło.

Okragła, pulchniutka, wiecznie wesoła i szczerą pani Michałowa przyjęła gościa na progu z serdeczną radością.

Kobiecina pasowała do otoczenia. Ładna, różowa, z dołeczkami na twarzy, była obrazem szczęścia i zadowolenia z losu.

Zza jej pleców wyglądała rozpromieniona twarz Michała. Pan doktor (tak stało na blasze u drzwi) porwał w objęcia przyjaciela.

— A witajże, witaj! Trudno cię zdobyć, za to niełatwo uwolnić!

Józef złożył życzenia pani domu i eskortowany przez małżonków, znalazł się w saloniku. Towarzystwo było dobrze znajome, osób kilkanaście, rozbawionych i swobodnych.

Zaczął się witać, przyjemnie rozgrzany sympatią, którą u każdego spotkał.

Doszedłszy do kanapy uczuł dziwny niepokój. Obok radczyni siedziała profesorowa.

— A, witam pana, witam! — zawołała serdecznie. — Ładnie to zapominać przyjaciół!

Pocałował ją w rękę. Dziwnie mu ciepło było, lekko w sercu.

— Nie zapomnę nigdy dobroci pani! — rzekł szczerze.

— A gdzie twoja żona? Nie raczyła! — rzekła radczyni witając go czule.

— Kazała złożyć swoje uszanowanie i życzenia. Została u dziadka trochę niezdrowa.

— Co? Może ci można powinszować? — zawołała śmiejąc się i mrugając domyślnie. Poczzerwieniał okropnie.

— Nie, kuzynko! Niczego mi nie można powinszować! — odparł.

— Patrzcie go, jak się rumieni! A widziałeś mego wnuka?

— Od chwili, kiedy go trzymał do chrztu, nie widziałem! Musisz zobaczyć! Ale teraz śpi! No, wstąpże do ogródka, tam się młodzież bawi.

— To już nie dla mnie! — uśmiechnął się.

Ale już wpadła nań pani Michałowa i pociągnęła go za sobą na ganek.

— Wie pan, myślimy trochę potańczyć wieczorem na murawie. Będzie wesoło! A teraz muszę poprosić panny Józefy, aby nam zaśpiewała.

Pobladł. Z dala, na ławeczce, pod kasztanem, ujrzał Pepi i nagle ze zgrozą poczuł szalony, rozkoszny ból w sercu.

O, Boże! Więc to nieśmiertelne jak piekło, jak niebo!

Ale już wyrobiony był, hartowny w woli.

Rozmawiając swobodnie, zbliżył się do niej.

I ona go z dala spostrzegła i także nie zdradziła żadnego wrażenia.

Skłonił się głęboko; podała mu rękę obciążoną cienką rękawiczką. Dłonie ich zetknęły się przez sekundę, rozpalone, drżące... Nie rzekli słowa, witając się jak dalecy znajomi lub jakby się przed chwilą rozstali.

Tylko jej usta stały się jeszcze czerwieńsze, odbijając od smagłych policzków jak granat dojrzały.

I oto Józefowi wszystko znikło z oczu i pamięci, tylko ona została.

Ta sama była, smukła, zgrabna, o rękach drobnych i te toczonych kształtach, o wielkich gorących oczach, ten sam głos dźwięczny i ruchy eleganckie, żywe, srebrny śmiech nerwowy! ta sama... jego Pepi!

Nie, nie Pepi. To była jego młodość słoneczna, swoboda, jego marzenia i sny, i siła, i ideały, i wielkie, jak śmierć silne kochanie. Zabiła go, miała prawo, bo dała pełnię szczęśliwość i choć nigdy nie należeli do siebie, i świat stał między nimi, a jednak łączyła ich własność, posiadanie, związek nad kryształ czystszy, nad wszelkie przysięgi i śluby mocniejszy.

To wszystko jak piorun przeszło mu na duszę w jedną sekundę. Gdzieś w dal uciekały troski, rzeczywistość; ogarniała go młodość, odnajdywał siebie dawnego. Cudnie mu grało w sercu. A tymczasem wesoła doktorowa przypuszczała szturm do Pepi o śpiew:

— Cokolwiek, drobnostkę! Jesteśmy przecież w ścisłym kółku dobrych znajomych. Niech mi pani nie odmawia!

— Nie mam nut z sobą i nie umiem akompaniamentu! Doprawdy nie mogę.

— Panie Józefie, pan zaakompaniuje! — zaproponowała gospodyni.

— półtora roku nie dotykałem klawiszów!

— No, to pan dotknie! Zróbcie mi tę przyjemność na wiązanie!

— Ależ pan Reni nie potrafi bez nut zagrać! — odparła Pepi śmiejąc się.

— Pan Reni jest artystą... potrafi, jeśli zechce.

— Potrafi pan? — spytała Pepi mięknięc.

— Jeśli piosnkę, którą znam i pamiętam, to może!

— Ależ pamięta pan! Michaś mi powiadał, że państwo dawniej zawsze śpiewali razem. A skrzypce pana gdzie?

— To wszystko, pani, należy do historii. Za młodu niegdyś grywałem!

— No, chodźcie, chodźcie do fortepianu tymczasem!

— Służę pani!

Usiadł do fortepianu i wziął parę akordów.

— Co pani każe? — spytał.

— Co pan pamięta.

— Piosenki, które śpiewaliśmy, pamiętam wszystkie — odparł głucho.

— A zatem tę! — Wzięła parę akordów.

Zrobią się cisza. Michał spojrział na nich. I jemu stanął w oczach obrazek ze studenckich czasów, i on na chwilę zapomniał rzeczywistości.

Pepi śpiewała *Kalinę*. Znali ją wszyscy, a słuchali z przyjemnością. Głos dziewczyny zrazu drżał i łamał się, potem popłynął już czysty, pełen rozdzierającego, cichego żalu.

Gdy się śpiew skończył, długo jeszcze słuchacze milczeli, a Józef, coraz ciszej biorąc akordy, zupełnie oderwany od otoczenia, łowił dalekie echa.

— Jeszcze, jeszcze! — poczęto wołać. Teraz Reni nie czekał rozkazu. Swoich wspomnień słuchając, zaczął wtórować *Lorelei*.

I znowu śpiew popłynął, dla nich tak dwojga bardzo pamiętny. Gdy przebrzmiał, Pepi nie patrząc nań rzuciła:

— Dosyć! — I odeszła prędko.

On roztargniony wstał i sięgał po kapelusz, szukając w tłumie gospodyni domu.

Michał spostrzegł ten manewr i wpadł nań oburzony:

— No, już to sobie wybij z głowy! Nie puszcze cię aż po kolacji. Pół roku nie byłeś i zbywasz jak etykietalną wizytę. Tego mi nie zrobisz!

— Wiesz, Michasiu, jakem rad u was zabawić, ale Liza i mnie czeka u dziadka. Obiecałem wrócić rychło.

— Ach, Boże mój... wielka rzecz! Poślij kartkę, że zostaniesz! Cóż ona za niańkę cię ma? Pracujesz jak wół... jeśli ma być zdrow, musisz się rozerwać. Czekaj, ja kartkę wyślę, że cię zatrzymał, i basta!

Do prośby przyłączyła się pani domu.

Reni ustąpić musiał i został.

Niepostrzeżenie czas upływał. Ani się obejrzał, jak wieczór nadszedł, w ogródku zapalono chińskie latarnie, ktoś ze starszych zagrał do tańca.

Na zwirowej ulicy ułożył się kontredans wśród śmiechu, żartów i szczerzej ochoty; pod kasztanem zapalono bengalskie ognie, starsi przypatrywali się zabawie wesołej młodzie.

Józef zbliżył się do profesorowej i rozmawiali o wspólnych znajomych i życia zmianach; pytała go życzliwie, jak mu się powodzi, opowiadała o swoich kolejach, pociechach, troskach.

W przerwie tańca Pepi spoczęła przy matce wachlując się, zgrzana, podniecona.

— Na takiej arenie zwykły walc jest niemożliwy! — rzekła. — Powolnego zaś nikt z panów nie umie!

Podniósł na nią oczy zamyśnione, smutne.

— Ja umiem... jeśli pani pozwoli sobie służyć...

— I owszem. Lubię bardzo tego walca.

Spiesznie naciągnął rękawiczki i wprowadził ją w koło tańczących.

— Z góry proszę o wybaczenie niezręczności — rzekł — ale oto od półtora roku nie tańczyłem.

— Nie uważam — odparła z uśmiechem.

Powolnym, wirowym ruchem okrążyli plac. Była to jakby kołysanka spokojna, wtór do rozmowy raczej niż szal. Nie mówili jednak nic, zbliżeni uściskiem, może jednakim wspomnieniem i chęcią.

Dopiero przy końcu, gdy ciężiej oparła się na nim, spojrzeli sobie w oczy i mimo woli z ust Józefa wyrwał się stłumiony okrzyk duszy rozteśknionej:

— O młodości moja!

Pepi zatrzymała się nagle jakby odurzona.

— Za długo tańczymy! — szepnęła.

Usunęła się, ciężko dysząc i dodała:

— Dziękuję panu!

Pozostał sam i niezdolny do obojętnej rozmowy, do widoku innych ludzi, schronił się na ustronną ławeczkę i długo się nie pokazał.

A potem była kolacja, toasty, rozmowy gwarne — nic tego nie słyszał; nie pamiętał też, jak się to stało, że o północy znalazł się na ulicy, przeprowadzając profesorową i Pepi do domu.

Rozmawiał z matką, dziewczyna nie odezwała się ani jednym słowem, i tak je pożegnał na progu ich domu, serdecznie zapraszany, by stare znajome odwiedzał.

Potem powoli wrócił do młyna. Kurs był daleki, ale noc śliczna, księżycowa, a on tyle miał myśli i wrażeń!

Dom zastał uśpiony, ledwie rozbudził starego sługę i dostał się do wnętrza.

Cicho, ostrożnie wślizgnął się do sypialni, aby żony nie zbudzić, i położył się, rad, że Liza śpi mocno, spokojnie.

Zaledwie jednak się uspokoił, usłyszał otwieranie drzwi od sypialni ciotki, jej chód ciężki, wreszcie ujrzał ją samą wchodzącą ze świecą w rękę.

Wtedy spojrzął na postanie żony i oniemiał.

Było puste.

Pani Joanna postawiła świecę i usiadła przy nim.

— Co to znaczy? Liza nie wróciła? — spytał.

— Wróciła, czekała na ciebie do dziesiątej, dostała spazmów ze złości i odjechała do Maltasa. Wzięłaś sobie jędzę za żonę! Dzięki Bogu, zem zawsze jej była przeciwną! Miałam dobre przeczucie. Żebyś mnie słuchał, byłoby inaczej. Jeszcze mój młyn nigdy podobnego skandalu nie widział.

Józef milczał. Po co miał podsycać triumf złośliwej ciotki. Nie poskarży się nigdy.

— Pojadę jutro po nią i przeproszę — rzekł siląc się na ton obojętny. — Istotnie postąpiłem nierozważnie. Niech jej ciotka daruje! Młoda jest i nie wyrobiona. Ma zaś gruntowne przymioty.

Pani Joanna porwała się z miejsca:

— Jeśli ci to dogadza, i to owszem! Ja z nią już długo obcować nie będę. A zdanie o niej mam swoje własne i pewne! Dobranoc!

Józef nie zasnął już tej nocy. Rano orzeźwił się kąpielą i pojechał do Maltasa.

Stary przyjął go kwaśno i protekcyjnie.

— Liza chora! Płakała noc całą! — odparł na jego pytanie o żonę. — Nie wiem, czy cię przyjmie. Bardzo jest rozżalona i słusznie.

— Przepraszam pana. Postąpiłem ledwie że nierozważnie, ona zaś opłacała skandalem. Ostatecznie nie mogę być niewolnikiem, a ona w ten sposób wystawia bardziej siebie niż mnie na śmieszność. Czy pan, gdy się ożenił, zerwał wszystkie towarzyskie i rodzinne stosunki?

— No, nie! — odparł Maltas mięknąc. — Ale, widzisz, ona cię bardzo kocha, jest tak nerwową i zazdrosną! Powinieneś to uznać i szanować!

— Zapewne, gotówem ją przeprosić; ale panie, czyż w ten sposób kogo się zjednywa?

— No, no! Pójdę ją trochę umitygować. Z kobietami trzeba ostrożnie. Wiesz, tak zgrabnie, cicho, ukośnie! Byle nie wiedziała, będzie spokój.

Zaśmiał się dopowiadając grą twarzy.

Józef ramionami ruszył.

— Chciałem ją traktować tym, co jest najlepsze, prawdą! Tym bardziej, zem dotąd nie miał żadnego fałszu na sumieniu. To bardzo smutne, że nie potrafiła ocenić!

Maltas wyszedł i dość długo zabawił, zanim wrócił prowadząc za sobą Lizę.

Józef spozjrzał na nią; miał dobrą chęć przeproszenia i zgody, ale zmroziła go nadąsanym, upartym, złośliwym pozorem.

Dobre jego postanowienie zamarło. Był sztywny, ledwie hamując niechęć i obojętność.

— Przepraszam cię, Lizo! Nie myślałem, abyś to tak wzięła do serca. Daruj i zapomnij! Doprawdy, nie chciałem ci uczynić przykrości.

Wyrwała mu rękę, którą chciał pocałować, i zwróciła się plecami.

— Nie potrzebuję twych przeprosin ani łask. Dzięki Bogu, mam tutaj dom i dostatek. Nie myślę wracać, aby być traktowaną jak ostatnia sługa.

— Ej, Lizo, uspokójże się! — perswadował Maltas.

— Ja mu tego nigdy nie daruję! — wołała dalej. — Za kogo on mnie ma? Cóż to, żebraczkę wziął z łaski? Otóż nie! Ja ze swoich praw ani na jotę nie ustąpię! On mnie wziął, więc musi pilnować, szanować, uważać. Nie ma prawa uganiać się za pannami po balikach. Nie ma prawa bawić się beze mnie. On nie dba o swe obowiązki, więc i ja o nie dbać nie myślę! Niech ma skandal i wstyd! Ja tego chcę!

Józef błądzący jak ściana, gryzł do krwi wargi, aby nie wybuchnąć. Kobieta mówiła dalej, coraz krzykliwiej: — Kawalera udaje, że plecami moimi romansuje najbezczelniej. Ze mną mu nudno! Życie mi zламаł, wziął za żonę, a teraz poniewiera! Ja na to nie pozwolę, znam swe stanowisko i nauczę go siebie szanować!

Tu rozplakała się, rozszoła łamiąc ręce. Maltas desperacko łysinę potarł. Józef przeszedł się po pokoju doprowadzony do rozpacz. Reszta uczucia, które dla niej miał,

zgasła w jego sercu wobec tego wybuchu, który odsłaniał wszystkie jej poziome uczucia i żądze.

Zatrzymał się wreszcie przed nią.

— Widzę, że dzisiaj nie przyjdziemy do porozumienia — rzekł, a głos mu drżał. — Może, gdy się opamiętasz, przyjdiesz do równowagi. Czekam na cię w domu, który też warto, abyś szanowała, bo niestety jest twoim.

Uścisnął dłoń Maltasa i wyszedł.

Wstyd mu było ciotki, służby, wszystkich, gdy tak wrócił z niczym.

Poszedł wprost do kantoru, nie pokazał się na obiad, wieczorem uciekł od Piotrusia i zaledwie późno w noc powrócił.

Nazajutrz jednak musiał się pokazać na śniadanie. Piotruś, pocziwy i delikatny, nic nie wspomniał, ciotka tylko rzuciła z przekąsem:

— Trzeba będzie mnie objąć klucze od magazynu, widzę. Zda się stara na coś.

— Dziękuję, ciociu! — odparł Józef spokojnie. — Mała będzie robota. Mąka znowu spadła w cenie.

— Nikt doświadczony nie kontraktuje takiej ilości zboża, ale kupuje małymi partiami — rzuciła pogardliwie.

— Stało się! — wtrącił Piotruś. — Po co się truć nieodwoalnym? Chodźmy do roboty, Józiu!

Na ganku, bez słowa, objął go za szyję i uścisnął. Jakże mu za to delikatne współczucie był wdzięczny biedak.

Nareszcie po południu powozem Maltasa zajechała przed dom Liza.

Józef ujrzał to z kantoru i nawet się nie ucieszył. Żona przestała istnieć dla jego duszy i myśli; zatopił się w ciężkich rachunkach strat i różnych bieżących wydatków.

Małżonkowie spotkali się przy wieczerzy.

Przez parę dni Liza trwała w uporze i złości, nie odzywając się do męża.

Potem nagle któregoś wieczora rzuciła mu się namiętnie w objęcia, nie rozumiejąc wobec swego szału żadnej godności, nie rozumiejąc nigdy natury męża.

Nie zadawała sobie nigdy trudu zajrzeć do jego duszy, zająć się jego myślą, duchowymi potrzebami.

Był jej mężem, musiał jej ulegać, ona zaś pilnowała tylko swych praw żony.

I dalej życie poszło, dzień po dniu do siebie podobny, każdy, zda się, dłuższy tylko do przebycia dla Józefa.



## VIII

Było to skwarne letnie południe.

Korzystając z niedzieli, pani Liza z Maricową wybrały się do miasta po zakupy różne. Piotruś uwolnił się jak zwykle.

Józef zerwał pęk sztamowych róż i poszedł na cmentarz.

Ciągnęło go tak często do ojcowskiej mogiły.

Cmentarz otulony był całym gajem lip w kwiecie, po których w wielkiej ciszy brzęczały roje pszczoł pracowitych i uwijały się motyle i ptaszki. Zresztą ludzki ruch i gwar tu u wrót się kończył i był tam spokój rzeczy bożych.

Reni bukiet na kamieniu położył, ukląkł i modlił się długo.

Z serca szła mu prośba potem skarga, a wreszcie z tego serca dręczonego poczęły sączyć się do oczu łzy gorzkie gorące i przytuliwszy się do płyty grobowej, zapłakał jak dziecko, pewny, że ci tam pomarli jedni tylko jego pożąają, pociechę dadzą.

Nie wiadomo, jak długo tak łkał w tym zakątku, raptem poczuł, że ktoś delikatnie dotknął jego ramienia, ktoś się do niego pochylił.

— Co panu? Mój Boże? Co panu? — zabrzmiał głos cichy, serdeczny.

Podniósł głowę rozpaloną i spojrzał wcale nie zdziwiony.

Któż inny miał prawo pytać go o to, co boli? Tylko Pepi. Wstał i z głębi serca odetchnął. Nie pytała więcej, odeszła nieco w bok i rzekła: — I ja na grób ojca przyszedłam. Rodzice pana niedaleko od niego spoczywają.

Dawała mu czas uspokoić się, nie chcąc współczuciem nawet rozdrażniać bardziej.

On machinalnie szedł za nią pod lipę stuletnią, na której grabarz ul zaciągnął.

Spoczęła tam na kłodzie zwalonej i dodała spoglądając po krzyżach:

— Tutaj spokojnie.

— Tak, tylko tutaj — odparł głucho. — Mądry, kto tutaj zmierza.

— Niestety... nie wtedy, gdy chcemy sami.

— Dlaczego? Człowiek nie powinien przeżywać śmierci swego ducha. Co wart ten zlepek krwi i kości, aby go dźwigać długie, ciężkie lata?

— Pan tak mówić nie ma prawa.

— Owszem, mam je. Pochodzę z rodu, który umierał, gdy chciał.

Spojrzała nań.

— Tak pani. Ojciec mój był samobójcą. Gdy stracił, co kochał, a zapomnieć nie mógł, kulą rozbił to serce, okropnie pamiętne. Swoje serce mnie przekazał w spadku, a teraz i moje tak boli... tak pamięta. I jemu się podobny spokój należy.

Wskazał kamień grobowy. Wzdrygnęła się przerażona.

— Panie Józefie! Niech mnie pan tego nie mówi!

— Tylko pani. Komuż innemu? Będzie pani wiedziała, że dobrze pamiętałem. — Objął rękami głowę i dodał gorzko: — Znadto dobrze!

Delikatnie położyła rękę na jego głowie i milczała. Długo tak trwali w ciszy. Wreszcie Reni oczy podniósł. Po licach Pepi płynęły ciche łzy.

I znowu nie powiedzieli słowa zapatrzeni na groby, wsłuchani w swe pamiętki.

— Żeby pan wtedy dał mi się opamiętać — szepnęła wreszcie.

— Tak — odparł cicho. — Postąpiłem jak szaleniec, w rozpacz strasznej po sponiewieranym wielkim uczuciu. Com ja za mękę przeszedł! Mściłem się na tym sercu, że czuło i łkało, gdym ja ustami plwał i szydził. Mściłem się brutalnie, ohydnie, a wreszcie zabiłem się do reszty. I doprawdy, mniej mnie boli nędza obecna niż tamto. Ha, już niczego mocno odczuć nie mogę. Nie ma mojej młodości! Teraz, dojrzały już, wiem, że źle postąpiłem.

Zdradziła mnie pani, odeszła, podeptała... trzeba było darować. Tak... alboż ją mogę coś innego czuć dla pani niż...

Zająknął się, powstrzymany jej ruchem.

— Nie ubliżam pani ani kłamię. Wiem, że nas wszystko dzieli, żeśmy straceni dla siebie. Wiem, że byłem dla pani przelotnym wrażeniem tylko. A jednak nie wstydzę się ani lękam powiedzieć pani tego słowa. To kochanie było we mnie szczytem człowieczego ideału. Jest moją największą chwałą.

Rozpromieniały mu oczy zawsze smutne, wypiękniały rysy.

Słuchała wzruszona. To wyznanie było triumfem, było niespodzianym wrażeniem.

Pepi żyła tylko wrażeniami. Lubiła zresztą i dawniej kult chłopaka; zabawiało ją to wtedy tak przyjemnie czas jakiś.

Zachowała dla niego w sercu pamięć i sympatię; chwilami czyniło to złudzenie uczucia. Teraz dała się unieść temu wrażeniu.

— Pamięta pani tor łyżwiarski, nasze piosenki i teatr? Pamięta pani? — szepnął rozmarzony, uśmiechnięty.

— Pamiętam! I skrzyпки pana, i nasze spacerunki, i rozmowy, i czytania. Często wspominam!

— Za wielkie było szczęście! O, będę ja do śmierci za nie panią błogosławił!

I tak ukołysani ciszą i spokojem na tej ziemi umarłych, gdzie nic nie dochodziło z ludzkich czynności i rozdzwiewku, wysnuwali złote nici swych wspólnych pamiątek, ze czcią mówiąc, ze smutkiem łagodnym i poważnym, oboje wzruszeni jak w świątyni.

Mówili jak o czymś umarłym tylko docześnie, a nieśmiertelnym i duchowo wyszlachetnionym. Wokoło nich groby kwitły, słońce złociło drzewa i zapach kwieciska lip przejmował powietrze. Monotonnie pszczoły brzęczały.

Wreszcie i oni umilkli, i siedzieli ręka w ręce jakby spoczywając po wielkim trudzie.

Pepi pierwsza pomyślała o rozstaniu.

— Odchodzi już pani? — spytał żałośnie.

— Muszę wracać do domu!

— Ach, żeby już nie wrócić! — rzekł rozpacznie. — Kiedyż panią zobaczę?

— Proszę nas odwiedzić.

Machinalnie zerwała kilka kwiatków lipowych, wyprostowała się, obejrzała z żalem i dodała:

— To wszystko być nie powinno. Będzie odnowieniem bólu tylko. Ale dziękuję panu!

Uśmiechnęła się smutna i podała mu kwiaty.

— Niech pan pamięta, że one z cmentarza.

Wyszli na drogę i raz ostatni uściskali sobie dłonie, rozchodząc się w dwie przeciwległe strony. Gdy się obejrzał na swoim już gruncie, ujrzał jeszcze jej sylwetkę z dala.

Westchnął i wszedł do domu.

Nikt jeszcze nie wrócił. Mógł jeszcze chwilę przebyć spokojnie, dumając w ganku.

Wreszcie ukazał się zaprząg Maricowej.

W milczeniu pomógł kobietom wysiąść i poznosić paczki różne.

Podczas gdy ciotka rozwijała i sprzątała sprawunki, Liza opowiadała nowiny zebrane.

— Młynarze znowu zniżyli cenę mąki! A twoi dostawcy zboża drwią z ciebie najbezczelniej. Powiadają: niech płaci, ma z czego. Wziął bogatą żonę! Oto masz za swą wygórowaną delikatność! Dziadek twierdzi, że nigdy dobrym kupcem nie będziesz!

— Ja wam to samo mówiłem. Po coście mnie na kupca pasowali? — odparł ruszając ramionami.

— Jeszcze jedna wiadomość: Piotruś zaciąga haniebne długi. Gra w karty namiętnie i utrzymuje jakąś pannę, z którą chce się żenić.

— Rzadko się to zdarza, ale przecie bywa! — zaśmiał się, podziwiając jej przyjemność w czynieniu przykrości.

— Jeśli cię to bawi, winszuję! — oburzyła się. — Dzięki Bogu, nie jest moim bratem.  
— Dzięki Bogu też, nie jesteś moją siostrą! — odciął dwuznacznie.  
Nie zrozumiała jego myśli. Owszem, pochlebiło jej to.  
— Tak, wolę być żoną! — odparła opierając się o niego.  
Nagle przypomniała sobie coś, usunęła się.  
— Podobno u doktora Michała było bardzo wesoło na imieninach. Tańczono, ty śpiewałeś!  
Tak, w domu to siedzisz jak mruk. Wszystkich zabawiasz oprócz mnie!  
— Wcale nie śpiewałem.  
— Kłamiesz!  
— Lizo, używaj, proszę, trochę gładszych wyrażań!  
— Nie chodzi o wyrażenie, ale o fakt. Śpiewałeś... mówiła mi radczyni sama... z tą... tam... spod „Snopa!” Dawny twój ideał i zarazem ideał całego uniwersytetu... i w ogóle miasta. Nie bardzo jesteś wymagającym!  
— Dałabyś ideałom spokój. To kwestia dla ciebie niedostępna! Powtarzam, że nie śpiewałem, i temu możesz wierzyć! Zresztą prosiłem, abys ze mną tam poszła. Użyłabyś tej zabawy.  
— Nie mam czasu na podobne głupstwa. Ludzie, co mają interesy, rodzinę i pracę, powinni domu pilnować, a nie narażać się na krytykę i śmieszność, błądząc z młodzieżą.  
Józef ramionami ruszył, wziął kapelusz i poszedł do kantoru. Wśród zimnych tych, pustych ścian miał przynajmniej spokój dla uszu.  
W tydzień potem, w przeddzień dostawy wielkiej partii zboża i terminu wypłaty, Reni po długim rachunku i namyśle otworzył kasę.  
Była pusta zupełnie. Młody człowiek długo smutnym wzrokiem patrzył na nagie przedziały, wreszcie sięgnął w głąb, gdzie białe dwie zapisane koperty. Leżały tam nietknięte, jak mu je ciotka dała wraz z całym młynem.  
W jednej, zapisanej: „Legat imć Adolfowej Reni dla Piotra Reni”, mieściły się weksle i kwity Piotrusia, druga zawierała jego część, dotąd nienaruszoną.  
Ciotka zostawiła je w biletach bankowych, które Józef teraz wydobył, zliczył i, westchnąwszy, wsunął do pugilaesu.  
Pustą kopertę wsunął na powrót w głąb kasy. Potem ubrał się porządnie i ruszył do miasta, opowiedziawszy się żonie, że wróci za parę godzin.  
W kantorze wekslowym, gdy podał swe nazwisko przy sprzedaży biletów, bankier głową pokiwał.  
— O, znak to ciężkiego zastoju w handlu, gdy pański młyn zmienia bilety na gotówkę! — rzekł.  
Józef się uśmiechnął z przymusem.  
— Ano, czas płaci, czas traci! — odparł spokojnie, zgarniając pieniądze.  
Będzie miał spokój na długo teraz.  
Co ciężko się zaczyna, rozpromieni się w końcu.  
Ciężko mu przyszło pozbyć się jedyne go zapasu, ale po fakcie spełnionym rad był, że to uczynił, dotrzyma wszystkich zobowiązań.  
Droga z powrotem wypadła mu dziwnie. Znalazł się pod domem profesorowej.  
Zawahał się sekundę... i zadzwonił.  
Pepi była sama. Przyjęła go uśmiechem szczerzej radości i zatrzymała kilka godzin w altance.  
Jak mu ten czas uleciał, ani się spostrzegł.  
Dowiedział się z rozmowy, że chodziła co dzień sama nad zatokę, pod wierzbę, z wędką i książką. Było tam tak ustronnie i cicho...  
Zamyślony wracał do domu. Od pewnego czasu życie w młynie mniej go męczyło, trud wydawał się lżejszym, wieczory mniej trudne do przebycia.

We śnie i na jawie obraz Pepi zasłaniał mu czarną dolę, rozjaśniał mroki, odrywał od otoczenia. Żył w ciągłym marzeniu, w fantazji.

Liza zdawała się tego nie rozumieć i nikt nie wiedział, co za talizman miał ten człowiek, by nigdy nie stracić pogody i cierpliwości.

Tego dnia raz pierwszy skłamał przed żoną.

Za powrotem przyszła Liza do kantoru.

— Co porabiałeś w mieście? — spytała.

— Miałem rachunek u piekarza z ulicy Kowalskiej.

— Nie widziałeś kogo znajomego?

— Nie.

— A masz pieniądze na jutro?

— Mam.

Pani Liza, urażona lakonizmem odpowiedzi, wyszła trzaskając drzwiami.

Nazajutrz przyjmując zboże ujrzała zajeżdżający pod magazyn furgon piekarza z ulicy Kowalskiej, stałego ich kundmana\*, nigdy nie wypłacalnego.

— A co tam, panie Balcerze? Wczoraj mój mąż przypomniał panu naszą mąkę! — rzekła uprzejmie.

— Ej, nie; pan Reni nigdy do mnie nie wstępuje, gdy jestem winien, jak teraz. On taki delikatny, taki uważający! Zna moją naturę, że gdy mam, odnoszę sam. Dawnom go już nie widział. Pójdę po kwit na mąkę i zapłacę należność.

Liza zachwiała się, poczerwieniało jej w oczach. Więc kłamie, oszukuje ją, nędznik!

Nieprzytomna z oburzenia, myliła się wciąż w wadze. Z progu przyglądał się jej Piotruś, świadek rozmowy i wrażenia. Pusty śmiech go dusił na widok bezsilnej wściekłości.

Raz i drugi poprawił ją w rachunku, wreszcie sam stanął przy wadze, widząc, że nie ma głowy do rzeczy.

— Niech pani co rychlej wyrzuci alterację\*, bo żółć panią zaleje! — rzekł szyderczo.

Milczała zbierając zmysły, knując zemstę, odwet.

— Uch, jaka pani zazdrosna! — ciągnął dalej, uśmiechając się złośliwie. — Niezdrowa to namiętność... Szkodzi wdziękowi, zdrowiu, psuje charakter, a doprowadza do uznania swej niedoskonałości. Tylko słońce wystarcza jedno człowiekowi, a zresztą nic, a najmniej już żona. Trzeba się na to zgodzić albo nie iść za mąż.

Gdy milczała dalej, począł deklamować:

Strzeż się, pani, zazdrości, o! strzeż się  
Tego potwora zielonookiego,  
Co żyje karmą własnego wytworu...

Wybuchnęła wreszcie.

— Milczże pan, proszę! Obadwa jesteście bez czci i wiary, warci siebie! O Boże! Między jakich ludzi się dostałam!

— To pewna, że nie w swoje towarzystwo! — zaśmiał się dedykując ironiczny ukłon.

Piekarz wracał z kantoru z kwitem, rozmowa się skończyła. Piotruś ruszył do brata.

— No, nie chciałbym pić tego piwa, któregoś sobie nawarzył. Ten stary wykrył twoje wczorajsze kłamstwo. A widzę z miny twojej Lizy, że wyszpera, gdzie naprawdę bawiłeś.

— Bardzo łatwo — odparł zimno Józef. — Zmieniałem swoje bilety u wekslarza, a nie powiedziałem, żeby nie triumfowała, że bankrutuję.

— Naprawdę nigdzie indziej nie byłeś? Ej, Józik, mnie nie zamydlisz oczu. Z kim to zeszedł niedzieli przesiedziałeś tyle godzin na cmentarzu? Ech, mój stary, dawna miłość nie rdzewieje. Ostrożnie tylko! Już was ludzie spostrzegli... Będzie źle gdy radczyni się dowie;

\* K u n d m a n (niem.) — klient.

\* a l t e r a c j a — wzburzenie, niepokój.

będzie skandal, gdy twoja żoneczka wpadnie na trop. Szkoda mi was, dziewczyny szczególnie. Lubię ją.

Józef, pochylony nad biurkiem, milczał.

Czoło jego nabiegło krwią, usta drżały. Lubił brata, wierzył jego życzliwości i współczuciu, ale nie mógł mówić o tym z kim innym prócz niej jednej.

— Posłuchaj mojej rady! — ciągnął dalej Piotruś. — Jeden z synów radczyni potrzebuje kaucji. Baba szuka pieniędzy. Idź, daj jej ten tysiąc, choćby na przepadłe. Kupisz sobie nie milczenie, bo ona milczeć nie potrafi, ale sprzymierzeńca bardzo czynnego. Pospiesz się z tym, bo jeśli cię Liza uprzedzi, wpadniesz w ohydne błoto.

Józef porwał się z miejsca, oburzony.

— Czy ty sądzisz, że mam jakiś wstyd lub hańbę, żebym się od niej w ten sposób bronił? Myślisz, że my z panną Józefą mamy brudny romans z sobą? To się grubo mylisz! Nie będę się opłacał plotkarkom ani się nawet krył od dzisiaj. Niech, kto chce, śledzi, szparą podpatruje. Cóż znowu! Nie mogę mieć nawet prostej towarzyskiej znajomości — ani przyjaźni poza tym domem, który...? Ach, nie warto mówić dalej! Jestem na wszystko przygotowany, ale tego sobie wziąć nie dam.

— Mój drogi, prawisz jak dziecko naiwne! — odparł Piotruś ruszając ramionami. — Źle robisz, że moją radę odrzucasz, zobaczysz! Stosunek wasz z panną Józefą może być czysty jak kryształ, ale ludzie w podobne nie wierzą i zamieszczą go w rubryce zwykłych miłostek. Zgubisz jej opinię, stracisz sam ludzki szacunek, zrobisz sobie dopiero rzetelne piekło w domu. Zresztą, idziesz na oślep przed siebie... Do czego? Co za koniec będzie? Pomyśl!

Nie, Józef o tym nigdy nie pomyślał. Po co? Wiedział, że kochać nigdy nie przestanie; wiedział, że ona go zaledwie lubi; wiedział, że wszystko ich dzieli.

— Koniec... — powtórzył zamyślony — to śmierć!

— Nie — zaprzeczył Piotruś. — Koniec to długie, puste życie lub skandal głośny! Jeśli ci teraz dobrze i chcesz, by tak długo trwało, idź z pieniędzmi do radczyni. Wierz mi, wojuj gotówką, nigdy ideałami.

Józef zamilkł i wziął się do pisania.

U drzwi dzwonek zajęczał — wszedł ktoś z interesem.

Piotruś ruszył do młyna.

Przy obiedzie i wieczerzy pani Liza nie wszczęła kwestii, była niezwykle spokojna.

Zdziwiło to Józefa, który oczekiwał sceny i był do niej przygotowany.

Zaniepokoił się, począł rozważać radę brata. Rozmyślał dni kilka, wreszcie pojechał do radczyni.

Spotkał ją na ulicy i bez wstępu sprawę zagaił:

— Podobno kuzynka potrzebuje tysiąca kaucji dla Sewerynka? Mógłbym usłużyć!

— Dziękuję ci, mój drogi, ale już mnie poratowano! I to właśnie twoja żona! Przypomniła sobie poczciwa, że trochę się przyczyniła do waszego szczęścia, i przyszła z pomocą w potrzebie. Nie zapomnę jej nigdy tej przysługi. Bo wiesz, jak się rzecz miała z Sewerynkiem...

Tu nastąpiła długa narracja, której Józef wysłuchał myśląc o czym innym.

Pożegnał ją wreszcie, odprawił konia do domu i sam poszedł nad rzekę.

— Niech woda płynie! — zamruczał do siebie. — Uprzedziła mnie, niechże kopie i ryje!

Tego dnia nad zatoczką pod wierzbami spędził parę godzin samotnych. Pepi śledziła ruch pławika u wędki; on, siedząc u jej stóp, czytał jej z cicha poezje Sully Prudhomme'a.

Delikatnie woda szemrała i wiatr warkoczami wierzb kołysał, słońce siało się przez gałęzie i pieściwie snuły się wiersze:

*S'asseoir tous deux au bord d'un flot qui passe,  
Le voir couler.*

*Tous deux s'il glisse un nuage en l'espace  
Le voir glisser.*

Chwilami podnosili na siebie wzrok lub przerywała skupienie rybka drobna, zadzierzgnięta na haczyk wędki.

Pepi się wtedy radowała ogromnie. Reni zdobycz odczepiał, zakładał nową przynętę i znowu dźwięczny jego głos czytał:

*Entendre au pied du saule, ou Veau marmure,  
Ueau marmurer.  
Ne pas sentir, tant que ce reve dure,  
Le temp durer.  
Mais n'apportant de passion profonde  
Qu'd s'adorer,  
Sans nul souci des querelles du monde  
Les ignorer!*

Gdy potem wracał sam, długą drogą, jeszcze niewytrzeźwiony, smutny i szczęśliwy zarazem, w pamięci brzmiała mu ta sama poezja i powtarzał ją rozmarzony.

*Et seuls, perdus devant tout ce qui passe  
Sans se lasser,  
Sentir l'amour devant tout ce qui passe  
e point passer!*

---

Tryb życia we młynie zmienił się doszczętnie. Pani Liza teraz często bywała w mieście wieczorami... Gdzie? Mąż nigdy nie pytał i nawet rad był temu.

I on się często oddalał, również nie indagowany przez żonę.

Nieobecność Lizy niepokoiła Piotrusia, który przeczuwał wiszące nad bratem nieszczęście.

Nieobecność Józefa gniewała ciotkę, która czuła, że o młynie nikt oprócz niej nie myśli.

Tych dwoje zostawało często samych wieczorem i wtedy Piotruś triumfował.

— Uważa ciocia, jaki ze mnie stateczny człowiek wyrósł! — żartował. — Mogłaby mi ciocia już znowu długi popłacić... to już będzie raz ostatni.

— Moje trochę grosza... ty weźmiesz, ale nie teraz. Poczekaj... niedługo już może. Za życia nie dam, bo widzisz... z młynem źle. Liza go kupi... do tego idzie. To i dobrze będzie, bo Józef powinien mieć rozsądną dyrekcję, ale ja u Lizy na łasce być nie chcę... ani nawet u nikogo z was. Nie, nie!

— Broń Boże, nie chcę cioci ograbiać. Tylko i ja dość długo jestem u nich na łasce. Żebym i potem nie został. Może by ciocia dla mnie kupiła kawałek ziemi. Miałbym i ja gdzie gniazdo sobie założyć.

— Pomyślę o tym. Poczekaj! — zbywała go zawsze.

Chłopak czekał. Tylko jego niefrasobliwy charakter a humor pogodny mógł znieść to czekanie. Coraz natarczywiej cisnęli go lichwiarze — okupywał się nowymi wekslami; coraz gorzej dokuczała mu miłostka, z której wypłacać się mógł tylko grubą sumą.

Cierpiał i czekał, żyjąc nadzieją spadku, odpędzając kłopoty jak robactwo wstrętne, w gruncie rzeczy tak znudzony i zmęczony obecnym życiem, że zaprzysiągł sobie prawdziwą, rzetelną zmianę... skoro tylko raz jeszcze uczuje się wolnym.

Tymczasem nad młynem wisiła złowroga cisza — gotowało się coś bardzo złego.

Upłynęło lato. Pewnego dnia Józef otrzymał bilecik od Pepi wzywający, aby do nich przyszedł. Tknęło go coś. Od niejakiego czasu dziewczyna oddaliła się od niego, bywała roztargniona, niecierpliwa, kapryśna.

On sam zauważył pewną sztywność w zachowaniu się znajomych, parę razy odczuł w rozmowie złośliwy dwuznacznik.

Teraz, nie wiadomo dlaczego, wszystko to sobie przypomniał i krew mu uderzyła do twarzy. Uczuł się ujętym w sieć plotek i brudu. Schował kartkę i bezzwłocznie ruszył na wezwanie. Pepi znowu zastał samą w saloniku, gdzie ogień tłał w kominie, czerwono barwiąc ściany i sprzęty. Dziewczyna przywitała go milczącym uściśnieniem dłoni, nie przerywając prędkiej, niespokojniej po pokoju przechadzki.

— Spotkała panią jakaś niepomyślność? — spytał.

— Wyjeżdżam stąd. Chciałam pana pożegnać — odparła przez zaciśnięte zęby.

Poblądł i zachwiał się.

— Daleko odjeżdża pani? Na długo? — spytał głucho.

— Do Ludki tymczasem. Mąż jej ma urząd w stolicy. Zabawię tam, dopóki matka tutaj swych interesów nie urządzi. Potem zamieszkamy razem... gdziekolwiek.

— Więc się już na zawsze pożegnamy! — zamruczał z dziwnym spokojem. — A dlaczego wyjeżdża pani?

— Dlatego, że wczoraj otrzymała list od żony pańskiej, w którym mnie zaklina, abym jej z drogi ustąpiła. Wątpię, czy mnie pan tak bardzo kocha, jak jej się zdaje, ale żal mi się jej zrobiło.

— I odchodzi pani... dla niej... ode mnie! — rzekł gorzko. — Tak, to słuszne. Na fali pisze tylko szalony. Tedy żegnam panią!

Drżały mu wargi i rozpacz rozsądzała piersi.

— Bodajże pani raz w życiu pokochała tak jak ja, i sobie podobnego! — rzucił dziko, cofając się do drzwi.

Zastąpiła mu drogę wyciągając rękę. I ona była podniecona, rozżalona okropnie.

— Nie, nie tak! — zawołała. — Tak pan się ze mną nie rozstanie. Pan zbyt dobry na to.

— Dobry! — wybuchnął. — Bodaj się dobrzy nie rodzili zatem, jeśli ich los ma być memu podobny!

— Czy pan myśli, że szczęśliwsza od pana?

— Tak, bo pani nie kocha.

— Dlaczegoż mi zatem tak ciężko rozstawać się z panem? Dlaczego mi brak pana? Dlaczego mi z panem tak dobrze?

— Więc nie odchodź! Niech nasze oczy się czasami spotkają, niech myśli i słowo się zejdzie, niech serce spoczynek znajdzie. Nie odchodź, marzenie moje! Potrząsnęła głową.

— Niemożliwe! Wszystko nas dzieli. Pan ma obowiązki, dom, żonę... ja matkę! Czy mogę narazić ją na to, by jej ludzie donieśli, że my się kochamy... tak, jak się ludziom zdaje? To by ją zabiło, a ja mam ją jedną i jestem dla niej wszystkim w życiu. Nie mogę, nie mogę! Muszę odejść. Pan mnie zrozumie, daruje, potem zapomni... może po latach spokój wróci panu i będziesz mi wdzięcznym za to, za co dzisiaj wyklinasz.

Szarpnął się, wyrwał dłoń z jej uścisku.

— Tak, spokój mi wróci, pani, i będę ci wdzięczny, prędko już. Czas skończyć, czas!

— Tego nie uczyni pan, nie! — zawołała ze zgrozą, czytając mu zamiar z oczu i rzucając się ku niemu, jakby sobą zakryć chciała przed straszną mocą, która go uchwycić miała.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się dziko.

Wtedy w rozpacz, w lęk, w żal, objęła go ramionami za szyję i przyciągnęła do siebie namiętnie.

— Nie, nie, nie dam! — powtarzała. — Zostanie pan! Na nasze kochanie błagam, na pamięć matki, na Boga! Nie uczyni pan tego!

Szalenie biło jej serce i łzy rzuciły się do oczu.

— Całe życie szanowałam pana, całe życie kochanie nasze było nad ziemią, bólem wyszlachetnione. Świeciło mi jak gwiazda! Jeśli kiedy dobrą byłam, to przez wpływ pana; jeśli kiedy wyższą się czułam, to przez pana uczucie. Daruj mi, wzięłam ci szczęście, zniszczyłam dolę... Nie karz! Bądź dobrym do końca. Zginę, gdy uczynisz to okropne, o czym myślisz! Patrz, i ja nic nie mam w życiu, i mnie pusto! Ty zostań! Wszystko minie. Niech nam to cierpienie zostanie czyste, niczym nie skalane.

Namiętnie tuliła się do niego, jękając bezładnie, bez namysłu żadnego, na nic niepomna oprócz trwogi okropnej.

On w milczeniu przycisnął ją do siebie i słuchał pasując się z sobą.

Potem nagle pochylił się i począł całować jej skronie, oczy, dysząc ciężko, zwalczony znowu jej wpływem wszechpotężnym.

Nie broniła się, usuwała się tylko łagodnie, nie przestając prosić.

— Uczynię, co zechcesz; spełnię, co każesz — szeptała — tylko mi obiecaj zostać! Powiedz: nie uczynisz tego okropnego?

Odetchnął z głębi piersi.

— Pepi! — szepnął.

— Co serdeczny?

— Uczynię i ja, co chcesz; a ty pocałuj mnie raz jeden na całe długie życie bez ciebie!

Ze stłumionym okrzykiem upojenia pochyliła się do jego ust i całowała długo, długo, całym sercem, chcąc mu, zda się, za wszystko wynagrodzić, za wszystko przebłagać, do śmierci zostawić wspomnienie tego ostatecznego rozstania. Aż zachwiała się wreszcie, rozplotły się jej ramiona, oczy błagalnie spojrzały.

Wtedy on zatoczył się, jęknął i jak szalony uszedł nie rzekłszy słowa...

Całą noc przeleżał na ojcowskiej mogile, chłostany wichrem, deszczem, nieczuły na nic.

Nazajutrz jak automat poszedł do kantoru.

Pani Liza nie rzekła nic, była zupełnie z taktem i miarą. Ciotka tylko spytała go, czy nie chory, a nie otrzymawszy odpowiedzi stęknęła desperacko.

Piotruś nie był też na śniadaniu.

Józef próbował pracować, nie mógł. Siedział tedy za biurkiem i nawet nie myślał.

Czuł nieznośne klucie w piersi i dreszcze, w oczach miał mgłę szarą, głowa gorzała.

O południu zjawił się Piotruś, trzymając pod ręką szarego, kudłatego pieska, zmoknięty i zabłocony.

— Byłem na dworcu! — rzekł lakonicznie. — Masz, psa ci kazano oddać; wiesz, jak się wabi... Proszono, żebyś o nim miał staranie. No, to i wszystko! Ale pies *de iure*\* będzie niby mój znajda... Rozumiesz?...

Pocziwy chłopak puścił pieska na podłogę i wyszedł. Nigdy już potem sprawy tej nie wspomniał.

— Jo, chodź tutaj! — zawołał Józef.

Piesek znał go dobrze, przywitał i, jakby przyjmując służbę, ułożył się zaraz do spoczynku u nóg nowego pana, w koszu od papierów.

Dwa dni trzymał się Reni na nogach nie tykając jadła, nie śpiąc i nie odzywając się prawie.

— Możesz chory? — pytała żona. Ruszał w odpowiedzi ramionami.

To wyprowadziło Lizę ze sztucznego spokoju i miary. Gdy na trzeci dzień znowu nie tknęła śniadania, a na jej prośby odburknął opryskliwie, wrodzona jej gwałtowność wybuchnęła.

Porwała się od stołu i wyszła do swego pokoju. Józef apatycznie powlókł się do pracy. Zaledwie jednak otworzył torbę pocztową z ranną korespondencją, do kantoru wpadła Liza.

— Mam tego dosyć! — krzyknęła. — Mam dosyć wstydu i upokorzenia. Patrzeć na twą rozpacz po kochance, ja, żona uczciwa! Miałam litość dla ciebie, chciałam oszczędzić, gdy

\* *de iure* (łac.) — formalnie, prawnie.



sobie precz poszła! Ale ona cię jeszcze opętała, żebyś nieobecna opłakiwał. Postawiła się w roli ofiary mojej... ta... twój ideał. No, to masz, zobacz, jaki on ten... ideał.

Przeczytaj, czym byłeś dla niej, głupcze! Dowiedz się prawdy wreszcie, może cię to opamięta. Masz, to jej listy do Gustawa z czasów, gdyście grali ten teatr... cha, cha! Zapłaciłam za te listy tysiącem, daję ci darmo!

Rzuciła na biurko paczkę zmiętych kopert i wyszła śmiejąc się brutalnie.

Józef oszołomiony potokim słów spojrział na pismo. Tak, to Pepi pisała.

Wstręt miał do otwierania cudzych korespondencyj, ale ta snadź już publiczną była.

Coś go przecie wstrzymywało, przecucie nowej niedoli i zawodu. Z ręką na papierze poszedł myślą w te czasy, zali cię jakiś mógł być podejrzenia, fałszu? Nie, te czasy do niego należały, jego były wyłącznym skarbem. Spojrział tedy na datę, ale tej nie było; bileciki kreślone naprędce na eleganckim, wonnym papierze. I zapach ten znał, zwykłych Pepi perfum.

Już czytał, pierwszy obojętnie, drugi już z rozbudzonym zajęciem, trzeci z gorączką w oczach.

Litery występowały mu krwawo z papieru, przybierały formy figurek dziwacznych, skaczących, podrygujących, śmiejących się na całe gardło.

I czemu się śmiać nie miały? Opisywały przecie rzecz wesołą, romansik, dzieje bardzo gorącego serca swawolnej dziewczyny, jej namiętne okrzyki, pieszczotliwe wezwania, miłosne szepty i upojenia. Przy tym mówiły o jej bojaźni, by się to nie odkryło, o rozdrażnieniu, że jej inni przeszkadzają, nudzą, gniewają, a ona to znosić musi, byle mieć spokój!

Józef jeszcze oczom nie wierzył — nie, to nie jego czasy. Aż nagle w czwartym liście nazwisko swe ujrzał i przeczytał przecie zdanie Pepi o sobie:

Tylko mi nie dokuczać Renim, nie robić scen zazdrości, nie myśleć Bóg wie czego! Doprawdy, lubię dzieciaka, taki młody, naiwny, zabawny, tyle w nim towarzyskich zalet. Któż by mi teatr urządzał? Któż by drobne interesy załatwiał? Pasowałam go tedy sobie na adiutanta przez tę zimę! Czy się kocha? No, tak, trochę; pisze mi ody, z których ostatnią załączam; gra na skrzypcach, śpiewa. Zupełnie zresztą przyzwoity, a taki zabawny w swej nieśmiałości! Dziwna rzecz! Marzycielstwo jego i mnie upaja; słuchając gry lub rozmowy i ja marzę — o kim? Wiesz dobrze! Przyjdź dzisiaj! Trzy dni nie widzieliśmy się. Opowiem o Renim resztę, aby, jak zwykle, nie było między nami tajemnicy.

Bardzo już dalekim był teraz Józef od tego obrazu. Nie zapłakał, nie desperował, nie pędził szukać w samotności ulgi.

List powoli odłożył i dalszych już nie brał do rąk, tylko w nie się wpatrzył i dziwił się, że ich porachować nie może. Dwoiły się, troiły, napełniały całe ogromne biurko, spadały na podłogę, wirowały w powietrzu.

W ustach czuł smak atramentu, w uszach huk maszyn jakichś; wreszcie zdało mu się, że sam jest maszyną, z której pas zsunięto, a ona rozpędem jeszcze idzie, coraz wolniej, wolniej... wreszcie stanęła. Chwilowej doznał ulgi.

— To reszta! Być więcej nic nie może! Odpocznę! — wyszeptał nie poznając własnego głosu.

Znowu listy ujrzał i poczerwieniał ze wstydu.

— Żebym ja sam je czytał tylko, żebym ja jeden ją poznał... ale tamci, tamci!

Prędko, gorączkowo zebrał te dokumenty, włożył do pieca, podpalił, poczekał, aż spopielały.

Teraz z pamięci ludzkiej ulecą, zatarte nowymi skandalikami; nikt po nim ich nie dostanie, a on zachowa w pamięci zawsze świeżą... pamiątkę ostatnią po Pepi...

Nazajutrz Józef już nie poszedł do roboty.

Leżał ciężko chory i mającąc w gorączce, powtarzał powolnie wciąż tę samą skargę:

— Com ja ci zawinił, żeś mnie zabiła? Com ja ci zawinił?

Pani Liza łamała ręce w rozpacz, szlochała bez ustanku, napełniała dom lamentem.  
Skargę tę stosowała do siebie!

## IX

Nie wiadomo, co się owej nocy działo z Maricową.

Może sen miała lub widzenie, może zdało się jej, że mąż nieboszczyk stanął przy niej i szarpiąc za ramię budził, pokazując w okno!

W domu oprócz niej byli tylko Józefowie, bo Piotruś wyjechał w interesie technicznym do stolicy na cały tydzień.

Stara obudziła się, krzyknęła okropnie.

Cały pokój oświetlony był krwistą łuną, naprzeciw okna... młyn jej się palił.

Ogień wybijał się już przez okna, lizał dach.

Maricowa porwała się z pościeli, dopadła okna, spojrzęła, wrzasnęła raz jeszcze okropnym głosem i upadła naprzód z rozkrzyżowanymi ramionami, głową uderzając w szybę.

I tak pozostała, przez pół przewieszona, bez życia, ducha, martwe oczy wlepiając w pożar, z zastygłym w nich strachem i obłędem.

Krzyk jej zbudził Józefa. Ocknął się, nie bardzo jeszcze otrzeźwiony ze snu, gdy wtem łoskot, trzask, huk wstrząsnął całym domem.

To we młynie waliły się górne kamienie, łamiąc piętrowo, otwierając zniszczeniu prostą drogę, rozbijając się od żaru w kawały. Reni w sekundę był ubrany i wyskoczył na ganek. Za nim wypadła Liza.

Wtedy dopiero stróż nocny począł dzwonić na trwogę, ludzie wypadli z mieszkań nieprzytomni, oszołomieni widokiem zguby.

— Lizo, idź do ciotki! — krzyknął, a sam, wołając ludzi, rzucił się do składu sikawek.

O ratowaniu młyna nie było co myśleć, nawet przystąpić nie było doń można — żar tamował oddech, smażył skórę, płomień już objęły dach, wewnątrz waliło się wszystko, mur pękał.

Józef też obsadził tylko ludźmi dom i magazyn, najbliższe budynki.

Sam stał u pompy, pracując za trzech; woda, zlewana na dach, parowała; ziemia była gorąca, płomień biegły do rzeki, próbowały ugryźć wielkie koło wodne, lizały dyle upustów przesiąkłe wilgocią i wiatr się zerwał, miotając łuną jak chorągwią, wrywając z niej pasma dymu, niosąc żużle, skry, rozdmuchując ogień.

W tym dzikim świetle nagle na ganku ukazała się Liza, ledwie odziana, z warkoczem rozartanym, zielonoszara na twarzy.

— Józiu, Józiu! — poczęła wołać przeraźliwie. — Chodź tutaj! Ratuj! Ciotka umarła! O Boże! Boże!

Reni puścił z rąk rękojeść pompy i oślepiiony iskrami, dymem, gorącym poskoczył do domu. Nie wierzył Lizie wystraszonej.

— Co ci się zdaje? — zawołał. — Zemdlała zapewne z wrażenia. Cucić ją trzeba.

Pochylił się szukając serca, oddechu i odstąpił z głuchym stęknieniem.

— Już cierpieć nie będzie! — zamruczał.

Gorąco pożaru napełniało już pokój, szyby pękały w oknach, na podwórzu, oświetlonym jak w południe, rósł gwar, szum, trzask.

— Boże, magazyn już się zajął! — jęknęła Liza. — Wołaj ludzi, wynośmy sprzęty z domu! Ach, moje pieniądze!

Wybiegła, a w tej chwili od podwórza dobiegł okrzyk:

— Odstąpcie od magazynu! Już po nim! Na dach domu, na stajnie, na kantor!

Józef od oblicza ciotki oczy zwrócił: dach magazynu już się palił jak pochodnia.

Teraz dom idzie z kolei. Nie dbał w tej chwili o nic, nie rachował, co traci, tylko się przeraził o całość tych zwłok wkoło płomieniem objętych.

Rozejrzał się, porwał kołdrę, owinał w nią trupa i wyniósł w ramionach, uginając się pod ciężarem.

I tak wyszedł do ogrodu, i złożywszy swe brzemie pod gruszą, obok usiadł, patrząc szklanymi oczami na ruinę przed sobą.

Na tępej jego twarzy nie było żadnego wrażenia; drgnął tylko, gdy od miasta dzwon farny uderzył na trwogę głębokim, górującym nad wielki ludzki lament dźwiękiem.

U nóg jego skulona psina zawyla żałośnie, a przeraźliwy głos Lizy wołał go rozpaczliwie.

Teraz ruszało się miasto, rozległy się tętenty, galop straży ogniowej, ruch ludzki.

A fara czarna na tle pożaru, potężna, spokojna, biła w spiż swój — Maricowej podzwonne...

Józef od zwłok się nie poruszył, nie odpowiadał na wołania. Rozróżniał głos żony, Maltasa, Michała, a dźwięku z gardła dobyć nie mógł. Widział, jak magazyn się zawalił; widział nagie mury młyna! Widział, że dom uratowano, i wtedy dopiero dźwignął się, trupa znowu wziął w ramiona i powoli powrócił.

W progu spotkał Maltasa i Michała, którzy go szli szukać. Rozstąpili się i w milczeniu odkryli głowy.

Wniósł zmarłą do salonu, położył uważnie na stole, zapalił świecę, przyniósł krucyfiks i wtedy dopiero podał dłoń do powitania.

— To dramat! — szepnął Michał spoglądając na twarz Maricowej. — Apopleksja z wrażenia.

— Okropność! — jęczał Maltas. — Co to było? Podpalenie? Wypadek? Żeby nie my i dom by poszedł. Liza i ludzie potracili głowy, a ciebie nie było!

— Wyniosłem trupa, by nie zgorzał, i pilnowałem! — odparł Józef spokojnie.

— No, młyn był ubezpieczony, naturalnie! — zagadnął stary.

— Tak, ale mąka i zboże nie!

— Co za nierozsądek! Teraz co będzie?

— Teraz zajmę się pogrzebem ciotki. Żywi muszą jej ustąpić pierwszeństwa.

— Tak, a jakże! — poprawił się Maltas. — Ale czy powiedziała komu, gdzie są pieniądze?

— Zapewne Piotrusiowi, gdyż do niego należą. Dlatego zaraz zamkniemy mieszkanie, aż do jego powrotu.

— Słusznie. Ja tymczasem ludzi nagrodzę i odprawię. Dostyc będzie miejscowych do pilnowania zgliszcz! Ach, ach! Ile to tysięcy przepadło!

Józef nie słuchał. Zawołał żony i zajęli się ubraniem nieboszczki i katafalkiem. Michał pojechał do miasta załatwić kościelne formalności. Pokój Maricowej zamknięto szczelnie, wysłano depeszę do Piotrusia.

I tak im zeszyły dwa dni. Chodzili od zwłok do zgliszcz, osowiali, zgnębieni tym okropnym odpoczynkiem, beczynnością, widokiem ruiny i śmierci.

Nagłące interesy załatwiał Maltas, nie szcędząc pieniędzy, ale je ciągle wymawiając Józefowi ze swą zwykłą brutalnością dorobkiewicza.

Reni dziękował półgębkiem, czując, że nakładają mu pęta i okowy, a obojętny już na to, jak człowiek, który do stracenia nie ma już nic, nie dba już nawet o swobodę i wolę.

Czasami uśmiechał się tylko pogardliwie i gorzko, gdy wobec niego Liza z Maltasem radzili o młynie, robili plany, projekty, kosztorysy, nie racząc go nawet o zdanie zapytać.

Obserwował ich chłodno, słuchał i robiło mu to wrażenie, że jest trupem, a oni się dzielą spadkiem po nim.

Wtedy wychodził do sali, gdzie leżała Maricowa, lub oknem wyglądał, czy Piotruś się nie pokaże, jedyna dusza życzliwa i przyjazna.

Chłopak przybył trzeciego ledwie dnia.

Zapłakał szczerze po ciotce, a brata za szyję objął i pokazując zgliszczu rzekł z otuchą:

— Nic to, Józik! Odbudujemy na nowo. Teraz ja ciebie będę mógł poratować, gdy wezmę to, co nieboszczka dla mnie odłożyła. Maltasom nie damy siebie za łeb wziąć!

Uścisnęli się serdecznie.

Późno już było, gdy wrócili z cmentarza, i zostali sami domowi oraz Maltas, który drżał z ciekawości policzenia skarbu Mariców.

— Będziesz magnat! — mówił do Piotrusia, zacierając ręce nerwowo.

— Ano, dość wycierpiałem czekając! — odparł chłopak oddychając głęboko. — Gdy pomyślę, że jutro nie będę miał długów, o, jak mi lekko się czyni na sercu! Brr! To piekło!

— Chodźmy! — dodał biorąc klucz z rąk brata i otwierając drzwi.

Pokój pozostał w takim stanie, w jakim był owej strasznej nocy.

Czynił też przykre wrażenie nieładu.

Posłanie było rozrzucone, na krześle codzienna odzież nieboszczki, na stoliku drobiazgi toaletowe; przez okno o pobitych szybach, które Józef naprędce kazał deskami zabić, wciskał się chłód nocy i deszcz.

Sprzęty stały rozrzucone, stare, wytarte tyloletnim użyciem, zachowane przez nią z czcią niemal.

Składały umeblowanie dwie szafy, komoda, biurko, klęczniki, łóżko, parę krzeseł i odwieczna kanapa.

Józef i Piotruś zatrzymali się w progu, zdjęci wspomnieniem i żalem; Liza i Maltas rozglądali się wokoło wzrokiem fiskalnych urzędników.

— Pewnie są w biurku! — rzekł Maltas.

Piotruś postąpił naprzód, spróbował szuflady.

— Klucze trzymała pod poduszką! — zawołała Liza, sięgając po nie do pościeli.

Piotruś drżącą ręką otworzył biurko, szufladę po szufladzie, przeglądając zawartość. Skupili się wokoło niego wszyscy, patrząc z rosnącym niepokojem. W biurku oprócz papierów, listów, różnych rupieci, szmat, pamiątek znalazła się tylko sakiewka z numizmatami i dukat złoty, owinięty starannie w bibułkę razem ze ślubną obrączką i kilku małej wartości klejnotami.

— Nie ma nic! To nie tutaj! — rzekł Maltas.

Piotruś spojrzał na brata. W oczach odmalował się przestach. Józef zrozumiał go, bo rzekł uspokajająco:

— Przysięgnę, że znajdziemy je tam, gdzie są mniej spodziewane, i pewnie po mozolnym poszukiwaniu! Czyż nigdy ci ciotka nie wzmiankowała takiej skrytki?

— Nie! — odparł Piotruś krótko przez zaciśnięte nerwowo zęby.

Liza roześmiała się.

— To będzie zabawne, jeśli ich wcale nie znajdziemy.

Mąż spojrzał na nią niechętnie.

— To będzie zupełnie niezabawne i śmiać się nie masz czego. Proszę, daj więcej światła, będziemy szukali każde z osobna! Pójdzie prędzej.

— Może nam Piotruś nie zawierzy! — wtrącił Maltas.

— Pan żartuje! — oburzył się chłopak.

Liza przyniosła każdemu świecę i wzięli się skrupulatnie do dzieła.

Przetrzaskali posłanie, szafy, bieliznę w komodzie, na próżno.

Nagle Maltas zawołał:

— Aha! Tu coś jest! — I dobył z klęcznika glinianą skarbonkę.

Piotruś rozbił ją o stół — rozbiegły się dukaty. Było ich sztuk dwadzieścia, zresztą klęcznik nic więcej nie zawierał.

I zapał poszukujących opadł. Nic zresztą nie pozostało do przeszukania. Podnieśli się i stali w milczeniu, patrząc i rozmyślając.

Piotruś garść dukatów rzucił do owych starych monet i klejnotów, wlepił w to oczy i drżał blady jak ściana.

— I to wszystko! — wybuchnął wreszcie.

— No, jeszcze sprzęty, odzież, srebro z gotowalni. Do tysiąca się zbierze! — zamruczał Maltas taksując bystro spuściznę.

— Ech, jeszcze się znajdzie! — wtrącił Józef. — To niemożliwe! Przecie są te pieniądze tutaj w domu. Muszą się znaleźć!

— Hm, a jeśli je miała deponowane gdzieś w banku, a kwit zatknęła w szparę, to przepadło — zdecydowała Liza filozoficznie.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się dziko Piotruś. — Sprzęty, srebro, skrytki! To dobre! Komu wy to gadacie? Ciotka trzymała pieniądze przy sobie... i jeśli ich tu teraz nie ma, to mi je ktoś skradł.

— Piotruś! — zawołał Józef. — Opamiętaj się! Toć oprócz Lizy i mnie nikt tutaj po śmierci nie wchodził.

— Więc cóż z tego? — warknął chłopak patrząc nań dziko.

— To, żeśmy nie złodzieje oboje!

— Ja nic nie wiem! Mnie tutaj nie było przy tym. To wiem, że ciotka pieniądze miała, że one były moje i że bez nich nic mi nie pozostaje jak w łeb sobie palnąć!

Józefowi wrażenie zabiło głos na razie. Za to Liza poskoczyła wściekła naprzód.

— Więc to ja miałam je ukraść, ja, ja? Ja, co mam swoich tyle, że mogę mieć trzy takie wasze fortuny! Jak pan śmiesz odzywać się podobnie w moim domu!

— Mówię, co jest! Gdzie moje pieniądze? — nieprzytomny krzyknął Piotruś.

— Oszalałeś! — sapiąc z gniewu, odparł Maltas. — Co my możemy wiedzieć o twoich pieniądzach? My winni, że masz długi i że stara gdzieś swe skarby ukrywała? Widocznie żałowała ich dla lichwiarzy! I słusznie! Lekkomysłny niech ma karę! Chodźmy stąd, Lizo!

Piotruś zebrał w garść dukaty i klejnoty, i cisnął im pod nogi na ziemię.

— Na, macie i tę resztę! Zabierajcie, wy zacni i dobrzy, i to jeszcze! To ja sobie stąd pójdę. Nie mam już nic, nic i nikogo!

Poskoczył do drzwi, ale mu Józef drogę zastąpił.

— Piotruś, opamiętajże się, uspokój! — jał prosić. — Wróć do przytomności i rozwagi! Pieniądze się znajdują, poszukamy staranniej. Może są w pokrowcach mebli, w ścianie, w piecu, pod podłogą.

— Może są! — krzyknął Piotruś. — A moje długi pewnie są, dławią mnie dość czasu. Mam tego dosyć, i kłamstw, i wykrętów, i prośb, i nędzy! Mam dosyć tego przekłętego życia! Ty mi nie radź ani uspokajaj! Ty mi nie brat, kiedyś mi tych pieniędzy nie upilnował. Ja ci nie wierzę... ty sam może wiesz, gdzie one są, i milczysz. Nie wierzę, by ciotka mnie skrzywdziła. Bodajby was moja krzywda zgubiła!

Odepchnął brata i wybiegł potracając sprzęty, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z łoskotem.

Józef poskoczył za nim, nie zważając na wołanie żony. Znalazł się na ganku w wielkiej ciemności wietrznej, dżdżystej nocy. Rozejrzał się na wsze strony — nigdzie śladu Potrusia. Zawołał — odpowiadały mu brytany; poszedł tedy na oślep przed siebie, sam nie wiedząc gdzie iść, co czynić.

Tak się błakał po ogrodzie, nad rzeką, wyszedł za bramę, w stronę miasta, gdy nagle podskoczył w górę i znieruchomiał natychmiast, cały w słuch zmieniony.

Gdzieś za nim strzał padł i psy natychmiast podniosły wrzask okropny, biegnąc w tym kierunku.

I Józef zawrócił i tamże popędził, potykając się, padając, gnany strasznym przecuciem. Po drodze wołał ludzi i biegł za szczekaniem psów, w czarną noc, przeciw wichru.

Psy dopadły do mostu na rzece, potem cmentarza, i obwąchując mur biegały tu i tam, skomlać, wyjąc, podnosząc pyski w górę.

Józef, niespokojny, zaczął bić we drzwi grabarza. Zaspany człek wyrzwał gniewny.

— Czego stukacie? Furtka stoi otworem! — zamruczał.

— Człowieku! Na cmentarzu ktoś strzelił. Na Boga, dajcie latarnię! — wołał Józef nieprzytomnie.

— Na cmentarzu? Jezus Maria! — odparł dygocąc ze strachu stróż prędko rozbudzony, zapalając światło. — To... to świętokradztwo! Proboszcz mnie wypędzi! O, ja nieszczęśliwy!

Reni go wyprzedził, zmierzając do ojcowskiej mogiły. Nie omylił się. Tam, w tym kącie pod lipą, tarzało się coś ciemnego po piasku, głucho jęcząc.

— Piotruś! — krzyknął Józef z rozdzierającym akcentem.

Jęk ustał. Poprzez groby zbliżał się stróż z latarką i nagle niepewny krąg światła odkrył postać leżącą, zwiniętą w kłęb, a wokół kałużę czarnej krwi.

— Jezu! Piotruś! — powtórzył Józef przypadając doń i podnosząc w ramionach.

Te ramiona tak niedawno innego trupa dźwigały, i teraz z niespodziewaną siłą uniosły szaleńca precz stąd, z tego pola śmierci.

W izdebce stróża raz jeszcze ocknął się Piotruś; oczy wielkie otworzył, głęboko westchnął, dłońmi zaruszał, zadrgał parę razy i oto już leżał prosty, tężejący, krwią zbroczony, z włosami zjeżonymi od ostatniej śmiertelnej grozy, blednąc, żółknąc coraz bardziej, bardzo prędko.

Wokoło słomy, na której go złożono, stało kilka osób milczących, przerażonych, a obok niego siedział Józef, wpatrzony w twarz nieżywego suchymi oczyma, bez wzroku i myśli.

Grabarz, wystraszony, pobiegł z raportem do proboszcza, alarmując po drodze wszystkich.

U progu, pomimo nocy i deszczu, zbierali się już gapie, przyglądając się obojętnie, chciwi nowiny i skandalu.

Długo, długo mówiono potem w miasteczku o Renich, o ich dziedzicznej manii samobójstwa, o pożarze młyna, o zniknięciu skarbu Mariców, o dobrodziejstwach Maltasa.

Komentarze były coraz nowe, coraz bajeczniejsze. Na cmentarzu pokazywano sobie mogiłę Piotrusia, tuż za murem, na polu samobójców i cholerycznych. Mur tylko rozdzielał syna od ojca, lipa ich łączyła, sypiąc na oba groby latem kwietne pyły, jesienią liście złote, i pszczoły latały tu i tam, biorąc z kwiatów hodowlanych i kwiatów dzikich jednakie miody.

Może, gdyby kto bardzo się starał i prosił, proboszcz dałby się ubłagać i świętej ziemi ustąpił na mogiłę, ale nikt nie prosił, bo Józef był jak drewno, jak głąz, wyczerpany do gruntu ciosami ostatnich czasów i tak zwłoki Piotrusia, zeszepeczone sekcją, zniszczone długim śledztwem, spoczęły, gdzie im stróż obrał ką, a on sam stał się legendą budzącą odrazę i strach. Czy się tego kiedy spodziewał swawolny chłopak, figlarz, psotnik, ulubieniec starych i młodych? W parę tygodni po jego śmierci Maltas, który zamieszkał stale we młynie, postanowił raz wreszcie wyjaśnić położenie.

— No, jesteś przecie mężczyzną i bądź co bądź kupcem — rzekł do Józefa — nie możesz zasklepić się w sobie. Masz obowiązki, interesy; to rumowisko czeka, żebyś się nim zajął. Opłakałeś brata! No, to był straszny wypadek; ale ani go wskrzesisz, ani w tym nie zawiniłeś. Pomyśl o żywych! Co zamierzasz czynić? Ja dotąd płaciłem wszystko, żeby cię nie nachodzono; teraz rozejrzyj się, zróbmy rachunki! Powiedz mi swoje zamiary!

— Ilem winienem panu? — spytał Józef.

— Około dwóch tysięcy. Tu mam notatkę. Przejrzyj!

— Po co? Pan się nie myli! — ruszył ramionami Reni, biorąc arkusz papieru i kreśląc na nim cyfry. — Dziękuję za pożyczkę; zapłacę skoro tylko sprzedam swoją posiadłość.

— Chcesz sprzedać? — zawołała Liza. — A z nami co będzie potem?

— Poszukamy służby.

— Ty! A ja mam być żoną byle jakiego pisarza czy oficjalisty? Bo jakąż ty inną możesz zająć posadę? Ani myślę!

— Gwałtem cię nie zabiorę! Zrobisz, co zechcesz.

— Dziadek mnie przytuli u siebie — zaczęła płakać. — Ja wiem, że jestem niczym dla ciebie! Rad mię będziesz się pozbyć. Umyślnie dla tego chcesz się wyprzedać. Zbierzesz pieniądze i uciekniesz!

— To ty przecie nie chcesz dzielić mej doli! — odparł gorzko.

— Dlaczegoż się masz wyprzedawać? — pytał Maltas, przerywając na nowo wybuchającej Lizie.

— Dlatego, że mam do zapłacenia długi Piotrusia i swoje. Myli się pan twierdząc, że nic nie robił przez ten czas... od jego śmierci. Porozumiałem się z jego wierzycielami. Nie zostanie mi nic, tylko dobre imię i pamięć biedaka czysta. Dlatego wszystko sprzedać muszę.

— Masz już kupca?

— Nie, ale mieć go będę, bo punkt świetny.

— To ja nabędę! — rzekł stary nadymając się.

— Jak się panu podoba. Mnie wszystko jedno.

— Ileż to cenisz?

— Trzydzieści tysięcy. Oto rachunek.

Maltas i Liza pochylili się nad papierem.

— Boże, Boże! — jęknęła Liza. — Tyle zmarnowanych pieniędzy! I na co, po co? Za co płacić?

— Aha, prawda! Szlachecka krew szumi! — zaśmiał się Maltas brutalnie. — A potem do mieszczan po ratunek się idzie! Cha, cha!

— Myli się pan. Ratunku i łaski jeszcze, dzięki Bogu, nie potrzebuję! Kupi każdy, a na kawałek chleba zapracuję dla siebie i dla żony, jeśli go zechce przyjąć.

Liza wybuchnęła znowu płaczem, ale mile dotknięta jego pamięcią o sobie, rzuciła mu się na szyję.

— Ja wszędzie z tobą, ale iść nam stąd nie trzeba. Dziadek młyn kupi, my weźmiemy w dzierżawę. Pokażemy tym, co nas mają już za bankrutów, co to zgoda i jedność w rodzinie.

— Kupić kupię — zamruczał Maltas. — Ale może to tak ułożymy. Odprzedajesz za długi, prawda? No, to ja te długi skupię, a młyn mój!

Józef potrząsnął głową.

— Nie. I swoje, i brata mego należności sam załatwię. Będą wypłacone co do grosza.

Maltas, widząc się odkrytym, poczerwieniał.

— Nie zrozumiałeś mnie. Chciałem ci oszczędzić kłopotu w tak ciężkiej chwili. Zresztą twój brat powydawał pewnie masę obligów na sumy, których wcale nie wziął. Ja bym to wnet odnalazł i poobcinał. Toć to lichwiarze!

— Ano... niech biorą, ile biedak napisał. Dość było na imieniu jego plwań ludzkich i wymysłów. Niech więcej nie wykrzykują... i zapomną.

— Ha, uczynisz, co zechcesz, ale uważam z tego, że ty fortuny nigdy nie zbierzesz.

Zaśmiał się rubasznie.

— I nawet... może to i dobrze, że zostaniesz bez grosza, bo dalibóg szkoda dla ciebie pieniędzy. Nie umiesz ich szanować.

— To prawda — odparł Józef spokojnie. — Nie kochałem ich nigdy, nie zazdrościłem nikomu ich posiadania, nie starałem się nigdy nikogo wyzyskać. Teraz, gdy zgubiły mi brata, nienawidzę ich nawet. Przekleństwo w nich tkwi. Uczuję się dopiero wolnym, gdy ich mieć nie będę. W tym młynie szatan z nimi igrał, złośliwy los nimi rządził. Wuj zbierał dla sieroty, która w świat uciekła i zmarniała; ciotka zbierała dla Piotrusia, którego wiara w nie zabiła. I kto wie, czy nie one zabiły samą ciotkę? Kto wie, czy nie były ukryte gdzieś tam, gdzie teraz zgliszczą czernieją? Przeklęte są tedy... wzięły mi dwa żywoty!

— Et — oburzył się Maltas — mówisz jak wariat! Przeklęte niech sobie będą, ale zdałyby ci się w tej chwili, żeby się znalazły. Filozofuje nad nimi ten tylko, kto ich nie ma.

— To prawda — potwierdziła Liza. — Zobaczysz, jak często w życiu zatęsknisz do nich.



Józef głową potrząsnął, ale więcej nie dysputował. Na próżno by tym ludziom mówił o skarbach, które mieć można darmo, nie kupić za miliony. Nie zrozumieliby go. Wziął tedy arkusz zapisany cyframi i rzekł z westchnieniem:

— Kończymy zatem z tym wszystkim!

## X

Ktoś zadzwonił do gabinetu doktora Michała, lokaj drzwi otworzył.

— Pan w domu?

— W domu. Pan raczy poczekać... zaraz oznajmię.

Nie było to już w domku na przedmieściu, ale w najokazalszej kamienicy w rynku.

Doktor zajmował całe pierwsze piętro, umeblowane prze — pysznie, przyjmował pacjentów w oznaczonych godzinach, jeździł powozem. Żona jego wiodła żywot milionerki, dzieci miały więcej piastunek i bon niż lat żywota.

Człowiek, który teraz szedł do poczekalni, wyglądał wąż i dyszał ciężko po przejściu kilkunastu stopni schodów.

Stanął u okna i patrzył apatycznie na ruch uliczny.

Na skroniach siwiały mu ciemne włosy, w całej postaci czuć było zmęczenie, obojętność; twarz pospolita, niepiękna, nie mówiła nic, tylko oczy miały wyraz zamyślenia i łagodnej dobroci.

Odwrócił się na skrzyp drzwi i złożył usta do uśmiechu, postępując naprzód.

— Ach, Józef! Witajże, mój stary! — zawołał doktor roztwierając ramiona radośnie.

Przyjaciele stanowili zupełne kontrasty. Michał w pomyślności utył, wypiękniał, nabrał pewności siebie, doskonałego humoru. Twarz jego i postać były obrazem zdrowia, swobody, zadowolenia z losu.

Uścisnęli się serdecznie.

— No, cóż słyhać? — spytał doktor. — Żona zdrowa, interesy świetne, dzieci nie ma, stary na krzyże stęka? Nic nowego u ciebie?

— Nic! — odparł Reni zapalając podane cygaro. — Życie płynie! Przyszedłem do ciebie, abyś mnie opukał i osłuchał. Trochę niedomagam!

— Teraz, latem! To nie pora! Cóż ci? Astma?

— Nie wiem. Dotąd wiosny tylko jesienię odchorowywałem, teraz już mi i lipiec nie służy. Trzeba się będzie wynosić do Abrahama na piwo. Liza mnie popędziła do ciebie.

— No, zobaczymy.

Zaczęły się oględziny i badania, podczas których tłusty Michał gorzej sapał od pacjenta.

— Tymczasem nic jeszcze groźnego. Wykpisz się z biedy jedną zimą we Włoszech. Dam ci kurację przygotowawczą: przestaniesz pracować, a jesienię marsz za Alpy! Wrócisz zdrów jak ryba. Ale wiesz co, to wstyd, aby człowiek zamożny tak sobie zdrowie zniszczył. Myślałby kto, że jesteś obarczony rodziną, kancelistą nadetatowym. Po co się tobie zamęczać, milionerze! To chyba mania.

— Nie zamęczam się chyba! Tak ci się zdaje. Zresztą milionerem nie jestem. Służę u Maltasa w młynie. Wiesz, że funduszu własnego nie mam.

— Dziwactwo! Zapowiadam ci zupełnie serio: że jeśli nie dasz sobie długiego wycoczynku, będzie z tobą źle!

— Cóż? Umrę? — odparł Reni pogardliwie i lekceważąco.

— Nie. Będiesz gratem do niczego, na łasce innych.

Józef się wzdygnał.

— To gorsze od śmierci. Pisz receptę! — rzucił żywo.

Michał usiadł przy biurku i począł gryzmolić.

Reni przechadzał się po gabinecie i widząc, że już skończył, rzekł:

— Miałem onegdaj wieść o Łukaszu... pamiętasz, niegdyś moim mistrzu muzyki.

— Pamiętam; no, cóż pisze ten oryginał?

— Nie on już pisze, ale ksiądz ze szpitala, gdzie on umarł. Mistrz Łukasz tam skończył z ran i potłuczeń. Ratował dzieci jakieś w pożarze. Zapamiętał mnie. Adres podyktował i prosił,

by mi odesłano jego skrzypce: wszystko co posiadał. Niegdyś stanął między nami zakład o tego stradivariusa właśnie i oto otrzymałem go. Ale na dowód, że zakład przegrał, już na skrzypcach tych zagrać nie potrafiłem. Zaśmiał się.

— Dobre, stare dzieje studenckie. I pomyśleć, że oto za lat kilka syn mój już pójdzie do gimnazjum! — rzekł Michał. — Kiedy odwiedzam matkę w jej dworku i patrzę na dziatwę po zmarłym moim najstarszym bracie, którą ona tam hoduje, zda mi się, że siebie widzę malcem udreńczonym naukami. Ale, słyszałeś, Iwo dogorywa w San Remo!

— Ten się prędko urządził z życiem — odparł Józef obojętnie. — Parę lat zaledwie starszy ode mnie.

— Ach, niedawno też przypomniałem sobie twoje zapały! Widziałem Pepi w stolicy.

— Tak? Cóż ona?

— Ano, szczęśliwa! Wyszła za mąż za starego bankiera, do którego właśnie byłem wzywany na konsylium. Stary niedługo ma żyć, a ona zawsze świetna, wielka dama teraz. Przypomniała mi siebie i wspominała ciebie, polecając życzliwie pozdrowić. Zdaje mi się, że ta jest zupełnie z losu zadowolona. Kręci się tam wkoło niej rój elegantów, ale za krótko byłem, aby wynaleźć w tym gronie domniemanego następcę bankiera.

Śmiał się Michał i Józef mu zawtórował z zupełną swobodą.

— Podobno targujecie drugi młyn u Szweda? — zagadnął po chwili doktor.

— Tak, Maltas już Szweda po swojemu oplątał. Za rok nie będzie miał konkurenta.

— Co za głowa kapitalna! Maricowie, żeby z grobu powstał, nauczyliby się jeszcze czegoś od niego. Pieniądze rosną w jego ręku z szybkością bakteryj. Żona też twoja ich nie zmarnuje.

— Nie, oboje mają talent zbierania. Kochają to.

— No i ciebie też! — zaśmiał się Michał.

Józef milczącą głową skinął. Miał wstręt wrodzony do mówienia o sobie.

Zgarnął recepty i przepisy z biurka.

— Muszę wracać tymczasem! — rzekł. — Żonę twoją widziałem jadącą na spacer z dziećmi. Oświadczył jej moje uszanowanie i do widzenia!

— Pamiętajże o mojej radzie! Przerwij zajęcia i pracę, odpocznij należycie! Najlepiej wyjedź gdzie na czas jakiś, a na zimę stanowczo do Włoch.

— Dobrze, dziękuję ci, pomyślę o tym.

Uścisnęli sobie serdecznie dłonie i Reni znalazł się na ulicy ożywionej tłumem ludzi.

Właśnie kończyły się wykłady w uniwersytecie i fala młodzi gwarnej, swawolnej wylała się przez portyk na plac.

Szumiało tam jak w ulu — śmiechy, nawoływania koncepty, zapytania i odpowiedzi, urywki piosenek i zdań poważnych. Roilo się od twarzy młodych, niefrasobliwych, zuchwałych.

Reni stanął i chwilę się przyglądał.

— Tak, tym się jeszcze zdaje, że świat do nich należy! — zamruczał odchodząc.

Teraz mijał farę i uchylając kapelusz spojrzął w górę. Wkoło wieży, gdzie w otworach czerniały wielkie dzwony, pławiły się w słońcu chmurki białych i siwych gołębi.

To coś przypomniało przechodzącemu.

Znów się zatrzymał i zaczął szukać czegoś po dachach: facjatki Łukasza.

Cień mu po twarzy przemknął i pozostał długo.

Zegar ratusza wybił godzinę. Józef kroku przyspieszył i zaczął schodzić nad rzekę.

Jeszcze raz po drodze oczy podniósł, mijając uliczkę i domek narożny, na którym zamiast numeru snop malowany na blasze się kołysał.

W domku tym była teraz restauracja, bilard i kręgielnia w ogródku. W altance stukwały kufle, rozlegały się grube śmiechy.

Prędko odwrócił oczy Reni i zwałwiej zaczął iść, ale rychło się zadyszał, zakaszłał i zwolnił.

Znalazł się na ożywionej, nadbrzeżnej ulicy i co krok witał znajomych, klientów, musiał odpowiadać na przyjazne powitanie i odezwy.

Gdy się z tłumu wydostał na groblę wiodącą do młyna, twarz jego straciła maskę uprzejmości, zadrgała ironicznym uśmiechem.

— Ci życzliwi dotąd wyobrażają sobie, że przeze mnie trafią do kieszeni Maltasa! — zamruczał.

Rzeka pełna była łodzi i statków. Równoległe z Józefem płynęło czółno jakimś młodym towarzystwem wracającym z wycieczki.

Uśmiechnął się dziwnie, śpiewali bowiem chórem piosenkę, którą on niegdyś ułożył dla Pepi. Zapewne dziewczyna dała ją Gustawowi, a od niego w świat poszła, bezimienna, popularna.

Długi czas goniła go ta melodia, wiatrem niesiona, ale on już jej nawet półgłosem nie zawtórował. Szedł z głową spuszczoną myśląc i przypominając, czy załatwił wszystkie dzisiejsze interesy. Jeśli co zapomniał, jutro znowu iść będzie musiał, a chodzenie męczyło go nieznośnie.

Gdy stanął na podwórzu młyna, potem był oblany, bez tchu, w oczach latały ciemne płatki. Usiadł na ganku i ciężko dyszał.

Jakiś strach wielki budził się w duszy wobec rosnącej niemocy. Czy już przyszła kolej na zdrowie, na siły? Czy nie dość już stracił? Ha, żeby teraz pieniądze! Lato u wód, zima we Włoszech, rozrywka, spokój, swoboda.

Żeby pieniądze, odżyłby!

Drzwi domu się otwarły, wyrzała Liza, jak zawsze czarna, chuda, w odzieży zaniedbanej.

— A, wróciłeś wreszcie! Tracisz tyle czasu, jakby on do ciebie należał! A tu tymczasem dziadek za ciebie musi pracować! Cóż, załatwiłeś wszystko?

— Tak! — odparł słabo.

— Co ci? Znowu niedobrze! Jezus Maria! Po co mnie karzecie tym jeszcze kłopotem? Jak ja dam rady, znajdę czas! Byłeś u doktora? Cóż powiedział?

— Nic ważnego. Przejdzie. Kazał odpocząć.

— Odpocząć! Po czym? Cóżes parobek, czy cieśla? Także gadanie! Myślałby kto, że jesteś umęczony pracą. My robimy za siebie i za drugich z dziadkiem. A reszta... at! Dostałeś receptę? Wziąłeś lekarstwo?

— Jeszcze nie wziąłem. Później.

— Później, jak się obłożnie rozchorujesz i trzeba będzie z tobą się cackać. Ty to chyba na złość mi robisz!

— Jak zachoruję obłożnie, odeślij mnie do szpitala i basta. Nie napieram się w domu leżeć. Po co się o to troskasz? Nie zrobię ci kłopotu. Na szpital mi wystarczy.

Wstał i ruszył do kantoru.

Ach, żeby pieniądze! myślał z goryczą.

W kantorze Maltas wpadł nań z wymówką:

— Po co dałeś ulgę w wypłacie tej starej z targu na starym mieście?

— Ano, niewielka to suma, a u niej dzieci i mąż leżą chorzy. Nie może dać rady!

— Nie ma biednych dla kupca. Jest kupujący, musi płacić. Co ty masz moimi pieniędzmi świadczyć dobrodziejstwa?

— Przepraszam pana. Proszę tę sumę potrącić mi z pensji! — odparł głucho Józef.

— Pewnie, że to uczynię, bo nie znoszę nieścisłych rachunków. Cóż zrobiłeś w mieście? Byłeś u składnika drzewa? Zamówiłeś dyle?

— Ach, właśnie tego zapomniałem! — desperacko rzucił Józef.

— Właśnie najgwałtowniejsze! Żebyś choć czasem pomyślał o swoich obowiązkach!

Zadzwoił.

— Założyć konie! — rzucił chłopcu służebnemu. Milczenie zaległo kantor. Józef usiadł za biurkiem i machinalnie wziął się do pisania listów.

Maltas stękając, chodził po pokoju.

Suchy, krótki kaszel Reniego przerywał tylko ciszę.

Na widok nadjeżdżającego powozu nadbiegła Liza.

— Cóż to? Dziadek jedzie? Mój Boże, taki niezdrow! Niechby Józef wyręczył.

— Józef! Właśnie! On do interesów! Niech no mnie nie stanie, urządzi on je ślicznie! A prędko to nastąpi, bo za trzech pracuję i niedługo już pociągnę.

— Mój Boże! Ja nieszczęśliwa! — zaczęła biadać Liza, wyprowadzając starego do powozu.

Żeby pieniądze! pomyślał Józef z żądzą nigdy dotąd nie znaną. Za wszystko, co stracił, zniósł i przeżył, żeby teraz pieniądze, pieniądze, pieniądze!...

Przestał pisać i podparłszy głowę rękoma, myślał wpatrzony w próżnię.

Już nic mu się więcej nie chciało, tylko tak beczynnie trwać i zamrzeć.

Teraz szpital go nęcił. Tam by miał ciszę, mógłby milczeć, o nic się nie troskać, nie słyszeć żadnego znajomego głosu.

Po godzinie rozmyślań uczył się jednak tak słabym, że i myślenie go męczyło; żadnego rachunku zrobić nie był zdolny.

Wstał i powoli wrócił do domu.

O tej porze Liza była w ogrodzie. Obiad swój znalazł ostygły; skosztował i odłożył łyżkę.

Poszedł do sypialni, spojrzął na ścianę.

Tam onegdaj powiesił skrzypce Łukasza. Nie było ich już. Zaczął szukać, szperać po kątach, zaglądać do szaf. Na próżno!

Przeszedł całe mieszkanie i nareszcie w drzwiach do ogrodu spotkał Lizę.

— Czyś sprzątnęła skrzypce znad mojego posłania? — spytał.

— Sprzątnęłam, naturalnie. Przecież nie będą wisiały na ścianie ku wygodzie kurzu i pajaków. A mam nadzieję, że grać nie będziesz!

— Gdzieżeś je schowała?

— Kazałam wynieść na strych, do rupieci!

— Czyś oszalała? Toć to stradivarius!

— A co to może mnie obchodzić, czy ten twój muzykant nazywa się stradivarius, czy inaczej? Gratów w mieszkaniu trzymać nie myślę!

— Może to cię wzruszy, że za te skrzypce można wziąć masę pieniędzy?

— Doprawdy? Czemuś nie powiedział pierwej? To pójdźże po nie. Zamknę je do szafy lustrzanej! Pójdźże, a jak tam będziesz na poddaszu, obejrzyj ten komin z jadalni. Na wiosnę dymił haniebnie. Ja po tych belkach chodzić nie umiem! Oto masz klucz!

Józef poszedł do sieni i stamtąd na górę, po zaniedbanych schodkach.

Przez tyle lat nikt nie porządkował strychu. Pozostał z tradycji Mariców składem zupełnie bezużytecznych rupieci. Jak dawniej gnieździły się tu sowy i nietoperze, hulały szczury, zbierały się masy kurzu i pleśni.

Józef otworzył wszystkie okiennice. Snopy słonecznych blasków zalały poddasze i oślepiły go na chwilę. Potem rozejrzał się uważnie, szukając skrzypiec. Leżały w pyłe na belce, a przy nich, jakby na straży, siedziała sowa patrząc szklanymi oczami, przerażona światłem.

Gdy Reni sięgnął po instrument, zerwała się z wielkim łopotem rudoszarych skrzydeł i wyleciała na świat bez celu, na oślep. Machinalnie i on przystąpił do okna, którym nocny ptak umknął.

Widok z tego okna był śliczny. W dali góry, z których w doliny ściekały jakoby pasma ciemnej zieleni lasów i łąk; bliżej wielka plama lip na cmentarzu, spośród których białaty

pomniki i krzyże, tuż rzeka, w którą słońce wplatało złote i srebrne smugi. Nad wszystkim panowało niebo szafirowe, pogodne i wielka cisza letniego popołudnia.

Długi czas wpatrywał się Józef i piersią całą pił ciepło wonne, orzeźwione wody sąsiedztwem, potem odwrócił się i z westchnieniem odszedł. Chciał wracać, gdy sobie polecenie żony przypomniał i spojrzął na komin.

Potężnej budowy, tkwił w czarnej głębi belek i nigdzie nie okazywał szczyrby.

Reni zajrzał między rupiecie zakrywające jego spód i zeskoczył z belki na szmaty jakieś. Uczuł, że ciężarem swoim coś rozgniół; usunął się — dalej też nogi grzęzły, tłukąc jakieś gliniane naczynie.

Pochylił się, odgarnął szmaty, ręką sięgnął między skorupy i cały się wstrząsnął. Palce jego ugrzęzły w masie przedmiotów gładkich, okrągłych, chłodnych. Podniósł dłoń do światła i okrzyk wydarł mu się z gardła, a z ręki posypał się na powrót pod belki deszcz dukatów.

Sekundę stał jak błędny, potem przypadł znów da tej kryjówki i odkrył całą przestrzeń, oburącz odrzucając szmaty.

I oto ujrzał, jedną przy drugiej, szeregi glinianych skarbonek, które już kurz i pleśń obrosła, a których otwory szczelnie były zalepione woskiem. Gorączkowo jedną po drugiej dobywać zaczął i rozbijać na deskach tworzących chodnik wzdłuż strychu. Sypały się z nich, lały, dukaty, na które słońce padało podnosząc złocisty blask.

Skorupy mieszały się z nimi, stos rósł, zajmował już trzy deski, rozbiegał się z szelestem.

Józef dyszący, z gorącymi wypiekami na twarzy, ze wzrokiem błędnym czerpał i czerpał z kryjówki; wyglądał jak pijany.

Potem przypadł na kolana, zgarniał dukaty garściami z tych skarbonek, które nogami był podeptał; grzebał piasek, kurz, nie czując ani osłabienia, ani zmęczenia, czołgając się po śmieciu. I oto znów natrafił na jakiś przedmiot owinięty w łachman, wsunięty pod rozbite ramy okien. Odrzucił szmatę, odkrył skrzynkę blaszaną obwiązaną szpagatem; rozerwał go, otworzył.

Pudełko pełne było asygnat i bankowych biletów, z widoczną lubością poskładanych w paczki.

Drżącymi rękoma Józef wytrząsnął zawartość na stos dukatów i usiadł na belce. Pieniądze, pieniądze, pieniądze! Jego własne, których pragnął, pożył, które mu niosą wyzwolenie, swobodę, wyższość, stanowisko, zabawę, odpoczynek, zdrowie!

Ach, skarb Mariców, skarb, skarb!

W oczach ćmiło mu się od blasku złota, w uszach dźwięczał szelest dukatów i wszystka krew uderzyła w serce, które omal nie rozsadziło piersi.

Odetchnął z głębi piersi raz i drugi, jakby się wydostał z trzęsawiska na drogę, z wody na powietrze, po trudzie wielkim na spoczynek. Począł złotem napełniać skrzynkę, przelewać je przez ręce, bilety owinał w chustkę i myśl jego, uwolniona od codziennej zmory, od troski, poskoczyła, jak ptak chyża, w wolną przyszłość. Dziś jeszcze uwolni się od służby Maltasa, jutro wyjedzie na południe, do włoskiego słońca, do skarbów sztuki, do śpiewu, muzyki!

Będzie podróżował wygodnie, bawił długo, niczym do odwrotu nie naglony; osiadzie tam może na stałe, gdzieś nad jeziorem włoskim lub na wyspach greckich, kędy go troska nie goni.

Na ustach zajaśniał mu uśmiech dawno nie znany; z żywością młodzieńczą wyskoczył na chodnik.

Przystąpił do okna, aby je zamknąć, i stanął znowu zamyślony.

Wesół był i szczęśliwy, teraz by mówić chciał, pochwalić się, radością podzielić.

Do kogo pójdzie? Kto się z nim ucieszy?

Spoza lip cmentarza białął krzyż samobójczy Piotrusia. Jego krwią ociekły te pieniądze i wydały się nagle Józefowi czerwone, płowe od zaschłej posoki.

Piotruś już się nie ucieszy, nie wstanie, ramionami nie oplecie szyi brata w serdecznej, niesamolubnej ucieczce i mogła nawet jego nie przestanie być dla ludzi przedmiotem ohydy i pogardy.

Nie ma Piotrusia, nie ma!

Za żadne skarby nie odkupić gp śmierci! Tak, aha, śmierć!

Na cmentarzu kwitną lipy i w grabarza ulu pszczoły się roją, monotonnie szmerząc. Tylko Pepi już niema i nie będzie; nigdy, nigdy, za żadne skarby nie odkupić jej, nie odzyskać; od śmierci zaciętsza jest natura kobieta, od głazu nielitościwsze jej serce, gdy nie kocha.

Tak, i to pogrzebane, nie wróci. Cóż wróci zatem ze skarbem? Kto, co pójdzie za nim z tej doliny w świat swobodny!

Usiadł na ramie okna i nagle osłabły, zmęczony powracającą dusznością i bólem boku oparł głowę o futrynę przymykając oczy, by tych gór, cmentarza, rzeki więcej nie widzieć.

Ale przecież obraz miał na wieki w duszy i pamięci: owe góry, które niegdyś z Łukaszem schodził pieszo, pławiąc się w słońcu i harmonii.

Teraz już tam nie pójdzie. Sił nie ma, Łukasza nie ma, skrzypki oniemiały. Ów cmentarz, na którym wszyscy jego już spali; owa rzeka hucząca w ciasnej otchłani grobli młynowych młyna, który już do niego nie należy. Stąd jutro pójdzie precz na swobodę, sam.

Nikt i nic nie zostało.

Nagle drgnął i oczy rozwarł. Zachód barwił czerwono góry, rzeczkę, lipy, a od miasteczka uderzył o góry i odbity wpadł do jego uszu dźwięk farnego dzwonu na wieczorny „Anioł Pański”.

Józef słuchał coraz bleśszy, coraz poważniejszy i półgłosem szeptać jął:

— Za moich umarłych... za Pepi, za Piotrusia, za Łukasza, za młodość, za siły, za życie, co już nie wróci... za wszystko. Żegnajcie! Nie będę już więcej nigdy... bogatym... aż umrę! Żegnajcie!

U stóp jego leżało złoto i wydawało się teraz, gdy słońce odeszło, plamą ciemną, bezużytecznym ciężarem, złęgo losu ostatnim szyderstwem.

KONIEC

## HISTORIA WYDAŃ:

- Pierwsze — T. Paprocki i Sp., Warszawa, 1894  
Drugie — Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa, 1905, t. 401, 402  
Trzecie — Wydawnictwo Polskie, Lwów; Poznań, 1922  
Czwarte — Wydawnictwo Polskie, Poznań, [1928] M. Rodziewiczówna Pisma.  
Wydanie Zbiorowe Jubileuszowe t. 17)  
Piąte — Wydawnictwo Polskie, Poznań, [1930] M. Rodziewiczówna Pisma.  
Wydanie Zbiorowe Jubileuszowe t. 17)  
Szóste — Alfa, Warszawa, 1991